

**Arturo Pérez-Reverte**

**Fechtmistrz**

**Przełożył Filip Łobodziński**

**(El maestro de esgrima)**

**Data wydania oryginalnego 1990**

**Data wydania polskiego 2003**

*Dla Caroloty.*

*I dla rycerza w żółtym kaftanie.*

## Od tłumacza

*Fechtmistrz* nie jest powieścią historyczną, ale historia tworzy w niej bardzo wyraziste, czytelne dla Hiszpanów tło. Nieznajomość dramatycznych dziejów Hiszpanii drugiej połowy XIX wieku nie uniemożliwi lektury książki, jednak kilka podstawowych informacji może Państwu tę lekturę ułatwić.

Po wieloletnich rządach feudalnej arystokracji w latach 40. dziewiętnastego stulecia doszła w Hiszpanii do władzy nowa klasa: burżuazja. Ponieważ jednak sama wciąż była słaba, delegowała silną armię w osobach kolejnych generalów. Rządy zmieniały się co chwila. Jednym z najczęściej urzędujących wówczas premierów był generał Ramón María Narváez, człowiek silnej ręki. To jedno z częściej wymienianych w *Fechtmistrzu* nazwisk. Uzależniony od znienawidzonej przez większość Hiszpanów królowej Izabeli II, sprawował rządy surowe, przekształcając Hiszpanię w państwo niemal policyjne. Jeszcze gorzej zapisał się w pamięci społecznej generał Leopoldo O'Donnell.

Sama Izabela była przedstawicielką zanikających w Europie monarchów o apetytach absolutystycznych. Wydana za Francisca de Asís, zniewieściałego nieudacznika, na zewnątrz pielęgnowała chrześcijańskie cnoty, w rzeczywistości jednak była uosobieniem hipokryzji i obłudy.

Coraz bardziej histeryczny sposób sprawowania władzy zaowocował aresztowaniem lub skazaniem na banicję wielu polityków i dowódców, którzy byli skłonni wesprzeć proces liberalizacji Hiszpanii. Wśród przymusowych emigrantów znaleźli się generalowie Francisco Serrano (książe de la Torre) oraz Juan Prim (hrabia de Reus). Nie byli politykami radykalnymi, optowali za utrzymaniem monarchii, byleby tylko odsunąć Izabelę II od tronu. Powieść rozpoczyna się na chwilę przedtem, zanim powrócą z wygnania i dokonają przewrotu.

Jak wspomniałem, historia jest tu ważna, lecz nie najważniejsza. Sensacyjna intryga *Fechtmistrza* rozgrywa się przede wszystkim wśród szczyku floretów.

Chciałbym wyrazić ogromną wdzięczność panu Wojciechowi Zabłockiemu, znakomitemu szermierzowi, za fachową pomoc podczas tłumaczenia książki.

*Jestem najdworniejszym człowiekiem świata. Szczęję się tym, że nigdy wobec nikogo nie był grubianmem, kiedy na tej ziemi aż roi się od nieznośnych szelmów, którzy potrafią się przysiąc, opowiedzieć ci o wszelkich swych kłopotach, a nawet deklamować ci własne wiersze.*

**Heinrich Heine, *Obrazy z podróży***

W szkle pękatych kieliszków do koniaku odbijały się świece płonące w srebrnych kandelabrach. Minister, wypuściwszy dwa kłęby dymu przy rozpalaniu okazałego cygara z Vuelta Abajo, dyskretnie lustrował swego rozmówcę. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że ma przed sobą kanalię, choć widział, jak zajechał przed portal Lhardy'ego w nieskazitelnej berlince ciągnionej przez dwie wspaniałe klacze angielskie, a delikatne, wypielęgnowane palce, zsuwające teraz opaskę z cygara, ozdobione były cennym diamentem, oprawnym w złoto. To wszystko, a ponadto elegancka swoboda gościa i dokładne *dossier*, jakie kazał przygotować na jego temat, pozwalały machinalnie zaliczyć przybyłego do kategorii kanalii szacownych. Dla ministra bowiem, który broń Boże nie uważał się za radykała w kwestiach etycznych, nie wszystkie kanalie były takie same. Na ocenę towarzyską miały u niego bezpośredni wpływ dystynkcja i zamożność danej osoby. Zwłaszcza jeśli za cenę owego drobnego gwałtu moralnego otrzymywało się istotne korzyści materialne.

– Potrzebuję dowodów – powiedział minister, właściwie po to tylko, żeby zacząć. W istocie rzeczy już miał pewność: to nie on będzie płacił za kolację. Jego rozmówca uśmiechnął się lekko, jak ktoś, kto usłyszał właśnie to, czego usłyszeć się spodziewał. Uśmiechał się dalej, gładząc nieskazitelnie białe mankiety, pozwalając błysnąć okazałym brylantowym spinkom i wkładając rękę do wewnętrznej kieszeni surduta.

– Oczywiście, dowody – mruknął z lekką ironią.

Zalakowana koperta bez żadnej pieczęci legła na jedwabnym obrusie tuż przy brzegu stołu, blisko rąk ministra. Ten nie dotknął jej, jakby w obawie, że się zakazi, i dalej przyglądał się swemu rozmówcy.

– Słucham pana – powiedział. Rozmówca wzruszył ramionami, od niechcenia wskazał na kopertę. Sprawiał wrażenie, że jej zawartość przestała go interesować z chwilą, gdy opuściła jego rękę.

– Nie wiem – odparł, jakby to wszystko nie miało najmniejszego znaczenia. – Nazwiska, adresy... To chyba urocza lista. Urocza dla pana. Będzie pan miał czym zająć swoich agentów przez jakiś czas.

– Wszyscy zamieszani są na liście?

– Powiedzmy, że są ci, którzy muszą na niej być. Tak czy inaczej uważam, że powinienem ostrożnie administrować własnym kapitałem.

Ostatnim słowem ponownie towarzyszył uśmiech. Tym razem było w nim więcej zuchwałości. Minister poczuł się poirytowany.

– Szanowny panie, mam wrażenie, że lekce pan sobie waży całą sprawę. Pańska sytuacja...

Zawiesił zdanie niczym groźbę. Rozmówca robił wrażenie zaskoczonego. Po chwili na jego twarzy pojawił się grymas.

– Nie oczekuje pan chyba – odparł zastanowiwszy się chwilę – żebym przybywał po odbiór trzydziestu srebrników z miną nawróconego złoczyńcy. Ostatecznie nie dają mi panowie innego wyboru.

Minister przykrył kopertę dłonią.

– Mógłby pan odmówić współpracy – odrzekał z cygarem w zębach. – Wyglądałoby to nawet bohatersko.

– Mógłbym, niewątpliwie – gość opróżnił kieliszek koniaku i wstał sięgając po laskę i cylinder z sąsiedniego krzesła. – Ale bohaterowie zazwyczaj giną. Albo popadają w ruinę. A tak się składa, że ja mam za dużo do przegrania, o czym pan wie najlepiej. W moim wieku i zawodzie ostrożność to coś więcej niż zaleta. To instynkt. Postanowiłem więc sam siebie rozgrzeszyć.

Nie było uścisku dłoni ani żadnej pożegnalnej formuły. Jedynie odgłos kroków na schodach i turkot powozu ruszającego w deszczu. Kiedy minister został sam, otworzył kopertę, złamał lak, i założył okulary, przysuwając się do światła kandelabra. Raz i drugi zastęwał w bezruchu i sącząc koniak rozmyślał nad zawartością otrzymanego dokumentu. Gdy skończył lekturę, siedział jeszcze czas jakiś spowity kłębam cygarowego dymu. Później spojrzał smętnie na piecyk ocieplający salonik dla gości i wstał leniwie, by podejść do okna.

Miał przed sobą wiele godzin pracy i na myśl o tym wycedził dość oględne przekleństwo. Znad złodowaciałych szczytów Guadarramy nadciągnęła nad Madryt zimna ulewa. Była grudniowa noc 1866 roku. Nad Hiszpanią panowała jej katolicka wysokość królowa Izabela II.

## Rozdział pierwszy

### O walce szermierczej

*Walka szermiercza między ludźmi honoru,  
pod kierunkiem mistrza wiernego podobnym zasadom,  
jest jedną z owych rozrywek właściwych dobremu smakowi  
i wykwiłtnemu wychowaniu.*

Znacznie później, kiedy Jaime Astarloa, chcąc zebrać w spójną całość rozproszone fragmenty tragedii, usiłował przypomnieć sobie, jak się to wszystko zaczęło, pierwszym obrazem, jaki podsunęła mu pamięć, była postać markiza. I owa galeria wychodząca na ogrody Retiro, do której falami wlewały się przez okna pierwsze letnie upały i promienie światła tak ostrego, że trzeba było mrużyć oczy, ilekroć padały na połyskujące kosze floretów.

Markiz nie był w najlepszej formie; sapał niczym zdezelowany miech, a koszula pod plastronem była mokra od potu. Bez wątpienia odpokutowywał jakieś nocne ekscesy, ale Jaime Astarloa, zgodnie ze swoim zwyczajem, wstrzymał się od jakichkolwiek niestosownych uwag. Prywatne życie klientów nie było jego sprawą. Sparował jedynie zasloną trzecią beznadziejne pchnięcie, jakiego powstydzilby się początkujący uczeń, i odpowiedział wypadem. Sprężysta broń włoska wygięła się, zadawszy silne uderzenie punktą w pierś adwersarza.

– Trafiony, ekscelencjo.

Luis de Ayala Veiate y Vallespín, markiz de los Alumbres, mełł w ustach jakieś siarczyste przekleństwo, z wściekłością zrywając maskę. Ledwo dyszał, czerwony od gorąca i wysiłku. Grube krople potu spływały mu spod włosów, zalewając brwi i wąsy.

– A niech to wszyscy diabli – w głosie arystokraty pobrzmiwała nuta upokorzenia. – Jak pan to robi, don Jaime? W niespełna kwadrans już trzeci raz zapędza mnie pan w kozi róg.

Jaime Astarloa wzruszył ramionami w geście stosownej skromności. Kiedy zdjął maskę, w kącikach ust pod wąsami lekko przyprószonymi siwizną czał się łagodny uśmiech.

– Ekscelencja nie ma dziś najlepszego dnia.

Luis de Ayala wybuchnął jowialnym śmiechem i raźnym krokiem ruszył wzdłuż galerii, której ściany zdobiły cenne flamandzkie gobeliny i panoplie ze starymi szpadami, floretami i szablami. Włosy miał gęste i kędzierzawe, co upodabniało je do lwiej grzywy. Wszystko w nim kipiało życiem: miał krzepką postać, donośny głos i skłonność do pompatycznych gestów, namiętnych uniesień i wesołej kompanii. Markiz de los Alumbres, czterdziestoletni, nader wytworny kawaler obdarzony podobno znaczną fortuną, zatwardziały hazardzista i niepoprawny kobieciarz, uosabiał wszystkie cechy tak charakterystycznego dla dziewiętnastowiecznej Hiszpanii arystokraty birbanta: w życiu nie przeczytał żadnej książki, ale potrafił wyrecytować z pamięci rodowód każdego słynnego konia z londyńskich, paryskich bądź wiedeńskich hipodromów. Co się zaś tyczy kobiet, skandale, jakimi co raz to obdarzał madrycką socjetę, stanowiły ulubiony temat wszystkich salonów, nieodmiennie łąkających takich właśnie nowinek i plotek. Nikt spośród jego rówolatków nie trzymał się równie świetnie i dość było wymienić jego imię, by wzbudzić u dam wspomnienie romantycznych przygód i burzliwych namiętności.

Prawdą jest, że markiz de los Alumbres otoczony był swoistą legendą na bogobojnym dworze Jej Katolickiej Mości. Skryte za wachlarzami usta rozprawiały szeptem, jak to podczas libacji wywołał bójkę na noże w jednej ze spelunek na Cuatro Caminos, co było nieprawdą, i że po egzekucji słynnego bandyty przyjął jego syna pod swój dach w jednym z majątków w Maladze, co było absolutną prawdą. O jego związkach z polityką mówiono niewiele, bo były przejściowe, ale jego przygody miłosne trafiały na języki całego miasta. Plotkowano nawet, że niektórzy spośród znamienitych małżonków mieli powodów aż nadto, by żądać odeń satysfakcji; a czy decydowali się na ten krok, czy też nie – to już zupełnie inna sprawa. Czterech, może pięciu, wysłało swoich sekundantów raczej z uwagi na ludzkie gadanie niż z jakichkolwiek innych względów i jedyne, co nieodmiennie zyskiwali tym gestem, poza przykrą koniecznością zrywania się z łóżka bladym świtem, było jeszcze przykrzejsze, było krwawe przebudzenie w trawach podmadryckich bloni. Co ostrzejsze języki rozpowiadały, że pomiędzy tymi, którzy mogli domagać się satysfakcji od markiza, znajdował się również sam król małżonek. Ale przecież cały Madryt wiedział, że jeśli już, to akurat nie zazdrość o dostojną połowicę mogła należeć do słabostek Jego Wysokości don Francisca de Asís. W ostateczności zaś to, czy Izabela II rzeczywiście uległa niewątpliwym urokom osobistym markiza de los Alumbres, czy też nie, stanowiło sekret obojga przypuszczalnie zainteresowanych lub też spowiednika królowej. Sam Luis de Ayala nie miał spowiednika, bo, jak mawiał, na czorta mu spowiednik.

Zdjąwszy pikowany napierśnik i zostawszy w samej koszuli markiz odłożył floret na stolik, na którym milcząco kamerdyner postawił srebrną tacę z butelką.

– Don Jaime, na dziś wystarczy. Dzisiaj mam dwie lewe ręce, więc kapituluję. Napijmy się jerezu.

Zaproszenie na kieliszek po trwających godzinę ćwiczeniach szermierczych przerodziło się już w rytuał. Jaime Astarloa, z maską i floretem pod pachą, podszedł do pana domu i wziął do ręki kryształowy kieliszek z lśniącem niczym płynne złoto winem. Arystokrata z rozkoszą wciągnął aromat.

– Co jak co, mistrzu, ale trzeba przyznać, że w Andaluzji potrafią cuda butelkować – zamoczył usta i mlasnął z zadowoleniem. – Proszę popatrzeć pod światło: czyste złoto,



słońce Hiszpanii. Nie ma co zazdrościć tych babskich, zagranicznych cienkuszy.

Don Jaime przytaknął z zadowoleniem. Podobał mu się Luis de Ayala i pochlebiało mu, że markiz tytułuje go mistrzem, chociaż ściśle rzecz ujmując, nie należał do jego uczniów. W istocie rzeczy markiz de los Alumbres był jednym z najlepszych szermierzy na dworze i od wielu lat niepotrzebne mu były jakiegokolwiek lekcje. Jego związki z don Jaimem były zupełnie innej natury: arystokrata kochał szermierkę równie namiętnie co hazard, kobiety i konie. Godzinę dziennie oddawał się więc szlachetnym i zdrowym ćwiczeniom szermierczym, które to zajęcia, z uwagi na charakter markiza i jego upodobania, okazywały się nader pożyteczne, gdy przychodziło rozstrzygać sprawy honoru. Chcąc mieć godnego siebie przeciwnika, Luis de Ayala zwrócił się pięć lat temu do najlepszego fechtmistrza w Madrycie, za takiego bowiem uchodził don Jaime, choć niektórzy szermierze, posłuszni nowym modom, uznawali jego styl za zbyt klasyczny i przestarzały. I w taki oto sposób codziennie, prócz sobót i niedziel, stary nauczyciel fechtunku stawiał się punktualnie o dziesiątej rano w pałacu Villaflores, rezydencji arystokraty. Tam w przestronnej galerii szermierczej, wybudowanej i wyposażonej podług najbardziej wymagających reguł sztuki, markiz z zażartą wytrwałością stawał do walk szermierczych, choć umiejętności i talent mistrza najczęściej brały w nich górę. Niemniej, jak przystało na rasowego gracza, Luis de Ayala potrafił również z klasą przegrywać. Poza wszystkim zresztą podziwiał wyjątkową sztukę starego fechtmistrza.

Z grymasem bólu na twarzy arystokrata zaczął rozcierać sobie tors, wzdychając głęboko.

– A niech to, mistrzu, ledwo żyję... Będę się musiał natrzeć spirytusem po tej nauczce, i to nie raz.

Jaime Astarloa uśmiechnął się skromnie.

– Powiedziałem już, że ekscelencja nie ma dziś najlepszego dnia.

– Słów szkoda. Gdyby pański floret miał ostrze zamiast pundy, ziemię bym już gryzł. Obawiam się, że dziś w mej osobie nie miał pan, mistrzu, godnego siebie przeciwnika.

– Za hulanki i swawole trzeba słono płacić.

– Święta prawda! Szczególnie w moim wieku. Nie jestem już żółtodziobem, do diabła. Ale na to nie ma rady, don Jaime... Nie zgadnie pan, co mi się przytrafiło.

– Domyślam się, że ekscelencja jest zakochany.

– W rzeczy samej – westchnął markiz, dolewając sobie jerezu. – Zakochałem się jak pierwszy lepszy młokos. Po same uszy.

Fechtistrz odkaszlnął, przyglądając wąsa.

– O ile mnie pamięć nie myli – powiedział – to już trzeci raz w niespełna miesiąc.

– Mniejsza z tym. Najistotniejsze, że jak się kocham, to na zabój. Jak cielę. Rozumie

pan?

– Doskonale, ekscelencjo. Nawet bez użycia metafory.

– To ciekawe. Im bardziej lat mi przybywa, tym zapamiętałem się zakochuję, to silniejsze ode mnie. Ręka wciąż silna, ale serce słabe, jak mówili klasycy. Gdybym tylko mógł panu opowiedzieć...

I nie zwlekając markiz de los Alumbres przystąpił do zawołanego pólslówkami i wymownymi niedopowiedzeniami opisu szalonej namiętności, po której uniesieniach czuł się o brzasku całkowicie wyczerpany. Oczywiście, prawdziwa dama. A mąż w zupełnej nieświadomości.

– Jednym słowem – cyniczny uśmiech pojawił się na twarzy markiza – za grzechy popelnione czuję się dziś tak, jak się czuję.

Don Jaime pokręcił głową z ironią, ale i wyrozumiale.

– Szermierka jest jak komunia – powiedział karcącym tonem, choć z uśmiechem. – Nie należy przystępować do walki, jeśli ciało i dusza nie są odpowiednio usposobione. Złamanie tego pierwszego prawa niesie za sobą zasłużoną karę.

– Do diaska, mistrzu. Muszę to sobie zanotować.

Jaime Astarloa przytknął kieliszek do ust. W niczym nie był podobny do swego pełnego wigoru klienta. Liczył już sobie pięćdziesiąt lat z nawiązką; był średniego wzrostu, a jego chuda do granic możliwości postać sprawiała fałszywe wrażenie nader kruchej. Kłam temu zadawały krzepkie członki, suche i węzłowate niczym leciwa wić winna. Ciut orli nos, pogodne i szlachetne czoło, włosy siwe, ale jeszcze gęste, delikatne i wypielęgowane dłonie – emanowały łagodnym poczuciem godności dodatkowo podkreślonej powagą szarych oczu obrzeżonych siateczką drobnych zmarszczek, które zbiegając się i gęstniejąc z chwilą, gdy na twarzy fechtmistrza pojawiał się uśmiech, przydawały źrenicom figlarności i sympatii. Wąsy nosił starannie wypielęgowane, podług starej mody, i nie był to jedyny anachronizm, jaki można było w nim dostrzec. Środki, jakimi dysponował, wystarczały mu ledwie na skromną w swej elegancji odzież, niemniej nosił ją z dekadencckim szykiem, nie zważając w zupełności na obowiązujące mody. Ubrania, nie wyłączając tych najnowszych, skrojone były według wzorów sprzed lat dwudziestu, co w jego wieku należało nawet do dobrego tonu. Wszystko to razem nadawało starymu fechtmistrzowi wygląd kogoś, kto zatrzymał się w czasie, obojętny wobec nowych obyczajów burzliwej epoki, w jakiej przyszło mu żyć. Trzeba przyznać, że sprawiało mu to sporo wewnętrznej radości, z niejasnych zresztą powodów, których nawet sam zainteresowany nie umiałby wytłumaczyć.

Służący przyniósł dwie napełnione wodą miednice i ręczniki. Luis de Ayala zdjął koszule; na jego krzepkim, lśniącym jeszcze od potu torsie widniały czerwone ślady po pchnięciach floretem.

– Na rogatego Lucyfera, mistrzu, nieźle mnie pan podziurawił... I pomyśleć, że jeszcze panu za to płace!

Jaime Astarloa wytarł twarz i spojrzał na markiza życzliwie. Luis de Ayala obmywał sobie pierś prychając.

– Choć nie ulega wątpliwości – dodał – że w polityce dostać można większe cięgi. A wie pan, że González Bravo zaproponował mi odzyskanie poselskiego mandatu? Z perspektywą objęcia kolejnego stanowiska, jak twierdzi. Widocznie traci już grunt pod nogami, jeśli sięga po takiego lekkoducha jak ja.

Na twarzy fechtmistrza pojawił się wyraz żywego zainteresowania. W rzeczywistości polityka w ogóle go nie obchodziła.

– I co ekscelencja zamierza?

Markiz de los Alumbres lekceważąco wzruszył ramionami.

– Co zamierzam? Absolutnie nic. Powiedziałem mojemu znakomitemu imiennikowi, by na pokład tego okrętu zaprosił raczej swego szanownego ojczulka. Używając, oczywiście, nieco innych słów. Szeroki gest, zielone sukno w bile kasynie i piękne oczy pod bokiem – oto mój żywioł. A za resztę dziękuję.

Luis de Ayala był wcześniej deputowanym w Kortezach, piastując zarazem przez krótki czas dość wysokie stanowisko w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w jednym z ostatnich gabinetów premiera Narvaeza. To odejście w trzy miesiące po objęciu stanowiska zbiegło się ze śmiercią jego wuja Vallespina Andreu. Niebawem Ayala zrezygnował, tym razem już z własnej woli, z mandatu w parlamencie, opuszczając zarazem szeregi partii moderantystów, czyli umiarkowanych, której dotychczas był – równie umiarkowanym – członkiem. Wygłoszone przezeń w klubie Ateneo słowa „a za resztę dziękuję” zrobiły zawrotną karierę, wzbogacając ówczesny słownik polityki o powiedzonko określające jak najgłębsze rozczarowanie ponurą rzeczywistością kraju. Od tamtego czasu markiz de los Alumbres trzymał się na uboczu wszelkiej działalności publicznej. Odmawiał udziału w wojskowo–cywilnych aliansach, zawiązywanych przy upadku i narodzinach kolejnych rządów, ograniczał się jedynie do biernego kwitowania następnego politycznego zamętu uśmiezkami dyletanta. Żył po wielkopańsku i bez mrugnienia przegrywał ogromne sumy przy zielonych stolikach. Plotkarze rozpowiadali, że nieustannie znajduje się na skraju bankructwa, ale Luis de Ayala zawsze potrafił odtworzyć swoje finanse, na które widocznie składały się tyleż nieograniczone, co i nieoczekiwane źródła.

– Jak idą poszukiwania Graala, don Jaime?

Fechtistrz przerwał na chwilę zapinanie koszuli i spojrzał na swego rozmówcę z wyraźnym zakłopotaniem.

– Nie najlepiej. A nawet źle. To najwłaściwsze słowo... Nierzadko zastanawiam się, czy zadanie to nie przekracza moich umiejętności. Przychodzą takie chwile, kiedy, szczerze muszę to panu markizowi wyznać, najchętniej bym zrezygnował.

Luis de Ayala obmywszy się wytarł tors ręcznikiem i ponownie sięgnął po kieliszek jerezu. Uderzeniem paznokci wydobył z kryształu wibrujący dźwięk i przystawił szkło

do ucha z wyraźną satysfakcją.

– Głupstwa, mistrzu. Głupstwa. Ma pan wszystkie przymioty niezbędne do realizacji tego ambitnego przedsięwzięcia.

Smutny uśmiech zagościł przez chwilę na wargach fechtmistrza.

– Chciałbym bardzo podzielać pańską ufność, ekscelencjo. Ale w moim wieku zbyt wiele rzeczy zawodzi... Nawet w samym człowieku. Zaczynam podejrzewać, że mój Graal nie istnieje.

– Wszystko głupstwa.

Od wielu już lat Jaime Astarloa pracował nad *Traktatem o sztuce fechtunku*, który – zdaniem wszystkich znających niepospolite umiejętności i ogromne doświadczenie autora – miał z chwilą ukończenia stanowić niewątpliwie jedno z fundamentalnych dzieł w tej materii, porównywalne jedynie ze studiami takich wielkich mistrzów, jak Gomard, Grisier i Lafaugère. Ale w ostatnich latach zaczęły autorem targać poważne wątpliwości, czy aby rzeczywiście potrafi spisać to wszystko, czemu poświęcił całe życie. Z drugiej zaś strony pewna okoliczność dodatkowo potęgowała rozterki. Aby dzieło stanowiło *non plus ultra* w inspirującej je materii, powinno było znaleźć się w nim arcymistrzowskie pchnięcie, doskonale, nie do sparowania, najczystszy wytwór ludzkiego talentu, wzór natchnienia i skuteczności. Poszukiwaniom owego pchnięcia poświęcił się don Jaime od dnia, w którym pierwszy raz skrzyżował floret z przeciwnikiem. Dotarcie do Graala, jak nazywał ów mistrzowski ruch, nie przyniosło dotąd żadnego rezultatu. A z biegiem lat, wraz z powolną utratą sprawności fizycznej i intelektualnej, stary fechtmistrz czuł, jak dotychczasowy zapal zaczyna wymykać mu się z jeszcze sprawnych rąk, a talent uskrzydlający jego profesjonalne ruchy zanika, przytłaczany brzemieniem lat. Niemal codziennie Jaime Astarloa, w samotności swego skromnego gabinetu, pochylony w świetle lampy naftowej nad pożółkłymi już kartkami, daremnie usiłował natrafić w zakamarkach pamięci na klucz do tajemnicy. Niepojęta intuicja podpowiadała mu, że klucz istnieje, tylko ukrywa się uparcie w miejscu, z którego nie chce być doboty. Ślęczał tak całymi nocami. Potrafił również zerwać się z łóżka, wyrwany ze snu nagłym olśnieniem, by w samej koszuli, trzymając w dłoni z porywczą desperacją jeden ze swych floretów, stanąć na wprost luster pokrywających ścianę jego małej galerii. Usiłując uchwycić to, co parę minut temu było zaledwie przelotną iskrą olśnienia w jego śpiącym rozumie, pograżał się w beznadziejnych, próżnych poszukiwaniach, studiował swoje ruchy i myśli w milczącym pojedynku z własną podobizną, której sarkastyczny uśmiech zdawał się dostrzegać w półmroku.

Jaime Astarloa wyszedł na ulicę z pełnym floretów futerałem pod pachą. Poranek był upalny, Madryt usychał w promieniach niemilosierznego słońca. W kawiarniach gwaro było od dwóch tematów, od skwaru i od polityki – rozmowy zaczynało od kilku zdań o spiekocie, by po chwili przejść do omówienia kolejnych, zawiązujących się spisków, z których większość stanowiła tajemnicę poliszynela. Tamtego lata 1868 roku konspirowali wszyscy. W marcu zmarł stary Narváez; Gonzalezowi Bravo wydawało się, że potrafi rządzić silną ręką. W pałacu Oriente królowa słała płomienne spojrzenia młodym oficerom swojej gwardii, żarliwie odmawiała różaniec i przygotowywała się do

bliskich letnich wywczasów na północy kraju. Inni musieli zadowolić się odpoczynkiem na emigracji. Większość wybitnych mężów stanu, jak chociażby Prim, Serrano, Sagasta czy Ruiz Zorrilla, znajdowała się na wygnaniu, w areszcie bądź pod dyskretnym nadzorem. Wszyscy mimo to wytrwale knuli w ramach spisku określanego mianem „O honor Hiszpanii”. Uczestnicy kawiarnianych spotkań zgodnie twierdzili, że dni Izabeli II są policzone. Bardziej umiarkowani opowiadali się za jej abdykacją na rzecz syna Alfonsita, radykałom natomiast roily się mrzonki republikańskie. Ludzie szeptali, że Juan Prim, hrabia de Reus, przybędzie lada chwila z Londynu, po prawdzie bohater bitwy pod Castillejos, stoczonej w czasie kampanii marokańskiej, zdążył się już kilkakrotnie pojawić, za każdym razem jednak był zmuszony brać nogi za pas. Jak głosiła popularna śpiewka, figa jeszcze nie dojrzała. Inni zauważali z kolei, że figa już dawno zaczęła gnić, wisząc tyle czasu na gałęzi. Cóż, zależało to od punktu widzenia.

Skromne dochody nie pozwalały Jaimemu Astarloi na przesadne zbytki, dlatego ruchem głowy odmówił dorożkarzowi, proponującemu kurs rozklekotaną bryką. Szedł aleją Prado, mijając beczynnych przechodniów, którzy szukali cienia pod drzewami. Co i raz spostrzegał znajomą twarz i kłaniał się uprzejmie zwyczajowym uchyleniem szarego cylindra. Jednakowo odziane piastunki plotkowały zawzięcie na drewnianych ławeczkach, popatrując z daleka na uganiające się wokół fontann dzieci w marynarskich ubrankach. Damy z obszytymi koronką parasolkami w dłoniach zażywały przejażdżki w odkrytych powozach.

Pomimo lekkiego, letniego surduta don Jaime aż dusił się od gorąca. Miał jeszcze odwiedzić dwóch swoich uczniów, młokosów z dobrych rodzin. Ich ojcowie uważali szermierkę za ćwiczenie dobre dla higieny ciała, jedno z niewielu, jakim młody człowiek mógł się oddać bez uszczerbku na rodzowym honorze. Dzięki honorariom otrzymywanym z tego tytułu oraz jeszcze paru klientom odwiedzającym jego galerię popołudniami nauczyciel fechtunku jakoś sobie radził. Ostatecznie wydatki miał nader skromne: czynsz za mieszkanie przy ulicy Bordadores, obiad i kolacja w pobliskiej oberży, kawa i grzanka w Progreso... Na polecenie markiza de los Alumbres pierwszego każdego miesiąca otrzymywał pewną sumkę, która zapewniała mu drobne dodatkowe przyjemności. Nie chcąc dokonać żywota w przytułku, resztę pieniędzy odkładał z myślą o latach, kiedy starość uniemożliwi mu dalsze uprawianie zawodu. Ta perspektywa, co stwierdzał z niejakim smutkiem, była coraz bliższa.

Hrabia de Sueca, deputowany do Kortezów, ojciec jednego z nielicznych uczniów don Jaimego, jechał konno we wspaniałych angielskich sztylpach.

– Dzień dobry, mistrzu – sam de Sueca też był jego uczniem jakieś sześć, siedem lat wcześniej. Został wówczas wyzwany na pojedynek, co zmusiło go do skorzystania z usług Jaimego Astarloi, by podnieść własne umiejętności szermiercze na dzień przed walką. Wynik był zadowalający, stal uczyniła w piersi rywala dziurę długości cala, a hrabia od tamtej pory utrzymywał z profesorem fechtunku serdeczne stosunki, do których teraz dopuszczony został także jego syn. – Jak widzę, zawsze ze sprzętem pod pachą... Pewnie poranny obchód?

Don Jaime z uśmiechem pogładził czule pokrowiec z floretami. Rozmówca, nie zsiadając z wierzchowca, dotknął z szacunkiem róna kapelusza w geście powitania. Fechtmistrz stwierdził w duchu, że wyjąwszy Luisa de Ayala wszyscy klienci traktowali go podobnie: uprzejmie, ale z zachowaniem lekkiego dystansu. Cóż, płacili mu za usługi. Z drugiej

strony profesor był już w takim wieku, że właściwie go to nie bolało.

– Ano tak, don Manuelu... Zaskoczył mnie pan podczas codziennych zajęć, w samym środku madryckiego żaru. Ale praca to praca.

Hrabia, który sam nigdy w życiu nie pracował, starał się miną wyrazić zrozumienie, poskramiając jednocześnie niecierpliwe ruchy swej pięknej klaczy rasy izabelińskiej. Poskrobawszy małym palcem brodę rozejrzał się w zamyśleniu i chwilę spoglądał na grupkę dam, przechadzających się koło ogrodzenia Ogrodu Botanicznego.

– A jak tam mój Manolito? Ufam, że robi postępy.

– A jakże, a jakże. Chłopak ma talent. Jest jeszcze nazbyt zapalczywy, ale przy jego siedemnastu wiosnach można to uznać za zaletę. Czas i dyscyplina go ostudzą.

– Jest w pańskich rękach, mistrzu.

– Z całym uszanowaniem, ekscelencjo.

– Życzę panu miłego dnia.

– Ja panu również, ekscelencjo. Ukłony dla pani hrabiny.

– Z pewnością je odwzajemni.

Oddalili się w swoje strony. Don Jaime skręcił w ulicę las Huertas, na chwilę przystanął przed witryną księgarni. Kupowanie książek było jego pasją, ale też stanowiło pewien zbytek. Mógł sobie na taki luksus pozwolić tylko raz na jakiś czas. Pieszczotliwie musnął wzrokiem złocenia na grzbietach oprawnych w skórę tomów i westchnął, wspominając z melancholią czasy, kiedy lepiej radził sobie z domowymi finansami. Po chwili ocknął się, wyjął z kieszonki zegarek na długim, złotym łańcuszku, pamiątkę z lepszych lat. Miał kwadrans, żeby stawić się w domu Matiasa Soldevilli – Bracia Soldevilla, Kupcy Bławatni, Dostawcy Dworu Królewskiego i Wojsk Zamorskich – i przez godzinę wbijać do tępej głowy jego syna Salvadorina pojęcia z zakresu szermierki: „Zasłona, związanie, wyzwolenie, skracanie głowni przeciwnika... Raz–dwa, Salvadorín, raz–dwa, tak, z umiarem, uwaga na zwód, dobrze, unikamy zbędnych ruchów, do tyłu, tak, zasłona, źle, bardzo źle, tragicznie, jeszcze raz, obrona, raz–dwa, zasłona, związanie, wyzwolenie, skracanie głowni. Młokos robi postępy, don Matiasie, ani chybi. Jest jeszcze zielony, ale intuicję i talent to ma. Potrzebujemy tylko czasu i dyscypliny...” Wszystko to za sześćdziesiąt reali miesięcznie.

Słońce raziło z wysoka, obrazy w oddali zaczynały falować od gorąca. Ulicą przejechał woziwoda, głośno zachwalając swój orzeźwiający towar. W cieniu sapała ciężko sprzedawczyni warzyw, machinalnym gestem odganiając chmary much znad koszyków pełnych zieleniny i owoców. Don Jaime zdjął cylinder i otarł pot starą chustką wyciągniętą spod mankieta. Chwilę popatrywał na herb wyszyty niebieską nicią na zużyтым jedwabiu – wyblakły już po tylu latach i tylu praniach – po czym ruszył w dalszą drogę, zgarbiony pod brzemieniem bezlitosnego skwaru. Jego cień przybrał postać niewielkiej plamy wokół stóp.

Progreso było nie tyle kawiarnią, co raczej jej przeciwieństwem. Pół tuzina stolików z wyszczerbionego marmuru, wiekowe krzeselka, skrzypiąca pod nogami drewniana podłoga, zakurzone firanki i słabe światło. Przy drzwiach wiodących do kuchni, spoza których dobiegał miły aromat parzonej w garnuszku kawy, drzemał kierownik lokalu, stary Fausto. Wychudły, kaprawy kocur prześlizgiwał się z przebiegłą miną pod stolami w nadziei na wielce wątpliwe spotkanie z myszą. Zimą nieodmiennie zalatywało tu wilgocią, a na tapetach wykwitwały duże żółte plamy. Klienci przybytku niemal zawsze pozostawali w okryciach wierzchnich, co było jawnym wyrzutem wobec niedołężnego, żelaznego piecyka, ledwie żarzącego się w kącie.

Latem za to co innego. W upalnym Madrycie kawiarnia Progreso stawała się oazą cienia i chłodu, jakby dzięki ciężkim zasłonom udało jej się zachować trochę mrozu nagromadzonego tu zimą w murach. Z tego właśnie powodu znajomi Jaimego Astarloi spotykali się tu na swoje codzienne popołudniowe posiedzenia, gdy tylko lato zaczynało doskwierać.

– Pan przeinaczasz moje słowa, don Lucasie. Jak zwykle zresztą.

Agapito Cárceles wyglądem przypominał księdza, który zrzucił sukienkę – co zresztą było prawdą. Podczas dyskusji podnosił wysoko palec wskazujący, jakby brał niebiosa na świadka. Zwyczaju tego nabrał w krótkim okresie, kiedy na skutek niewytłumaczalnego zaniedbania (którego biskup tutejszej diecezji wciąż żałował) władze kościelne pozwoliły mu przemawiać z ambony do wiernych. Teraz egzystował, naciągając znajomych na drobne sumki i publikując płomienne, radykalne filipiki w niskonakładowych pismach, które firmował pseudonimem „Utajony patriota”, co było przedmiotem niejednej kpiny ze strony partnerów od kawiarnianego stolika. Mienił się republikaninem i federalistą, deklamował spłodzone przez siebie samego grafomańskie, antymonarchiczne sonety, rozpowiadał wszem i wobec, że Narváez był tyranem, a Espartero strachliwym dudkiem oraz że niepokoi się o Serrana i Prima, cytował sentencje łacińskie bez związku z rozmową i bez ustanku powoływał się na Rousseau, którego nigdy w życiu nie przeczytał. Miał dwie zmory – kler i monarchię – i zajadle przekonywał, jakoby w dziejach Ludzkości liczyły się naprawdę tylko dwa wynalazki: druk oraz gilotyna.

Stuk. Stuk. Stuk. Lucas Rioseco bębnił palcami w stół z widoczną niecierpliwością. Kręcił wąsem wśród nieustannego „hm, hm” i spoglądał na plamy na suficie, jakby tam szukał świętej cierpliwości, która pozwoliłaby mu dalej słuchać impertynencji kolegi.

– Sprawa jest jasna – wyrokował Cárceles. – Rousseau wyjaśnił już, czy człowiek jest z natury dobry czy zły. A jego argumenty, szanowni panowie, są miążdzące. Miążdzące, don Lucasie, proszę to sobie raz na zawsze zapamiętać. Wszyscy ludzie są dobrzy, a zatem muszą być wolni. Wszyscy ludzie są wolni, a zatem muszą być równi. I teraz najlepsze: wszyscy ludzie są równi, *ergo* są suwerenni. Tak jest, panowie. Z naturalnej dobroci człowieka wynikają przeto wolność, równość i narodowa suwerenność. Cała reszta – walnięcie w stół – to banialuki.

– Ale istnieją też ludzie źli, drogi przyjacielu – zauważył przebiegle don Lucas, jakby właśnie złapał Cárcelesa w jego własną sieć.

Dziennikarz uśmiechnął się z istic olimpijską pogardą.

– Zgoda, naturalnie. Któż w to wątpi? Chociażby rządowe bękarty, które będą się w piekle smażyć, González Bravo ze swoją kliką, Kortezy... Wiadomo, typowe wrzody na ciele. Do czego zmierzam? Chcąc sobie z nimi poradzić, rewolucja francuska zmajstrowała pomyslowe urządzenie: nóż, który podnosi się i opada. Ciach. Do archiwum. Ciach. Do archiwum. W ten sposób likwiduje się wszelkie wrzody, typowe i nietypowe. *Nox atra cava drcunvolat umbra*<sup>1</sup>. A dla wolnego, równego i suwerennego ludu światło rozumu i postępu.

Don Lucas nie posiadał się ze złości. Pochodził z dobrej, choć zubożalej rodziny, był nadąsanym mizantropem pod sześćdziesiątkę, bezdzielnym wdowcem, o którym mówiono, że nie widział na oczy srebrnej monety od czasów dawno zmarłego króla Ferdynanda VII i że żył ze znikomej renty, wspomagany przez litościwe sąsiadki. Mimo to skrupulatnie zachowywał pozory. Ubrań miał wprawdzie niewiele, ale zawsze były starannie wyprasowane. Wszyscy znajomi naprawdę podziwiali jego elegancko zawiązany (jedyne) krawat i monokl z masy perłowej na lewym oku. Poglądy miał zachowawcze: określał siebie jako monarchistę, katolika i przede wszystkim człowieka honoru. Z Cárcelesem nieodmiennie się czubił.

Oprócz Jaimego Astarloi przy stoliku zasiadali Marcelino Romero, profesor gry na fortepianie w szkole dla dziewcząt, oraz Antonio Carreño, pracownik Apropozycji. Romero był niepozornym, wrażliwym i melancholijnym suchotnikiem. Jego nadzieje na trwale zapisanie się w dziejach muzyki czas dawno zredukował do posady nauczyciela kilkunastu pańienek z dobrych domów, którym starał się wpoić zasady sensownego naciskania klawiszy. Carreño z kolei był rudym, małomównym chudzielcem o miedzianej, zadbanej brodzie i szorstkim obejściu. Starał się robić wrażenie spiskowca i masona, choć nie był ani jednym, ani drugim.

Don Lucas miotał z oczu gromy na Cárcelesa, jednocześnie podkreślając poźółkłego od tytoniu wąsa.

– Już po raz n–ty – rzekł cierpko – wygłosił pan swoją wywrotową analizę stanu państwa. Nikt pana o to nie prosił, a mimo to musieliśmy jej wysłuchać. Trudno.

Z pewnością jutro będziemy ją mogli przeczytać w jakimś rewolucyjnym pamflecie, na którego stronach znajduje pan azyl... Zatem proszę posłuchać, przyjacielu. Ja także n–ty raz powiadam panu: nie. Odmawiam dalszego znoszenia pańskich wywodów. Dla pana jedynym rozwiązaniem jest rzeź. Byłby z pana niezły premier!... Będzie pan łaskaw sobie przypomnieć, czego pański kochany gmin dopuścił się w trzydziestym czwartym: motłoch, podburzony przez niepoczytalnych demagogów, wymordował osiemdziesięciu braci zakonnych.

– Osiemdziesięciu, mówisz pan? – Cárceles zacierał ręce widząc, że don Lucas jak zwykle wpada w złość. – Jakoś za mało. Wiem, o czym mówię, ani chybi! Znam kruchę od środka, ani chybi znam!... Kler i Burbonowie pospołu ciemną nasz kraj, żaden człowiek honoru tego nie zniesie.

---

<sup>1</sup> Noc posępna cieniem spowija lochy (łac.).



– Pan, naturalnie, rozstrzygnąłby tę kwestię, stosując wiadome nam sposoby...

– Jest tylko jeden sposób: klechę i magnata wnet prowadź do kata! Fausto! Jeszcze pięć grzanek, dziś płaci don Lucas!

– Mowy nie ma – dostojny nestor rozparł się na krześle, zatknąwszy kciuki w kieszenie kamizelki. Monokl połyskiwał mu groźnie spod brwi. – Jeśli będę w posiadaniu odpowiednich środków, co dziś nie wchodzi w grę, to jestem gotów postawić, co kto sobie życzy, ale tylko przyjaciółom. Odmawiam natomiast zapraszania fanatyka i renegata.

– Już wolę być, jak pan to nazywasz, fanatykiem i renegatem, niż całe życie wznosić okrzyki „Wiwat kajdany”.

Pozostali goście przy stoliku uznali, że nadszedł czas na interwencję. Jaime Astarloa, mieszając kawę łyżeczką, zaczął prosić o spokój, a pianista Marcelino Romero porzucił obłoki, w których jeszcze przed chwilą bujał z melancholią, i w nadziei załagodzenia sytuacji zaproponował, by porozmawiać teraz o muzyce. Bez skutku.

– Nie zbaczaj pan z tematu – uciał Cárceles.

– Nie zbaczam – sprzeciwił się Romero. – Muzyka też ma wymiar społeczny. W sferze wrażliwości wszyscy są równi. Muzyka przelamuje granice, jednoczy narody...

– Jedyną muzyką, jaką ten pan toleruje, jest hymn buntownika Riego!

– Nie zaczynamy znowu, don Lucasie.

Kotu wydało się, że widzi mysz, rzucił się więc między nogi siedzących. Antonio Carreño palcem umocowanym w szklance wody kreślił tajemnicze znaki na zniszczonym, marmurowym blacie.

– Jeden w Walencji, drugi w Valladolid, podobno trzeci w Kadyksie przyjął emisariuszy, ale bądź tu mądry, czy to prawda. A Prim pojawi się w dniu, kiedy się go najmniej spodziewają. To dopiero będzie awantura na całego!

I w słowach pełnych nieudomówień, skąpiąc szczegółów, jał powiadamiać kolegów przy stoliku o zawiązującym się spisku, mam dobre źródła, panowie, spisku, o jakim dowiedział się dzięki poufny informacjom, ujawnionym mu przez osobistości z jego łoży, których personalia woli przemilczeć. I w niczym nie umniejszał jego podniecenia fakt, że spisek, o którym mówił, a także z pół tuzina innych, stanowiły publiczną tajemnicę. Rozglądając się ukradkiem, posługując się półsłówkami i innymi podstawowymi środkami ostrożności, Carreño wyliczał półgłosem szczegóły przedsięwzięcia, w które, ufam, panowie, że zachowacie dyskrecję, wplątany został chyba po same po uszy. W łożach – mówił o łożach z taką samą swobodą, z jaką inni wspominali o krewnych – otóż w łożach dosłownie wrzało. Oczywiście, mowy nie ma o Karolu VII. Poza tym bez starego Cabrery kuzyn księcia de Montemolin nie sprostał oczekiwaniom. Alfonsito jest wykluczony. Więcej Burbonów nie ma. Chyba że jakiś księżę zagraniczny, skoligacony zgodnie z wymogami konstytucji i tak dalej, ale podobno Prim skłania się raczej ku kandydaturze Montpensiera, szwagra królowej.

Jeżeli nie, pozostaje tylko *chwalebna* Republika, co z pewnością uszczęśliwi naszego przyjaciela Cárcelesa.

– Chwalebna i sfederalizowana – zaznaczył dziennikarz, posyłając don Lucasowi złowróźbne spojrzenie. – Niech słuchają służalcy przebrzmiałych ustrojów.

Don Lucas podjął rękawicę. W tej potyczce był bardzo łatwym celem.

– A pewnie, a pewnie – prychnął wzburzony. – Sfederalizowana, demokratyczna, antyklerykalna, wolnomyślicielska, hołociarska i chuligańska. Wszyscy równi, na Puerta del Sol stanie gilotyna, a jej pomyslowym mechanizmem będzie zawiadywał don Agapito. Kortezy precz, dobrobyt precz. Trybunały ludowe na Cuatro Caminos, na Ventas, na Vallecas, na Carabanchel... Oto, co proponują współwyznawcy pana Cárcelesa. Jesteśmy Afryką Europy!

Pojawił się Fausto z grzankami. Jaime Astarloa zamyślony umoczył swoją w kawie. Śmiertelnie nudziły go te nie skończone klótnie, jakie wszczynali jego kawiarniani koledzy, był jednak skazany na ich towarzystwo z braku lepszego. Dwie godziny dziennie, które z nimi spędzał, co nieco przynajmniej osładzały mu samotność. Przynosili tu swoje wady, zgagi i złe humory, nie przepuścili żadnej żywej istocie, ale dzięki temu mieli okazję wyladować na głos własne frustracje. Każdy członek tego zamkniętego kółka po cichu zyskiwał dzięki pozostałym pocieszającą świadomość, że jego własna porażka nie jest faktem odosobnionym, że podobne doświadczenia dzielą z nim w mniejszym lub większym stopniu także inni. To ich łączyło ponad wszystkimi niesnaskami i kazało wiernie stawiać się na codzienne spotkania. Pomimo częstych klótni, odmiennych sympatii politycznych i stylów bycia, całą piątkę jednoczyła osobliwa solidarność, do której na głos z pewnością by się nie przyznali. Przypominali trochę owe samotne istoty, jakie tulą się do siebie w poszukiwaniu ciepła.

Don Jaime przesunął wzrokiem po otoczeniu i napotkał poważne, subtelne spojrzenie nauczyciela muzyki. Dobiegającego czterdziestki Marcelina Romero od paru lat dręczyła beznadziejna miłość do szanowanej pani domu, której córka dzięki niemu poznała podstawy muzyki. Kilka miesięcy temu relacje nauczyciel–uczennica–matka urwały się, nieszczęśnik spacerował od tamtego czasu dzień w dzień pod pewnym balkonem przy ulicy Hortaleza, ze stoicyzmem pielęgnując w sobie daremną, nie odwzajemnioną czułość.

Fechtmistrz uśmiechnął się do Romera z sympatią, tamten odpowiedział mu z roztargnieniem, zajęty widać własną udręką. Don Jaimemu przyszło do głowy, że w duszy każdego mężczyzny nie sposób było nie napotkać gorzkiego, rozkosznego wspomnienia o jakiejś kobiecie. Także u niego, choć w jego przypadku sprawa należała do bardzo odległej przeszłości.

Zegar na budynku Poczty Głównej zadzwonił siedem razy. Kot wciąż pałętał się bez myszy, Agapito Cárceles recytował anonimowy sonet pamięci Narvaeza, którego autorstwo usiłował przypisać sobie samemu, co wzbudzało kpiące niedowierzanie ze strony otoczenia:

*Jeżeli wędrując ujrzysz przy drodze,  
że wielki kapelusz grób świeży skrywa...*

Don Lucas demonstracyjnie ziewał, raczej chcąc dokuczyć koledze niż z jakiegokolwiek innej przyczyny. Dwie nobliwe damy przeszły ulicą tuż koło okna kawiarni, rzucając po drodze spojrzenie do środka. Siedzący przy stoliku niezwłocznie pochylił się z uszanowaniem – wszyscy oprócz Cárcelesa, który zajęty był deklamacją:

*...powstrzymaj rumaka, ściągnij mu wodze,  
tu wszak (dzięki Bogu) łaskaw spoczywać  
wódz, który mógł bitwy, wojny wygrywać –  
lecz on z powołaniem minął się srodze...*

Wędrowny sprzedawca zachwalał na ulicy hawańskie lizaki, przerywając co chwila, żeby napędzić stracha dwóm półnagim chłopaczkom, którzy szli za nim i pożądlivym wzrokiem wpatrywali się w towar. Do kawiarni weszła grupka studentów, żeby napić się czegoś zimnego. Pod pachami nieśli gazety i z ożywieniem rozprawiali o ostatnich ulicznych akcjach żandarmerii, którą żartobliwie nazywali wandalmerią. Kilku przybyłych zatrzymało się, z rozbawieniem słuchając wygłaszanej przez Cárcelesa elegii na śmierć księcia Walencji:

*Dowodził w salonach, żarł bardzo mężnie,  
opływał w luksusy, hetman nierobów.  
Tak rządził Hiszpanią. Zsiądź, człecze, prężnie  
i, jak nakazuje zwyczaj żałoby,  
weź z ziemi kapelusz, spluń weń potężnie,  
modlitwę zmów, po czym – nasraj do grobu.*

Młodzi ludzie pogratulowali Cárcelesowi, który nie omieszkał ich pozdrowić, podniecony życzliwą reakcją niespodziewanego audytorium. Wymienili parę wiwatów

na rzecz demokracji, po czym dziennikarz przyłączył się do studenterii, zaproszony na kolejkę. Palając świętym gniewem, don Lucas kręcił nerwowo wąsa, a tymczasem kaprawy, napuszony kot ocierał się o jego stopy, jakby chciał w ten sposób przynieść mu lichą pociechę.

W galerii brzęczały florety.

– Uwaga na rytm... Tak, bardzo dobrze. Do czwartej zasłony. Dobrze. Do trzeciej. Dobrze. Do pierwszej. Dobrze. Teraz dwa razy do pierwszej, o tak... Spokojnie. Cofnąć się w zasłonie. Teraz uwaga. Związanie. Do mnie. Proszę mnie zmusić do zasłony pierwszej i jeszcze raz do pierwszej. Dobrze. Mocniej! Unik. Tak. Teraz naprzód! Wypad!... Dobrze. Trafiony. Znakomicie, don Alvaro.

Jaime Astarloa wsunął floret pod lewą pachę, zdjął maskę i odetchnął. Alvarito Salanova pocierał nadgarstki. Zza metalowej kratki skrywającej twarz dobiegł niepewny głos młodzika:

– Jak się spisałem, mistrzu?

Nauczyciel szermierki uśmiechnął się z aprobatą.

– Całkiem nieźle, drogi panie. Całkiem nieźle – ruchem głowy wskazał floret, który chłopak wciąż trzymał w prawej dłoni. – Jednak nadal pozwala pan przeciwnikowi na skracanie pańskiej głowni. Jeśli znajdzie się pan znowu w podobnej sytuacji, proszę bez wahania wycofać się o krok, zwięźszy pan dystans.

– Dobrze, mistrzu.

Don Jaime zwrócił się teraz do pozostałych uczniów, którzy z maskami pod pachą przyglądali się pojedynekowi.

– Pozwalać przeciwnikowi na skracanie głowni to zdać się na jego łaskę. Zgoda, panowie?

Trzy młodziki głosy potwierdziły chórem. Wszyscy byli w wieku od czternastu do siedemnastu lat. Do grupy należeli dwaj bracia Cazorlowie, uderzająco do siebie podobni blondyni, synowie pewnego wojskowego. Cera trzeciego, zaczerwieniona od niezliczonych pryszczy, sprawiała, że młodzieniec wyglądał niezbyt przyjemnie. Nazywał się Manuel de Soto, był synem hrabiego de Sueca, i mistrz dawno już pożegnał się z nadzieją, że uczyni zeń przyzwoitego szermierza. Chłopak miał zbyt nerwowe usposobienie i ledwie skrzyżował floret z przeciwnikiem, powstawał galimatias jak wszyscy diabli. Natomiast panicz Salanova, ciemnowłosa i dobrze zbudowany, z bardzo dobrej rodziny, bez wątplenia był z nich najlepszy. W innych czasach, przy odpowiednim przysposobieniu i dyscyplinie, brylowałby na salonach jako zawołany szermierz. Teraz jednakże, co don Jaime stwierdzał z goryczą, jego talent przepadnie, przytłoczony przez inne rozrywki, w jakich gustowano obecnie: podróże, jazdę konną, polowanie i niezliczone błahostki. Na nieszczęście współczesność podsuwała młodym zbyt wiele pokus, te zaś niweczyły hart ducha, niezbędny, żeby rozkoszować się sztuką taką jak szermierka.

**Jaime Astarloa uniósł lewą dłoń ku puncie na końcu floretu i lekko wygiął głownię.**

**– Teraz, panowie, chciałbym, żebyście poćwiczyli nieco z don Alvarem zasłonę drugą, która tak nam wszystkim spędza sen z powiek – ulitował się nad przyszczytym młodzikiem i wskazał na młodszego Cazorlę. – Proszę, don Francisco.**

**Wywołany wystąpił i nałożył maskę. Jak wszyscy ubrany był na białe od stóp do głów.**

**– Stanąc w linii.**

**Stojący naprzeciw siebie chłopcy poprawili sobie rękawice.**

**– Szymiercza!**

**Pozdrowili się uniesieniem floretu, po czym przyjęli pozycję klasyczną, na lekko ugiętych kolanach, z prawą nogą wysuniętą do przodu. Lewe ramię odciągnięte do tyłu, pod kątem prostym, z dłonią opuszczoną do przodu.**

**– Proszę pamiętać o starej zasadzie. Uchwyt musi być delikatny, jakbyśmy trzymali w dłoniach ptaka: z wyczuciem, żeby go nie zgnieść, ale i stanowczo, żeby nam nie wyfrunął... Uwagę tę kieruję zwłaszcza do pana, don Francisco, jako że zdradza pan drażniącą skłonność do tego, by dać się rozbroić. Zrozumiano?**

**– Tak, mistrzu.**

**– Zatem szkoda czasu. Do dzieła, panowie.**

**Głownie floretów zadźwięczały delikatnie. Młody Cazorla udatnie i z wdziękiem przypuścił atak. Był szybki w nogach i w ramieniu, poruszał się lekko jak piórko. Alvarito Salanova z kolei bronił się z dużą swobodą, w krytycznych momentach nie odskakiwał raptownie, ale cofał się o krok, parując w nienaganny sposób za każdym razem, gdy przeciwnik wykonywał natarcie. Później zamienili się rolami i teraz Salanova co chwila atakował z wypadu, zmuszając partnera do obrony zasłoną drugą. Jakiś czas tak uderzali i parowali, aż wreszcie Paquito Cazorla popełnił błąd i w trakcie sparowanego pchnięcia za bardzo opuścił rękę. Jego podekscytowany rywal zrezygnował z wszelkich środków ostrożności, by z triumfalnym okrzykiem dwukrotnie dźgnąć punktą w odsłonięty plastron.**

**Don Jaime z marszem na czole przerwał pojedynek, rozdzielając walczących swoim floretem.**

**– Muszę panów upomnieć – jego głos brzmiał surowo. – Szymierka jest oczywiście sztuką, ale nade wszystko jest przydatną umiejętnością. Mając w garści floret czy szablę, choćby i z punktą albo z guzikiem na sztychu, nigdy nie należy traktować tego jako zabawy. Jeśli panowie mają ochotę się pobawić, radzę serso, puszczenie bączka albo ołowiane żołnierzyki. Czy jasno się wyrażam, panie Salanova?**

**Głowa ukryta za maską przytaknęła gwałtownie. Szare oczy mistrza spoglądały na młodzieńca srogo.**

– Nie miałem przyjemności dosłyszeć pańskiej odpowiedzi, panie Salanova – rzekł karcąco don Jaime. – I nie przywykłem rozmawiać z ludźmi, których twarzy nie mogę dostrzec.

Chłopak wymamrotał przeprosiny i zdjął maskę. Był czerwony jak burak, zawstydzony wzrok wbił w czubki pantofli.

– Pytałem, czy jasno się wyrażam.

– Tak.

– Nie słyszę odpowiedzi.

– Tak, mistrzu.

Jaime Astarloa popatrzył na pozostałych uczniów. Ich surowe twarze wyczekiwały z powagą.

– Cała sztuka, cała umiejętność, jaką usiłuję zaszcześcić wam do głów, zamyka się w jednym słowie: skuteczność...

Alvarito Salanova podniósł oczy i posłał młodszemu Cazorli spojrzenie pełne źle skrywanej urazy. Don Jaime przemawiał, oparłszy floret o podłogę, dłonie trzymał na rękojeści:

– Nie mamy zamiaru czarować kogokolwiek kunsztownymi wywijasami ani dokonywać wątpliwych popisów w rodzaju tego, jaki zaprezentował nam właśnie don Alvaro. Podobny wyczyn mógłby go bardzo drogo kosztować, gdyby walka toczyła się na bronie ostre... Naszym zadaniem jest wyłączyć przeciwnika z walki w sposób czysty, szybki i skuteczny, przy jak najmniejszym ryzyku z naszej strony. Nigdy nie zadajemy dwóch ciosów, kiedy wystarczy jeden, bo po drugim może przyjść groźna odpowiedź. Nigdy nie przyjmujemy zbyt dziarskiej ani wytwornej pozy, jeżeli odwodzi nas ona od celu nadrzędnego: uniknąć śmierci i, o ile to konieczne, zabić przeciwnika. Szermierka to nade wszystko nauka praktyczna.

– Mój ojciec mówi, że szermierka jest dobra, bo jest higieniczna – uprzejmie sprzeciwił się starszy Cazorla. – Anglicy nazywają to *sport*.

Don Jaime spojrział na ucznia, jakby właśnie usłyszał herezję.

– Nie wątpię, że pański ojciec ma swoje powody, by tak uważać. Absolutnie nie wątpię. Zapewniam pana jednak, że szermierka to coś znacznie więcej. To nauka ścisła, matematyczna, gdzie suma określonych czynników prowadzi nieodmiennie do tego samego efektu: triumf albo kieska, życie albo śmierć... Nie poświęcam panom swojego czasu, żebyście uprawiali panowie *sport*, ale poznali niezwykle wyrafinowaną technikę, która kiedyś może się panom bardzo przydać, w obronie ojczyzny bądź honoru. Nie ma dla mnie znaczenia, czy ktoś z panów jest silny albo słaby, zwinny lub niezgrabny, chorowity lub zdrów jak ryba... Ważne, że z floretem czy szablą w dłoni mogą się panowie czuć równi każdemu innemu mężczyźnie albo nawet odeń lepsi.

– Ale, mistrzu, przecież istnieje broń palna – wtrącił się nieśmiało Manolito de Soto. – Na przykład pistolet, chyba jest bardziej skuteczny niż floret i wszyscy są wobec niego równi – potarł nos. – Jak demokracja.

Jaime Astarloa zmarszczył brwi. Jego szare oczy patrzyły na chłopca wyjątkowo chłodno.

– Pistolet to nie broń, ale zuchwalstwo. Jeśli trzeba kogoś zabić, należy to robić twarzą w twarz, a nie z daleka, jak nie przymierzając rozbójnicy na drodze. Broń biała ma wymiar etyczny, którego brak wszystkim pozostałym... Jeśli chcecie, to dodam nawet, że także mistyczny. Siermierka to mistyka prawdziwych mężczyzn. A zwłaszcza w obecnych czasach.

Paquito Cazorla uniósł dłoń z wahaniem.

– Mistrzu, w zeszłym tygodniu czytałem artykuł o siermierce w „La Ilustración”... Współczesna broń sprawiła, że broń biała jest bezużyteczna, tak tam mniej więcej pisali. Na końcu było, że florety i szable wylądują kiedyś w muzeum.

Don Jaime pokręcił powoli głową, jakby słyszał powtarzaną w nieskończoność śpiewkę. Przyjrzał się własnemu odbiciu w wielkich zwierciadłach galerii: oto stary mistrz otoczony ostatnimi wiernymi uczniami. Jak długo jeszcze?

– Doniosły argument za tym, by zachować lojalność – odparł ze smutkiem, nie dodając, czy myśli o siermierce, czy o sobie samym.

Alvarito Salanova, z maską pod pachą i floretem opartym o prawy pantofel, uśmiechnął się sceptycznie:

– Może kiedyś nie będzie już nauczycieli siermierki.

Zapadła długa cisza. Jaime Astarloa patrzył nieobecny wzrokiem w przestrzeń, jakby przyglądał się czemuś poza ścianami galerii.

– Może – mruknął zajęty kontemplacją tego, czego nikt inny nie mógł zobaczyć. – Ale pozwólcie, panowie, że coś wam powiem... W dniu, kiedy umrze ostatni nauczyciel siermierki, razem z nim do grobu odejdzie cała szlachetność wiecznej walki człowieka z człowiekiem... Na placu boju zostaną sztucery i koziki, zasadzka i zdradziecki cios nożem.

Czterech młodzieńców słuchało, choć byli za młodzi, żeby pojąć jego słowa. Don Jaime przesunął po nich wzrokiem, zatrzymując się wreszcie na Alvarito Salanovie.

– Prawdę mówiąc – wokół jego oczu, pełnych gorzkiej ironii, zaroilo się od zmarszczek – nie zazdroścę panom wojen, jakie staną się waszym udziałem za lat dwadzieścia albo trzydzieści.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Od tej chwili życie fechtmistrza nigdy już nie było takie, jak przedtem.

## Rozdział drugi

### Natarcie z podwójnym zwodem

*Natarcia z podwójnym zwodem służą zmyleniu przeciwnika.*

*Rozpoczynają się natarciem prostym.*

Wchodził po schodach, macając co chwila kieszeń szarego surduta, w której schował bilecik. Jego treść wydawała mu się niezbyt jasna.

*Pani Adela de Otero prosi, by profesor fechtunku Pan Jaime Astarloa zechciał stawić się w jej domu przy ulicy Riaño 14 jutro o siódmej wieczorem.*

*Łączę wyrazy uszanowania.*

*A.d.O.*

Przed wyjściem z domu wystroił się z całą dbałością, chcąc wyrzeć dobre wrażenie na – nie wątpił w to – matce jego nowego ucznia. Stanąwszy przed drzwiami, poprawił starannie krawat i stuknął ciężką kołatką z brązu, umieszczoną w groźnie wyglądającej lwiej paszczy. Wyjął zegarek z kamizelki i sprawdził godzinę: za minutę siódma. Z zadowoleniem czekał słysząc, jak długim korytarzem zbliżają się do drzwi kobiece kroki. Zamki szczeknęły żwawo i oto ujrzał uśmiechniętą twarz służącej w białym czepku. Po chwili dziewczyna oddalała się już z bilecikiem w dłoni, a don Jaime rozglądał się tymczasem po gustownie umeblowanym przedpokoju. Zza opuszczonych żaluzji dobiegał turkot powozów, kursujących dwa piętra niżej po ruchliwej ulicy. Z wysoko umieszczonych kwietników zwieszały się egzotyczne rośliny, na ścianach wisiały ładne obrazy, stało też kilka foteli, kunsztownie obitych szkarłatnym jedwabnym aksamitem. Wszystko razem świadczyło o dobrym kliencie, co wprawiło go w optymistyczny nastrój. Tylko się cieszyć, zwłaszcza w tych ciężkich czasach – pomyślał.

Niebawem służąca wróciła, wzięła od niego rękawiczki, laskę i cylinder i zaprosiła go do salonu. Poszedł za nią pogrążonym w półmroku korytarzem. W pokoju nikogo nie było, skrzyżował więc ręce za plecami i zaczął się rozglądać. Ostatnie promienie zachodzącego słońca przemykały pomiędzy wpółotwartymi zasłonami i osiadały miękko na tapecie w dyskretne bładoniebieskie kwiaty. Meble dowodziły znakomitego gustu. Nad angielską



sofą wisiał sygnowany olej, przedstawiający scenę rodzajową z poprzedniego wieku: dziewczyna w koronkach huśtała się w ogrodzie, spoglądając wyczekująco przez ramię, jakby spodziewała się rychłego nadejścia ukochanej osoby. W salonie stało też pianino – wieko miało otwarte, na pulpicie znajdowało się kilka partytur. Don Jaime podszedł, żeby rzucić okiem: *Polonez fis–moll*. Fryderyk Chopin. Właścicielka pianina była z pewnością osobą pełną energii.

Na koniec zostawił sobie dekorację nad wielkim, marmurowym kominkiem: panoplię z pistoletami i floretami. Podszedł i okiem znawcy przyjrzał się broni białej. Dwie wspaniałe sztuki, jedna z rękojeścią francuską, druga z włoską, o damasceńskich zdobieniach. Obydwie w doskonałym stanie, bez śladu rdzy, chociaż drobne wyszczerbienia na głowniach świadczyły, że po florety sięgano bardzo często.

Za plecami usłyszał kroki i odwrócił się powoli z uprzejmym powitaniem na ustach. Adela de Otero wyglądała zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażał.

– Dobry wieczór, panie Astarloa. Jestem niezmiernie wdzięczna, że przybył pan na spotkanie z nieznajomą.

W jej głosie o milej, lekkiej chrypce pobrzmiwał ledwie zauważalny obcy akcent, tak słaby, że trudny do rozpoznania. Fechtmistrz pochylił się ku podanej ręce i musnął ją ustami. Szczupła dłoń, o smągłej, młodej karnacji, z małym palcem uroczo zagiętym do wewnątrz, zakończona była krótkimi, nazbyt krótkimi paznokciami – niemal jak u mężczyzny – w dodatku niepomalowanymi. Jedyłą ozdobę tej dłoni stanowiła obrączka, wąskie kółeczko ze srebra.

Uniósł twarz i spojrzał jej w oczy. Duże, fiołkowe, opalizowały złotymi punkcikami, które rosły, gdy tylko padało na nie więcej światła. Czarne, bujne włosy miała spięte na karku klamerką z masy perłowej w kształcie głowy orła. Jak na kobietę była wysoka, zaledwie parę cali niższa od don Jaimego. Kształty miała regularne, może nieco szczuplejsze niż większość dam, talię wystarczająco wąską i smukłą, by nie musiała uciekać się do noszenia gorsetu. Była ubrana w czarną spódnicę bez ozdób i bluzkę z jedwabnej surówki z koronkowym gorsem. Sprawiała cokolwiek męskie wrażenie, może z powodu drobnej blizny w prawym kąciku ust, przez co wydawało się, że się wciąż zagadkowo uśmiecha. Była w wieku trudnym u kobiety do określenia, między dwudziestką a trzydziestką. Nauczycielowi szermierki przyszło do głowy, że ta twarz bez wątpienia obudzi w nim dawne demony młodości.

Poprosiła, żeby usiadł. Zajęli miejsca naprzeciw siebie, przy stoliku pod szerokim oknem.

– Kawy, panie Astarloa?

Z zadowoleniem skinął głową. Służąca weszła cicho, nawet niewzywana, niosąc srebrną tacę z dzwoniącą lekko porcelaną. Pani domu sama wzięła dzbanek, napelniła dwie filiżanki i podała jedną don Jaimemu. Poczekała, aż wypije pierwszy łyk, jednocześnie badając wzrokiem jego twarz. Wreszcie przeszła do rzeczy:

– Chciałabym nauczyć się pchnięcia za dwieście eskudów.

Fechtmistrz trzymał w dłoni spodeczek z filiżanką, w której odruchowo zamieszał łyżeczką. Miał wrażenie, że się przesłyszał.

– Słucham?

Upiła nieco kawy i znów spojrzała na niego z niezmaconym spokojem.

– Dowiadywałam się – odrzekła – i wszyscy mówią, że pan jest najlepszym nauczycielem fechtunku w Madrycie. Podobno ostatnim klasykiem. Wiem też, że posiada pan tajemnicę wyśmienitego pchnięcia, które sam pan opracował, i że uczy go pan zainteresowanych za cenę tysiąca dwustu reali. To oczywiście drogo, ale stać mnie na to. Chciałabym zapisać się do pana.

Jaime Astarloa sprzeciwił się nieśmiało, wciąż nie mogąc wyjść ze zdumienia.

– Wielmożna pani wybaczy. To... Zaszło chyba drobne nieporozumienie. Istotnie posiadam sekret tego pchnięcia i nauczam go za wymienioną przez panią sumę. Ale błagam o zrozumienie. Ja... to znaczy, szermierki... Kobieta nigdy. Chodzi mi o to...

Fiolkowe oczy zmierzyły go od góry do dołu. Blizna podkreślała zagadkowy uśmiech.

– Wiem, o co panu chodzi – Adela de Otero postawiła pustą filiżankę na stoliku i złożyła dłonie jak do modlitwy. – Ale chyba w tym przypadku moja pleć nie ma znaczenia. Jeżeli kwestionuje pan moje umiejętności, to spieszę go uspokoić, że posiadam ich w pańskiej sztuce niemało.

– Nie w tym rzecz – nauczyciel fechtunku poprawił się niespokojnie w fotelu i przesunął palcem po kołnierzyku koszuli. Zaczynało mu dokuczać gorąco. – Usiłuję wytłumaczyć pani, że kobiety jako uczennicy szermierki... Proszę o wybaczenie. To rzecz niesłychana.

– Chce mi pan powiedzieć, że nie byłoby to dobrze widziane?

Patrzył na nią badawczo, w dłoni wciąż trzymał filiżankę z niemal nietkniętą kawą. Ten nieustanny, kuszący uśmiech napawał go nieznośnym niepokojem.

– Błagam o wybaczenie, droga pani, ale rzeczywiście to jeden z powodów. Nie mogę się zgodzić, ponawiam prośbę o zmiłowanie. Jeszcze nigdy dotąd nie znalazłem się w takiej sytuacji.

– Obawia się pan o swój prestiż, mistrzu?

W pytaniu gdzieś na dnie kryła się podstępna szczypta ironii. Don Jaime ostrożnie odstawił filiżankę na stół.

– Nie jest to przyjęte, szanowna pani. Nie ma takiego zwyczaju. Może gdzieś za granicą, ale nie tutaj. A przynajmniej nie u mnie. Może u kogoś bardziej... elastycznego.

– Chcę poznać sekret tego pchnięcia. Poza tym pan jest najlepszy.

Don Jaime uśmiechnął się życzliwie, słysząc to pochlebstwo.

– Tak. Być może jestem najlepszy, jak była pani łaskawa powiedzieć. Ale jestem też za stary, żeby zmieniać nawyki. Mam pięćdziesiąt sześć lat, od ponad trzydziestu uprawiam swój zawód. Przez moje galerie przewinęli się uczniowie wyłącznie płci męskiej.

– Czasy się zmieniają, drogi panie.

Fechtmistrz westchnął ze smutkiem.

– Ma pani rację. Wie pani co?... Może dla mnie zmieniają się za szybko? Dlatego proszę mi pozwolić pozostać wiernym własnym zasadom. One są moim jedynym dziedzictwem, proszę mi wierzyć.

Spoglądała na niego w milczeniu, kiwając głową, jakby ważyła jego argumenty. Po chwili wstała i podeszła do panopli nad kominkiem.

– Podobno pańskiego pchnięcia nie sposób sparować.

Don Jaime zdobył się na słaby, skromny uśmiech.

– Przesada, droga pani. Kiedy się je pozna, parowanie jest dziecinnie łatwe. Dotąd nie udało mi się opracować pchnięcia nie do sparowania.

– I pobiera pan za tę naukę dwieście eskudów?

Nauczyciel fechtunku znowu westchnął. Niebywały kaprys tej damy stawiał go w wysoce kłopotliwym położeniu.

– Proszę, żeby pani nie nalegała.

Stała do niego plecami, gładziła dłonią rękojeść jednego z floretów.

– Pytam o wynagrodzenie, jakie pobiera pan za zwykłe lekcje.

Don Jaime wstał powoli.

– Od sześćdziesięciu do stu reali miesięcznie od ucznia, za to udzielam czterech lekcji tygodniowo. A teraz, jeśli pani pozwoli...

– Jeżeli nauczy mnie pan pchnięcia za dwieście eskudów, zapłacę dwa tysiące czterysta reali.

Zamrugnął powiekami w oszołomieniu. Taka suma równała się czterystu eskudom, czyli dwukrotnie przewyższała kwotę, jaką pobierał za swoje pchnięcie, o ile znalazł kogoś zainteresowanego, co i tak należało do rzadkości. Oznaczała również równowartość trzymiesięcznej pracy.

– A czy nie przyszło pani do głowy, że mnie pani obraża?

Odwróciła się gwałtownie i Jaime Astarloa przez ułamek sekundy dostrzegł w fiołkowych oczach błysk wściekłości. Mimowolnie pomyślał, że widok tej kobiety z floretem w garści nie byłby wcale aż taki osobliwy.

– Wydaje się panu, że to za mało? – spytała zuchwale.

Fechtmistrz wyprostował się z bladym uśmiechem na ustach. Gdyby taki komentarz padł z ust mężczyzny, niebawem do jego drzwi pukaliby sekundanci. A jednak Adela de Otero była kobietą, do tego zbyt piękną. Znów pożałował, że dał się wplątać w tę nieprzyjemną sytuację.

– Droga pani – rzekł spokojnym, lodowato uprzejmym tonem. – Pchnięcie, o które się pani dopytuje, ma cenę ściśle odpowiadającą przypisywanej mu przeze mnie wartości. Tyle kosztuje i ani grosza więcej. Ponadto pokazuję je tylko tym osobom, którym uznam za stosowne, i zazdrośnie strzegę mojego prawa w tym względzie. W życiu nie przyszło mi do głowy, żeby się nad tym zastanawiać, a już na pewno nie będę się targował, jakby chodziło o towar na bazarze. Dobranoc pani.

Odebrał cylinder, rękawiczki i laskę z rąk służącej i w ponurym milczeniu zszedł na ulicę. Z drugiego piętra dobiegły go nuty poloneza Chopina, wygrywanego na pianinie przez dłonie, które waliły teraz w klawisze z zaciętą furją.

*Zasłona czwarta. Dobrze. Zasłona trzecia. Dobrze. Okrężna. Jeszcze raz proszę. Tak. Szybciej i naprzód. Dobrze. Cofnąć się, zyskać dystans. Do mnie. Związanie w czwartej, właśnie tak. W tempo w czwarta. Dobrze. Zasłona czwarta w niskiej linii. Znakomicie, panie Taki-to-a-taki. Paquita ma warunki. Czas i dyscyplina, rozumie pan*

Minęło parę dni. Prim miał nadejść lada dzień, a królowa Izabela wyruszała w podróż do wód w Lequeitio, którą zalecali jej lekarze z uwagi na chorobę skóry, na jaką cierpiała od dzieciństwa. Towarzyszyli jej osobisty spowiednik, król-małżonek oraz liczna świta natrętów, księżnych i dworskich szczebiotek, czereda służby oraz rozmaite postacie zwyczajowo obecne na królewskim dworze. Jego Wysokość don Francisco de Asís wyżymał zroszone łzami koronki i stroił kwaśne minki za plecami swojego wiernego sekretarza Menesesa, a minister Terytoriów Zamorskich Marfori kpił sobie z wszystkich naokoło i, jak przystało na fircyka, z dumą obnosił ostrogi, łatwo zdobyte dzięki podbojom w łóżnicy.

Po obydwu stronach Pirenejów emigranci i generałowie spiskowali bez żadnych osłonek, jedni i drudzy dając upust swym nienasyconym żądzom. Podróżujący wagonem trzeciej klasy posłowie uchwalili najnowszy budżet Ministerstwa Wojny przekonani, że i tak większość pieniędzy pójdzie na zaspokojenie ambicji paru szcych ze sztabu, którzy własną lojalność wobec Korony wyceniali podług awansów i beneficjów, zasypiali wieczorem jako umiarkowani i wstawali rano jako liberałowie, w zależności od miejsca na liście plac. Tymczasem Madryt spędzał popołudnia szukając cienia, przeglądając nielegalne pisma i popijając, co kto lubił. Na rogach ulic wędrowni sprzedawcy

zachwalali towar. Orszada z migdałów. Pyszna orszada, zapraszam.

Markiz de los Alumbres nie wybierał się na wakacje i nadal odprawiał z don Jaimem uświęcony rytuał floretu i kieliszka jerezu. W kawiarni Progreso z ust Agapita Cárcelesa płynęły pochwały na rzecz republiki federacyjnej, podczas gdy bardziej powściągliwy Antonio Carreño czynił znaki masońskie i opowiadał się za republiką centralistyczną, choć nie wyrzekał się też monarchii konstytucyjnej, jak Bóg przykazał. Don Lucas co wieczór wołał o pomstę do nieba, a nauczyciel muzyki gładził marmurowy blat stolika i wyglądał przez okno subtelnymi, smutnymi oczyma. Z kolei fechtmistrz nie potrafił odpędzić od siebie obrazu Adeli de Otero.

Trzeciego dnia zadzwoniono do drzwi. Jaime Astarloa właśnie wrócił z porannego spaceru i wypoczywał przed udaniem się na posilek do oberży przy ulicy Mayor.

Był w samej koszuli, nacierał sobie twarz i ręce wodą kolońską, żeby złagodzić skutki upału, gdy usłyszał dzwonek. Zamarł zdumiony, bo nikogo nie oczekiwał. Szybko przejechał grzebieniem przez włosy i narzucił starą, jedwabną bonżurkę, pamiątkę po lepszych czasach. Lewy rękaw od dawna wymagał reperacji. Wyszedł z sypialni, przemierzył niewielki salonik służący także za gabinet, otworzył drzwi i stanął twarzą w twarz z Adela de Otero.

– Dzień dobry, panie Astarloa. Mogę wejść? – zapytała z potulną nutką w głosie.

Miała na sobie błękitną suknię spacerową z szerokim dekoltem, której rękawy, góra i dół wykończone były białą koronką. Twarz osłaniał jej od słońca kapelusik z cieniutkiej słomki, przyozdobiony bukiecikiem fiołków dobrze pasujących do koloru jej oczu. W dłoniach, na które założyła ażurowe rękawiczki z takiej samej koronki jak wykończenia sukni, trzymała maleńką, niebieską parasolkę. Wyglądała dużo piękniej niż w swoim salonie przy ulicy Riaño.

Mistrz szermierki zaniemówił, zaskoczony niespodziewaną wizytą.

– Naturalnie, proszę pani – odezwał się wreszcie, wciąż nie mogąc wyjść ze zdumienia. – To znaczy... Oczywiście, że tak. Jestem zaszczycony.

Gestem zaprosił ją do środka, aczkolwiek czuł się zakłopotany obecnością młodej kobiety, z którą kilka dni temu zakończył rozmowę raczej szorstkimi słowami. Odgadując być może stan jego ducha, posłała mu ostrożny uśmiech.

– Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć, don Jaime – fiołkowe oczy, spoglądające nań spod długich rzęs, przyprawiwały fechtmistrza o niepokój. – Bałam się, że... Mimo wszystko liczyłam na to. Cieszę się, że się nie omyliłam.

Dopiero po chwili Jaime Astarloa zrozumiał, czego się bała: że zatrzaśnie jej drzwi przed nosem – i przypuszczenie to nieco go przestraszyło. Ostatecznie jest przecież dżentelmenem. Poza tym pierwszy raz zwróciła się do niego po imieniu – ta poufałość wcale nie uspokoiła starego nauczyciela szermierki, który zwykłą uprzejmością starał się

teraz tuszować własne zmieszanie.

– Zapraszam panią.

Dwornym gestem zaprosił, by przeszła z niewielkiego przedpokoju do salonu. Adela de Otero zatrzymała się pośrodku ciemnego pokoju, upstrzonego pamiątkami życia Jaimego Astarloi, i zaczęła przyglądać się im z zaciekawieniem. Śmiało przesunęła palcem po grzbietach kilku książek, których całe mnóstwo zajmowało półki zakurzonego, dębowego regału: z tuzin starych traktatów o szermierce, oprawione zeszytowe wydania powieści Dumasa, Victora Hugo, Balzaca... Stały tu też *Żywoły sławnych mężów*, jakiś zaczytany Homer, *Henryk Ofterdingen* Novalisa, parę tytułów Chateaubrianda i Vigny'ego, a także kilka tomów *Wspomnień* i taktyczno-strategicznych analiz kampanii z czasów Pierwszego Cesarstwa. W znacznej części napisane były po francusku. Don Jaime przeprosił przybyłą na chwilę, udał się do sypialni, gdzie zmienił bonzurkę na surdut i czym prędzej zawiązał krawat. Kiedy wrócił, Adela de Otero przypatrywała się pociemniałemu ze starości obrazowi, wiszącemu na ścianie pośród starych szabli i nadrdzewiałych sztyletów.

– Ktoś z rodziny? – spytała wskazując na oblicze młodego, szczupłego i surowego człowieka, patrzącego na nich spomiędzy ram. Mężczyzna nosił się w sposób typowy dla początków stulecia, a w wyrazie jego oczu widać było, że świat wokół niezupełnie go przekonuje. Szerokie czoło i pełna godności powaga, jaką emanowała cała postać, zdradzały wyraźne podobieństwo do Jaimego Astarloi.

– To mój ojciec.

Adela de Otero zaczęła porównywać ojca i syna, patrząc to na obraz, to na don Jaimego, jakby chciała potwierdzić jego słowa. Konfrontacja wypadła chyba pomyślnie.

– Przystojny mężczyzna – rzekła z tą swoją lekką, miłą chrypką. – Ile miał lat, kiedy go namalowano?

– Nie mam pojęcia. Zginął w wieku trzydziestu jeden lat, podczas walk z wojskami Napoleona, dwa miesiące przed moim urodzeniem.

– Był wojskowym? – historia ta wydawała się ją żywo interesować.

– Nie. Był jednym z tych aragońskich szlachciców o sztywnym karku, których strasznie denerwuje, kiedy ktoś im mówi „zrób to czy tamto”... Opuścił Jakę z grupą ludzi, poszedł w góry i zabijał Francuzów do czasu, aż oni jego zabili – w głosie fechtmistrza pobrzmiwała daleka nutka dumy. – Wieść niosła, że zginął sam, osaczony jak zwierzę, lżąc czystą francuszczyzną żołnierzy idących na niego z bagnetami.

Podczas tej opowieści nie spuszczała wzroku z portretu i teraz jeszcze chwilę trwała przed nim zamyślona, przygryzając lekko dolną wargę. Dzięki szramce w kąciку usta jak zwykle zdawały się uśmiechać zagadkowo. Wreszcie powoli odwróciła się ku mistrzowi szermierki.

– Wiem, don Jaime, że czuje się pan zakłopotany moją obecnością.

Umknął wzrokiem, nie wiedząc, co odrzec. Adela de Otero zdjęła kapelusik i razem z parasolką położyła go na biurku, zarzuconym papierami. Włosy, jak podczas ich pierwszego spotkania, miała upięte na karku. Jaimemu Astarloi przyszło do głowy, że dzięki błękitowi jej sukni surowy wystrój gabinetu nabrał niespodziewanie kolorów.

– Mogę usiąść? – czar i uwodzenie. Najwyraźniej nie pierwszy raz uciekała się do podobnych metod. – Przyszłam tu piechotą i ledwie żyję w tym upale.

Nauczyciel wymamrotał niezręczne przeprosiny za swą gapowatość i poprosił, żeby spoczęła na wysłużonym, zniszczonym fotelu ze skóry. Dla siebie przysunął taboret i usiadł w należytej odległości. Spięty i ostrożny odchrząknął, czuwając, by nie dać się wepchnąć na terytorium, na którym domyślał się niebezpieczeństw.

– Słucham panią, pani de Otero.

Wraz z uśmiechem na ustach pięknej nieznajomej pojawiła się chłodna uprzejmość. Nieznajomej, bo wprawdzie wiedział, jak się nazywa, ale poza tym wydawała się spowita nimbem tajemnicy. Instynktownie wyczuł, że pierwotna iskierka ciekawości zdążyła już urosnąć w nim do rozmiarów ogromnego płomienia. Wysiłkiem woli opanował targające nim uczucia i czekał na jakąś odpowiedź – ona jednak nie przemówiła od razu, odwlekała te chwile ze spokojem, który wytrącał fechtmistrza z równowagi. Fiolkowe oczy błądziły po pokoju, jakby szukały dodatkowych wskazówek, pomocnych w ocenie siedzącego przed nią mężczyzny. Don Jaime skorzystał z tej chwili ciszy, żeby przyjrzeć się twarzy, do której tak często powracał myślą w ostatnich dniach. Usta miała pełne, o ładnym rysunku jakby ostry nóż wykroił kawałek owocu o czerwonym smacznym mięszu. Znowu przyszło mu do głowy, że blizna w kąciку ust wcale jej nie szpeci, wręcz przeciwnie – przydaje atrakcyjności, nasuwa skojarzenia z czymś mrocznym i dzikim.

Od chwili, gdy stanęła w drzwiach, Jaime Astarloa postanowił, że niezależnie, jakie przybyła wytoczy argumenty, będzie trwał przy odpowiedzi odmownej. Kobiety – nigdy. Spodziewał się błagań, typowo kobiecego potoku słów, subtelnych forteli, z jakich słynie pleć piękna, odwoływania się do określonych uczuć... Na nic się to nie przyda – przyrzekł sam sobie. Dwadzieścia lat temu być może byłby, z osobistych względów, bardziej elastyczny, może uległby nieodpartej fascynacji tą damą. Teraz jednak był już za stary, żeby podobne okoliczności zdołały wpłynąć na jego decyzję. Ta piękna interesantka nie mogła mu nic zaoferować. W jego wieku emocje, jakie wzbudzała w nim jej bliskość, owszem, mąciły nieco umysł, ale z pewnością można było nad tym zapanować. Jaime Astarloa postanowił pokazać, że jest człowiekiem światłym, ale i stanowczym wobec, jak mniemał, dziecinnego kaprysu kobiety. Zupełnie jednak nie oczekiwał pytania, jakie w tym momencie usłyszał:

– Jak odpowiedziałby pan, don Jaime, gdyby podczas walki pański przeciwnik wykonał podwójny atak w trzeciej linii?

Fechtistrz miał wrażenie, że się przesłyszał. Wyciągnął ręce przed siebie, jakby chciał prosić o wybaczenie, i zaskoczony, zmieszany zastygł w pół ruchu, po czym przesunął dłonią po czole. Oparł ręce na kolanach i w tej pozycji wpatrywał się w Adelę de Otero, jakby domagał się wyjaśnień. To zakrawało na kpiny.

– Słucham?

Patrzyła na niego rozbawiona, w oczach grały jej iskierki złości. Odezwała się niepokojąco opanowanym głosem:

– Chciałabym, don Jaime, poznać pańską miarodajną opinię.

Nauczyciel westchnął i poprawił się na taborecie. Diabli to wszystko nadali.

– Naprawdę to panią interesuje?

– Oczywiście.

Don Jaime odkasznął lekko w kulał.

– Cóż... Nie wiem, do jakiego stopnia... To znaczy owszem, naturalnie, skoro uważa pani, że ten temat... Podwójny w trzeciej, powiada pani? – w końcu było to pytanie równie dobre, jak każde inne, dziwne tylko, że właśnie ona je zadaje. Chociaż może wcale nie dziwne? – Otóż sądzę, że gdyby mój przeciwnik wykonał zwód w trzeciej, odpowiedzialnym pchnięciem z wiązaniem. Rozumie pani? To sprawy podstawowe.

– A jeśli na pański ruch on odpowie ominięciem i natrze natychmiast w czwartą?

Fechtmistrz spojrział na nią tym razem z niekłamanym zdumieniem. Podala prawidłową kontynuację.

– W takim przypadku – odparł – sparowałbym zasłoną czwartą, odpowiadając też czwartą – teraz nie dodał już „rozumie pani?”, Adela de Otero bez wątplenia rozumiała.

– To jedyna możliwa odpowiedź.

Odrzuciła do tyłu głowę z nieoczekiwaną wesołością, jakby miała wybuchnąć śmiechem, ale poprzestała na uśmiechu. Następnie popatrzyła na niego z uroczą miną.

– Pan mnie próbuje okpić, don Jaime? A może wypróbować...? Wie pan, jak mało kto, że to nie jest jedyna możliwa odpowiedź. Nawet nie jest pewne, czy to odpowiedź najlepsza.

Mistrz nie krył wzburzenia. Nigdy w życiu nie spodziewał się, że będzie prowadzić taką rozmowę. Coś mu podpowiadało, że zapuszcza się na nieznane tereny, ale jednocześnie stwierdził w sobie rosnącą zawodową ciekawość. Uznał więc, że może nieco poluzować szyki, na tyle, żeby ciągnąć dalej tę grę i zobaczyć, jak się zakończy.

– Sugeruje pani zatem coś innego, droga pani? – zapytał z dozą sceptycyzmu, niedużą, żeby nie przekroczyć granic uprzejmości. Kobieta skinęła głową nader zapalczywie i z przebłyskami podniecenia w oczach, co dało don Jaimemu wiele do myślenia.

– Sugeruję co najmniej dwie możliwości – odrzekła stanowczo, ale bez cienia zarozumiałstwa. – Mogłabym sparować jak pan czwartą, ale zmniejszając odległość od ostrza floretu przeciwnika, a następnie wyprowadziłabym górne pchnięcie w czwartej. Czy moja opinia jest właściwa?



**Don Jaime musiał wbrew samemu sobie przyznać, że była nie tylko właściwa, ale wręcz błyskotliwa.**

**– Ale wspominała pani o drugiej ewentualności.**

**– Zgadza się – Adela de Otero mówiąc poruszała prawą dłoń, jakby rzeczywiście trzymała w niej floret. – Sparować czwartą i odpowiedzieć flankonadą. Chyba zgodzi się pan ze mną, że szybciej i skuteczniej jest uderzać w tym samym kierunku, w którym się parowało. Obydwa ruchy winny tworzyć jedność.**

**– Flankonada nie jest łatwa – tym razem don Jaime nie musiał już ukrywać zainteresowania. – Gdzie się jej pani nauczyła?**

**– We Włoszech.**

**– Kto szkolił panią w szermierce?**

**– Jego nazwisko nie ma znaczenia – uśmiech przybyłej złagodził nieco kategoryczność tej odpowiedzi. – Ograniczmy się tylko do stwierdzenia, że uchodził za jednego z mistrzów europejskich. On mi wpoił dziewięć uderzeń, ich rozmaite warianty i sposoby parowania. Był człowiekiem cierpliwym – ostatnie słowa podkreśliła wymownym spojrzaniem – i nie uważał, by uczenie kobiety było dla niego dyshonorem.**

**Don Jaime wolał nie dać się wciągnąć w tę dyskusję.**

**– Jakie jest główne niebezpieczeństwo przy wykonywaniu flankonady? – spytał patrząc jej prosto w oczy.**

**– Odpowiedź w drugiej.**

**– Jak się temu zapobiega?**

**– Wykonując pchnięcie w niskiej linii.**

**– Jak bronimy flankonadę?**

**– Niską zasłoną drugą i czwartą. Czuję się jak na egzaminie, don Jaime.**

**– To jest egzamin, pani de Otero.**

**Przez chwilę wpatrywali się w siebie z tak zmęczonymi twarzami, jakby naprawdę skrzyżowali właśnie florety. Nauczyciel przyjrzał się dziewczynie, pierwszy raz zwracając uwagę na jej prawą dłoń, silną, a przecież nadal kobiecą. Jej oczy i miny, z jakimi opisywała ruchy szermierza, były pełne wyrazu. Jaime Astarloa okiem zawodowca potrafił dostrzec, czy dana osoba ma warunki na dobrego szermierza. Wyrzucał sobie w duchu, że uprzedzenia zdołały tak mu zamącić wzrok.**

**Naturalnie, na razie wszystko rozgrywało się na polu czystej teorii. Fechtmistrz uznał, że teraz powinien poznać jej praktyczną znajomość szermierki. Trafiony. Ta piekielnica**

była o krok od tego, by dopiąć swego i dokonać rzeczy niemożliwej: obudzić w nim po trzydziestu latach pracy ochotę na pojedynek szermierczy z kobietą. Z nią.

Adela de Otero spoglądała na niego z powagą, czekając na werdykt. Don Jaime odchrząknął.

– Muszę z całym szacunkiem przyznać, że jestem zdumiony.

Nie odpowiedziała, nie zmieniła wyrazu twarzy. Trwała nieruchomo, jak gdyby od dawna liczyła się z zaskoczeniem mistrza, choć wcale nie dlatego przyszła.

Jaime Astarloa powziął decyzję, aczkolwiek w głębi duszy wołał chwilowo nie zastanawiać się, dlaczego tak łatwo oddaje pole.

– Oczekuję pani jutro o piątej po południu. Jeżeli próba wypadnie pomyślnie, ustalimy datę nauki pchnięcia za dwieście eskudów. Proszę postarać się przyjść... – wskazał na jej strój czując, jak wzbiera w nim nieśmiałość. – To znaczy, proszę spróbować ubrać się w sposób właściwy.

Spodziewał się okrzyku radości, klaskania czy czegoś w tym rodzaju, jakiejś reakcji typowej dla rodzaju niewieściego. Czekало go jednak rozczarowanie. Adela de Otero patrzyła na niego uważnie i w milczeniu, z tak zagadkowym wyrazem twarzy, że nie wiedzieć czemu po plecach fechtmistrza przebiegł niezrozumiały dreszcz.

Cienie na ścianach drgały w skąym świetle lampki naftowej. Jaime Astarloa podkręcił nieco knot, aż w pokoju zrobiło się trochę jaśniej. Ołówkiem nakreślił na papierze kolejne dwie linie tworzące kąt, a końce jego ramion połączył łukiem. Mniej więcej siedemdziesiąt pięć stopni. W takim polu powinien poruszać się floret. Zanotował tę wartość i westchnął. Pchnięcie w czwartej linii bez okolenia – może tu kryje się rozwiązanie? A co dalej?... Przeciwnik, to logiczne, obroni się też w czwartej. Na pewno? Cóż, istnieje aż nadto sposobów, żeby go do tego zmusić. Następnie trzeba natychmiast powrócić do czwartej, może wykonać pchnięcie ze zwodzonym atakiem... Nie, to zbyt oczywiste. Odłożył ołówek na stół i zaczął dłonią naśladować ruchy floretem, jednocześnie obserwując własny cień na ścianie. Rozczarowany doszedł do wniosku, że to absurd, bo wciąż rozstrzygał rzecz w ruchach klasycznych, dobrze przecież znanych, które łatwo przewidzieć i ominąć. Pchnięcie doskonale musi być inne, celne i szybkie jak grom, nieoczekiwane, niemożliwe do sparowania. A zatem jakie?

Grzbiety książek na regałach połyskiwały słabo w migotliwym blasku lampy naftowej. Kiedy don Jaime odrywał ołówek od papieru, jedynym dźwiękiem wypełniającym pokój było monotonne tik-tak wahadła w zegarze ściennym. Postukał parę razy w stół, westchnął głęboko i zapatrzył się przez otwarte okno. Dachy Madrytu ledwie rysowały się w bladym świetle skrawka księżyca, cieniutkiego niby srebrna nitka.

Należało wykluczyć odbicie w czwartej linii. Znów chwycił ogryziony u góry ołówek i wrócił do kreślenia linii i łuków. A może by tak przeciwstawić kontra-zasłonę trzecią, skręcając dłoń do dołu i przenosząc ciężar ciała na lewą nogę...

Ryzykowne, bo wykonawca ciosu wystawiał się na pchnięcie prosto w twarz. Zatem rozwiązaniem mogłoby być odrzucenie głowy do tyłu i wyzwolenie floretu w trzeciej zasłonie... Kiedy odpowiedzieć? Oczywiście w chwili, gdy przeciwnik zrobi ruch nogą, z górnym wypadem w trzeciej albo w czwartej linii. Rozdrażniony bębnił palcami w papier. To nie prowadzi donikąd. Riposta na obydwie te warianty znajduje się w każdym podręczniku szermierki. Co jeszcze można zrobić po wyzwoleniu w trzeciej? Znów wyrysował kilka linii i luków, zapisał kąty, sprawdził notatki i książki, które miał rozłożone na biurku. Żadna ewentualność mu nie odpowiadała – swój ruch musi oprzeć na czymś innym.

Wstał gwałtownie, odsunął krzesło i z lampą w dłoni udał się ku galerii. Tam postawił światło na ziemi koło jednego z luster, zdjął szlafrok, sięgnął po floret i zamarkował kilka pchnięć w kierunku własnego odbicia. Kontra–zasłona trzecia. Wyzwolenie. Kontra–zasłona. Wyzwolenie. Trzykrotnie trafił punktą bliźniaczą punktą po drugiej stronie, która wykonywała identyczne ruchy. Kontra–zasłona. Wyzwolenie. Może dwa zwodzone natarcia jedno po drugim, tak, ale co potem?... Zaciśnął zęby z wściekłości. Musi być jakieś wyjście!

W oddali rozległy się trzy uderzenia: dzwonił zegar na gmachu Poczty Głównej. Fechtmistrz stanął i wypuścił powietrze z płuc. Co za piekielny absurd. Tego nie dokonał nawet Lucien de Montespan.

– Pchnięcie doskonale nie istnieje – mawiał mistrz mistrzów, pytany w tej kwestii. – Albo ściślej powiadając, istnieje ich wiele. Każde natarcie, które osiąga cel, jest doskonale, ale na tym koniec. Każde pchnięcie da się sparować odpowiednim ruchem, przeto pojedynki dwóch zaprawionych szermierzy mógłby trwać wiecznie... Tymczasem Los, który z upodobaniem dodaje do życia szczypty nieprzewidzianego, postanawia nieodmiennie, że walka musi mieć koniec, i sprawia, że prędzej czy później któryś z przeciwników popełnia błąd. Rzecz więc w tym, by z należytą pieczołowitością uważać na Los, choćby tylko przez krótki czas, żeby błąd popełnił ten drugi. Cała reszta zaś to mrzonki.

Jaimego Astarloi te słowa nigdy nie zdołały przekonać. Wciąż śnił o mistrzowskim ruchu, o pchnięciu Astarloi, o swoim Graalu. Ta jedna ambicja – odkryć niesłychany, niezawodny manewr – tliła mu się w duszy od wczesnej młodości, od dawnych czasów, spędzonych w szkole wojskowej, kiedy szykował się, by pozostać w armii.

Wojsko. Jakże odmiennie potoczyłoby się jego życie! Młody oficer z zagwarantowanym stanowiskiem z uwagi na to, że osierocił go bohater wojny o niepodległość... Skierowany od razu do Królewskiej Gwardii w Madrycie, do tej samej formacji, w której służył Ramón María Narváez... Obiecującą karierę porucznika Astarloi niemal na progu przerwało szaleństwo wieku młodego. Oto pojawiła się bowiem mantylka, pod którą dwoje oczu błyszczało jak agaty, a jasna, smukła dłoń z wdziękiem poruszała wachlarzem. I tak młody oficer zakochał się po uszy, a zaraz potem, jak zwykle w takich historiach, pojawił się też ten trzeci, rywal, który zuchwale zastąpił mu drogę. I nadszedł zimny, mglisty poranek, zaszczekały szable, rozległ się jęk, a czerwona plama na spoconej koszuli powiększała się tak szybko, że nikt nie mógł już tego powstrzymać. Poblądły młodzieniec w oszołomieniu przyglądał scenie, a otaczający go towarzysze z ponurymi twarzami doradzali mu, żeby uchodził i ratował swą wolność, zagrożoną w obliczu rozegranej właśnie tragedii. A później, pewnego deszczowego wieczoru, pojawiła

się granica, pociąg mknący na północny wschód poprzez zielone pola rozciągające się pod ołowianym niebem. I wreszcie liche pensjonat nad Sekwaną, w szarym, nieznanym mieście zwanym Paryż.

Przypadkowo poznany rodak, wygnaniec ustosunkowany tu i tam, zarekomendował go jako ucznia Lucienowi de Montespan, podówczas największemu mistrzowi szermierki w całej Francji. Zaintrygowany historią młodego kawalera i jego pojedynku *monsieur de Montespan* przyjął go do siebie, dostrzegając w nim szczególny talent szermierczy. Zatrudniony jako pomocnik Jaime Astarloa zrazu miał za zadanie podawać tylko ręczniki klientom, dbać o należyte utrzymanie broni i załatwiać drobne sprawy, zlecane mu przez mistrza. Później, wraz z postępami w nauce, powierzano mu zadania wprawdzie drugorzędne, ale ściśle związane z fachem. Po dwóch latach, kiedy to Montespan przeniósł się do Austrii i do Włoch, wziął ze sobą w drogę swego pomocnika. Młodzieniec skończył właśnie dwadzieścia cztery lata, zakochał się w Wiedniu, Neapolu, Mediolanie i przede wszystkim w Rzymie, gdzie obydwoj dużo czasu spędzili w jednym z najznamienitszych salonów nadtybrzańskiej metropolii. Prestiż Montespana rychło dał o sobie znać w tej obcej stolicy, gdzie jego oszczędny, klasyczny styl, wywodzący się w prostej linii z najczystszych wzorców dawnej szkoły francuskiej, stał w jaskrawym kontraście z pełnym fantazji i anarchicznej nieco swobody stylem, któremu holdowali włoscy nauczyciele szermierki. To tam dzięki osobistym walorom Jaime Astarloa doszlifował oglądę i wyrósł u boku mistrza na prawdziwego kawalera i wytrawnego szermierza. Zdążył stać się już asystentem i sekretarzem swego mentora, z którym połączyły go zażyłe więzi. *Monsieur de Montespan* powierzał mu początkujących uczniów, którzy musieli wprawić się w podstawowych pchnięciach, zanim przeszli pod czujne oko znakomitego profesora.

W Rzymie Jaime Astarloa zakochał się powtórnie, tam też odbył swój drugi pojedynek na broń ostrą. Tym razem jedno z drugim nie miało nic wspólnego. Miłość pełna była uniesień, ale bez konsekwencji, i wygasła w sposób naturalny. Co zaś do pojedynku, ten potoczył się ściśle wedle surowych reguł obowiązującego kodeksu. Przeciwnikiem był pewien rzymski arystokrata, który publicznie podał w wątpliwość umiejętności zawodowe Luciena de Montespan. Zanim stary mistrz posłał sekundantów oszczercy, niejakiemu Leonardowi Capoferrato, młody Astarloa zdążył wydelegować swoich. Sprawę załatwiono godnie, za pomocą floretów, z zachowaniem całkowicie klasycznych reguł, w gęstym zagajniku sosnowym gdzieś w Lacjum. Capoferrato, cieszący się reputacją groźnego szermierza, musiał uznać, że wprawdzie wypowiedział się w określony sposób o przymiotach *monsieur de Montespan*, jednak jego asystent i uczeń *signor Astarloa* wykazał się wystarczającymi umiejętnościami, by wrazić impertynentowi w bok ostrze na dwa cale, raniąc poważnie, choć nie śmiertelnie, w płuco.

Tak minęły trzy lata, które Jaime Astarloa wspominał później ze szczególną przyjemnością, aż nagle zimą 1839 roku Montespan dostrzegł pierwsze objawy dolegliwości, jaka parę lat później miała wpędzić go do grobu, i postanowił wracać do Paryża. Jaime Astarloa nie chciał opuszczać swego mentora, tak więc obydwoj przedsięwzięli podróż do francuskiej stolicy. Po powrocie sam mistrz zachęcił ucznia, żeby rozpoczął własną praktykę, przyrzekając, że zaproteguje go w zamkniętym kręgu nauczycieli fechtunku. Po upływie rozsądnego czasu Jaime Astarloa, mając zaledwie dwadzieścia siedem lat, przeszedł pomyślnie egzaminy w paryskiej Akademii Sztuki Szermierczej, w owej epoce najwyżej cenionej szkole, i otrzymał dyplom, który pozwalał

mu w przyszłości uprawiać bez przeszkód wybrany zawód. W ten sposób stał się jednym z najmłodszych mistrzów w Europie – i choć budziło to opory wśród wysoko urodzonej klienteli, skłonnej korzystać z usług profesorów, których wiek zdawał się gwarantować większą wiedzę, to jednak jego umiejętności oraz serdeczne rekomendacje ze strony *monsieur de Montespan* szybko przysporzyły mu wielu prominentnych uczniów. W salonie powiesił stary herb rodu Astarloa: srebrne kowadło na zielonym polu i dewizą: *Do mnie*. Był Hiszpanem, nosił dźwięczne, szlacheckie nazwisko, miał więc powody po temu, by chlubić się szlacheckimi insygniami. Poza tym władał floretem z iście diabelską wprawą. Przy tak sprzyjających okolicznościach paryski sukces młodego nauczyciela był właściwie w owym czasie gwarantowany. Astarloa zdobył pieniądze i doświadczenie. Wtedy też, w trakcie pogoni za pchnięciem doskonałym, zdołał opracować ruch własnego pomysłu, którego tajemnicy zazdrośnie strzegł do czasu, gdy na skutek nalegań przyjaciół i klientów wreszcie zgodził się włączyć go do repertuaru nauczanych przez siebie mistrzowskich ciosów. To było właśnie owo słynne pchnięcie za dwieście eskudów. Zyskało sobie ono szczególne wzięcie pośród pojedyńkowiczów z dobrego towarzystwa, którzy posłusznie płacili wspomnianą sumę, kiedy tylko honor domagał się ostatecznych rozstrzygnięć twarzą w twarz z doświadczonym rywalem.

Podczas pobytu w Paryżu Jaime Astarloa nadal utrzymywał przyjazne kontakty ze swoim dawnym profesorem i często go odwiedzał. Często też krzyżowali żelaza, choć choroba coraz bardziej brała ciało starego mistrza we władanie. Aż wreszcie nadszedł dzień, kiedy to Lucien de Montespan sześć razy z rzędu został trafiony, podczas gdy punta jego własnego floretu nawet nie musnęła plastronu ucznia. Po szóstym *touche* Jaime Astarloa stanął jak rażony gromem i rzucił floret na ziemię, mamrocząc pełne skruchy przeprosiny. Stary profesor uśmiechnął się jednak ze smutkiem:

– Ot, uczeń przerasta mistrza. Już nie musisz pobierać nauk. Gratulacje.

Nie wrócili więcej do tematu, ale też nigdy więcej nie stanęli naprzeciw siebie. Kilka miesięcy później Montespan przyjął wychowanka, siedząc przy kominku, z nogami wspartymi na leżance i okrytymi kapą. Trzy dni wcześniej zamknął był swoją szkołę fechtunku i polecił Jaimemu Astarloi wszystkich swoich klientów. Laudanum już nie przynosiło mu ulgi w bólu, z wolna przeczuwał nadchodzącą śmierć. Dopiero co usłyszał, że jego dawnego ucznia czeka kolejne wyzwanie, pojedynek z jegomościami, który prowadził zajęcia z szermierki bez dyplomu Akademii. Poważyć się na coś podobnego bez spełnienia odpowiednich formalności oznaczało narazić się na wrogość ze strony prawowitych profesorów i na nieprzyjemne konsekwencje. Tak też było w obecnym przypadku i Akademia, bardzo czuła na tym punkcie, postanowiła położyć kres procederowi. Honor społeczności powierzono najmłodszemu z jej członków, Jaimemu Astarloi.

Profesor długo omawiał sprawę z dawnym uczniem. Montespan zdobył cenne informacje o sprawcy konfliktu, niejakim Jeanie de Rolandi, i wtajemniczył rozmówcę w nawyki rywala. Fechtował przyzwoicie, ale nie nadzwyczajnie, miał przy tym kilka wad, które można było wykorzystać przeciw niemu. Był mańkutem, co z jednej strony stanowiło pewne zagrożenie dla przeciwników przywykłych, jak Jaime Astarloa, do walki z szermierzami praworęcznymi, z drugiej jednak Montespan nie miał wątpliwości, że jego były podopieczny wyjdzie z pojedynku zwycięsko.

– Musisz, chłopcze, pamiętać, że mańkut nie potrafi wykorzystać tempa, gorzej

wykonuje flankonady, jako że trudniej mu przyjąć właściwą pozycję ręki... Przy tym Rolandim należy trzymać się czwartej linii, co do tego nie ma wątpliwości. Zgadzasz się?

– Zgadzam się, mistrzu.

– Co zaś do pchnięć, pamiętaj, że wedle mego rozeznania walka lewą ręką nie prowadzi do dobrej postawy. On z początku trzyma dłoń dwa, trzy cale wyżej od przeciwnika, ale w ferworze walki stopniowo ją opuszcza. Skoro tylko ujrzysz, że nie trzyma dłoni wysoko, nie wahaj się i wykonaj pchnięcie w tempo.

Jaime Astarloa zmarszczył czoło. Profesor pogardzał Rolandim, ten jednak był szermierzem zaprawionym w pojedynkach.

– Podobno świetnie broni się na krótki dystans...

Montespan potrząsnął głową:

– To błahostka. Tak twierdzą ci, co są od niego jeszcze gorsi. Cóż to, nie mów mi, że ten błazen spędza ci sen z powiek!

Kawaler poczerwieniał, słysząc to posądzenie.

– To pan przestrzegał mnie przed niedocenianiem przeciwników.

Mistrz uśmiechnął się lekko.

– To prawda. Ale też i przed ich przecenianiem. Rolandi jest mańkutem, ot i wszystko. Owszem, stanowi to dla ciebie pewne ryzyko, ale też daje ci przewagę, z której musisz skorzystać. Temu jegomościowi brakuje precyzji. Staraj się zadać mu trafienie w tempo, gdy tylko opuści dłoń, już to dla ochrony, już to parując, próbując cię zaskoczyć albo wycofując się. W każdym z tych przypadków musisz działać z wyprzedzeniem, kiedy tylko poruszy dłonią albo stopą. Jeżeli wykorzystasz moment zaskoczenia i zadasz pchnięcie w jego natarcie, trafisz go, nim zdola dokończyć ruch, bo ty wykonasz jedno tempo, a on dwa.

– Tak będzie, mistrzu.

– Nawet w to nie wątpię – odparł sędziwy profesor z zadowoleniem. – Jesteś moim najlepszym uczniem, z floretem w dłoni stajesz się chłodny i opanowany. W czekającym cię starciu wiem, że nie zhańbisz imienia swego ani mego. Ograniczaj się do prostych pchnięć, prostych zasłon i kontra-zasłon, szczególnie przeciw-czwartej i podwójnej przeciw-czwartej... Nie wahaj się przerzucić floretu do lewej dłoni, gdy uznasz, że obrona tego wymaga. Różne franty odradzają takiego wariantu, bo to podobno psuje wdzięk. Ja twierdzę, że w pojedynkach, gdzie gra idzie o życie, nie wolno pominąć niczego, co służy obronie, o ile nie stoi w sprzeczności z regułami honoru.

Do spotkania doszło trzy dni później w lasku Vincennes, między fortem a Nogent, w obecności licznie zgromadzonych świadków, którzy śledzili starcie z pewnego dystansu. Sprawa bowiem przedostała się do wiadomości publicznej i zyskała rangę wydarzenia

towarzyskiego, pisano o niej nawet w gazetach. Na miejscu zebrała się spora grupa ciekawskich, których specjalnie wezwane siły porządkowe trzymały w stosownej odległości. Wprawdzie zgodnie z rozporządzeniami pojedynki były zakazane, skoro jednak swój honor położyła na szali Akademia paryska, władze uznały, że nie będą wstrzymywać biegu wydarzeń. Podniosły się głosy, że nie wypada, by taki zaszczyt przypadł w udziale Hiszpanowi, jednak Jaime Astarloa był mistrzem z francuskim dyplomem, od lat mieszkał we Francji, a nauki pobierał u samego Luciena de Montespan: te trzy argumenty przekonały najbardziej opornych. Pomiędzy publicznością a odzianymi uroczyście na czarno sekundantami stali wszyscy nauczyciele szermierki z Paryża, przyjechało nawet kilku spoza miasta. Brakowało tylko starego Montespana, któremu lekarze stanowczo odradzili wszelkie wychodzenie.

Rolandi był drobnym brunetem o małych, żywych oczach. Dobiegał czterdziestki, kręcone włosy już mu się lekko przeredziły. Miał świadomość, że opinia publiczna nie jest po jego stronie, i wiele by dał, żeby znaleźć się gdzieś daleko. Wir wydarzeń wciągnął go jednak i nie pozostawało mu nic innego, jak bić się albo okryć hańbą, która ścigałaby go potem po całej Europie. Trzykrotnie odmówiono mu tytułu mistrza szermierki, choć nieźle władał floretem i szablą. Miał włoskie pochodzenie, niegdyś służył w jeździe, teraz zaś nauczał fechtunku w niewielkiej klitce, żeby jakoś utrzymać żonę i czworo dzieci. W trakcie przygotowań ukradkiem zerkał nerwowo w stronę Jaimego Astarloi, który stał spokojnie w oddali w obcisłych, czarnych spodniach i luźnej, białej koszuli. Strój jeszcze bardziej podkreślał jego szczupłą sylwetkę. „Młody Kichote”, jak określiła go jedna z gazet opisujących zdarzenie. Był u szczytu formy, czuł wsparcie bractwa mistrzów z Akademii, tego dostojnego i czarno ubranego grona, które oczekiwało kilka kroków dalej, nie mieszając się z tłumem. Panowie stawili się z odznaczeniami, laskami i w cylindrach.

Publiczność spodziewała się tytanicznego boju, ale czekało ją rozczarowanie. Zaraz po rozpoczęciu pojedynku Rolandi opuścił fatalnie dłoń o kilka cali, gotując się do uderzenia, które miało zaskoczyć rywala. Jaime Astarloa zadał pchnięcie wypadem w tempo, prosto w odsłonięte miejsce, głownia jego floretu przeszła wzdłuż ramienia Rolandiego i bez oporu zagłębiła się w jego ciało poniżej pachy. Nieszczęśnik przewrócił się do tyłu, upuszczając broń, a kiedy padł na trawę, z pleców wystawała mu część zakrwawionego żelaza. Obecny na miejscu lekarz nie zdołał nic uczynić, by ocalić mu życie. Rolandi, przekluty floretem, posłał swojemu zabójcy mętne spojrzenie i skonał wymiotując krwią.

Na wieść o tym Montespan mruknął tylko: „Dobrze”, nie odrywając wzroku od trzaskających na kominku polan. Zmarł dwa dni później. Jego uczeń, który opuścił Paryż chcąc, żeby echa sprawy ucichły, nie zobaczył go więcej żywego.

Po powrocie Jaime Astarloa dowiedział się od przyjaciół o zgonie starego mistrza. Wysłuchał nowiny w milczeniu, pohamował grymas bólu, po czym wyszedł na długi spacer brzegiem Sekwany. Dłuższą chwilę stał przed Luvrem, wpatrując się w przepływający dołem brudny nurt. Trwał tak bez ruchu, aż stracił poczucie czasu. Noc już zapadła, kiedy wreszcie wrócił do siebie i skierował kroki do domu. Nazajutrz rano dotarła do niego wiadomość, że Montespan zapisał mu w testamencie jedyną fortunę, jaką posiadał: broń. Kupił bukiet kwiatów, wynajął berlinkę i kazał się zawieźć na Pére-Lachaise. Tam w miejscu, gdzie spoczywał jego mistrz, na anonimowej płycie z szarego kamienia, złożył kwiaty i floret, którym zabił Rolandiego.

Wszystko to wydarzyło się niemal trzydzieści lat temu. Jaime Astarloa spojrział na własne odbicie w lustrze galerii. Pochylił się, wziął do ręki lampę i zaczął z uwagą studiować swoją twarz, zmarszczka po zmarszczce. Montespan zmarł, mając pięćdziesiąt dziewięć lat, czyli zaledwie trzy lata więcej niż on sam liczy sobie obecnie. Ostatni obraz mistrza, jaki zachował, to widok staruszka skulonego przy ogniu. Przesunął dłonią po siwych włosach. Nie żałował tego, co przeżył. Kochał, zabijał, nigdy jednak nie przyniósł ujmy samemu sobie. Zgromadził wystarczająco dużo wspomnień, które usprawiedliwiały jego życie, chociaż były może jego jedynym dziedzictwem... Przykre było jedno: że nie mógł, jak Lucien de Montespan, przekazać komukolwiek swojej broni w chwili śmierci. Pozbawiona ramienia, które by ją ożywiło, staje się bezużyteczna. Trafi Bóg wie gdzie, do ciemnego kąta jakiegoś małego antykwariatu, będzie się pokrywać kurzem, rdzewieć, zamilknie na wieki. Umrze na podobieństwo jej właściciela. I nikt nie położy floretu na jego grobie.

Pomyślał o Adeli de Otero i poczuł niepokojące ukłucie. Ta kobieta pojawiła się w jego życiu stanowczo za późno. Jego wyschłe wargi zdolne były co najwyżej do kilku słów powściągliwej czułości.



## Rozdział trzeci

### Pchnięcie w tempo za zwodzony atak

*Przy pchnięciu w tempo, jak przy każdym ryzykownym ruchu, wytrawny szermierz musi przewidywać zamiary przeciwnika, uważnie obserwując jego ruchy i domyślając się skutków, jakie te mogą przynieść.*

Jeszcze pół godziny temu szósty już raz spoglądał z zadowoleniem na własne odbicie w lustrze. Niewielu jego znajomych w tym wieku prezentowało się równie dobrze. Z daleka można go było wziąć za młokosa, a to za sprawą szczupłej sylwetki i żwawych ruchów, co zawdzięczał nieustannym ćwiczeniom. Wcześniej ogolił się sumiennie angielską brzytwą z rączką z kości słoniowej i z większą niż zazwyczaj dbałością przystrzygł stalowo-szare wąsiki. Siwe włosy, lekko kędzierzawe na karku i skroniach, zaczesał starannie do tyłu. Długi przedziałek po lewej stronie był tak nieskazitelny, jakby zrobiony przy linijce.

Miał dobry humor, choć niecierpliwił się jak kadet, który w mundurze wyjściowym stawia się na pierwszą randkę. Te dawno zapomniane emocje wcale nie wprawiały go w zakłopotanie, wręcz przeciwnie, zdawał się dzięki nim odżywać. Wziął do ręki jedyną flaszeczkę wody kolońskiej, jaką miał, skropił sobie dłonie, a następnie natarł delikatnie policzki subtelną wonią. Dyskretny uśmiech uwydatnił zmarszczki wokół szarych oczu.

Rzecz jasna nie spodziewał się po tym spotkaniu żadnych dwuznacznych konsekwencji. Za dobrze zdawał sobie sprawę z okoliczności, by mieć jakiegokolwiek idiotyczne złudzenia. A przecież nie mógł odpędzić myśli, że to spotkanie ma szczególny charakter. Ze pierwszy raz w życiu będzie uczył kobietę, i to kogoś takiego jak Adela de Otero, co sprawiło, że w głębi duszy przypisywał wydarzeniu dodatkową wymowę estetyczną, chociaż właściwie nie wiedział do końca dlaczego. Zdążył już oswoić się z faktem, że jego nowy klient należy do płci przeciwnej, zwalczył w sobie początkowe opory, uprzedzenia zapędził w najdalsze zakamarki duszy, skąd ledwie je było słyhać, ich miejsce zajęło bowiem mile przecucie, że oto w jego jednostajnym życiu dzieje się coś nowego. Fechtmistrz z radością poddawał się teraz czemuś, co sam uznał za późną, nieszkodliwą fanaberię, za niewinną igraszkę rozbudzonych na nowo zmysłów, w której będzie jedynym świadomym protagonistą.

Za kwadrans piąta dokonał ostatniej kontroli domu. W gabinecie służącym także jako salon wszystko było w należytym porządku. Dozorczyni, która sprzątała pokoje trzy razy w tygodniu, ostrożnie przetrzała lustro w galerii, skąpanej w przyjemnym, złotawym półmroku dzięki ciężkim zasłonom i półprzymkniętym oknom. Za dziesięć piąta ostatni raz popatrzył na siebie w lustrze i kilkoma ruchami poprawił drobne niedociągnięcia w stroju. Był ubrany jak zwykle do pracy w domu: w koszulę, wąskie spodnie do szermierki, pończochy i pantofle z miękkiej skóry, a wszystko to w kolorze nieskazitelnie

białym. Tego dnia założył jeszcze niebieską kurtkę z angielskiego sukna, już trochę niemodną, znoszoną, ale lekką i wygodną, która przydawała mu nieco niedbalej elegancji. Szyję ozdobił białą apaszką z cieniutkiego jedwabiu.

Niewielki zegar ścienny miał wkrótce wybić piątą. Don Jaime siadł w gabinecie na sofie, skrzyżował nogi i bezwiednie otworzył leżącą na stoliku obok książkę, *Pamiętnik z Wyspy Świętej Heleny*, podniszczone wydanie *in quarto*. Przebiegł roztargnionym wzrokiem po dwóch, trzech wersach i spojrzął na wskazówki zegara: siedem po piątej. Pomyślał o kobiecej niepunktualności i nagle przestraszył się, że może się rozmyśliła. Zaczynał się już niepokoić, gdy usłyszał stukanie do drzwi.

Fiołkowe oczy patrzyły na niego z ironicznym ożywieniem.

– Dzień dobry, mistrzu.

– Dzień dobry pani.

Obróciła się ku pokojówce czekającej na podeście schodów. Don Jaime rozpoznał w niej dziewczynę, która otworzyła mu drzwi w mieszkaniu przy ulicy Riaño.

– W porządku, Lucía. Bądź po mnie za godzinę.

Służąca podała pani niewielką sakwę podróżną i skłoniwszy się wyszła na ulicę. Adela de Otero wyjęła z włosów długą szpilkę, jaka przytrzymywała jej kapelusz, i wręczyła ją razem z parasolką don Jaimemu. Następnie przeszła się PO gabinecie i ponownie stanęła przed portretem na ścianie.

– Przystojny mężczyzna – powtórzyła swoje słowa z poprzedniego dnia.

Fechtmistrz długo rozmyślał tego dnia, w jaki sposób powinien podjąć damę, i ostatecznie postanowił zachować zawodową powściągliwość. Chrząknął dając do zrozumienia, że Adela de Otero nie przybyła tu, żeby podziwiać urodę jego przodka, i gestem, któremu starał się nadać wyraz chłodny i uprzejmy zarazem, zaprosił ją, by bezzwłocznie przeszła do galerii. Popatrzyła na niego ze zdziwieniem i rozbawieniem, po czym skinęła powoli głową jak posłuszna uczennica. Drobna blizna w prawym kącie warg nadawała ustom Adeli de Otero tak niepokojący don Jaimego wyraz zagadkowego uśmiechu.

W galerii mistrz odciągnął jedną z zasłon i do sali wpadły promienie słoneczne, zwielokrotnione przez lustra. Patrząc na przybyłą pod światło, widział wokół jej głowy złocistą aureolę. Dziewczyna rozejrzała się z satysfakcją po pomieszczeniu. Na muślinowej sukni połyskiwał klejnot fiołkowego koloru. Don Jaime doszedł do wniosku, że Adela de Otero zawsze zakłada coś, co współgrałoby z barwą jej oczu, niewątpliwie umie ją wykorzystać.

– Fascynujące – powiedziała z nieklamany podziwem. Don Jaime też rozejrzył się po lustrach, po starych szpadach, po pomoście, i wzruszył ramionami.

– Ot, galeria do szermierki – odparł skrywając dumę.

Potrząsnęła głową, patrząc na własne odbicie.

– Nie, jest tu coś więcej. To światło, te stare panoplie, zasłony, wszystko razem – utkwiała wzrok w jego oczach, odrobinę zbyt długo, więc wstydliwie je spuścił. – Chyba przyjemnie tu pracować, don Jaime. Wszystko jest takie...

– Prehistoryczne?

Skrzywiła usta, jakby nie spodobał jej się ten żart.

– Nie w tym rzecz – jej lekko ochryply głos szukał odpowiedniego słowa. – Raczej... dekadentkie – powtórzyła to słowo, jakby odczuwała przy tym jakąś szczególną przyjemność. – Dekadentkie w pozytywnym znaczeniu, jak uschły kwiat w wazonie. Jak dobra, stara rycina. Kiedy pana poznałam, pomyślałam, że pański dom musi właśnie jakoś tak wyglądać.

Jaime Astarloa przestąpił w zakłopotaniu z nogi na nogę. Bliskość dziewczyny, jej graniczący z beczelnością tupet, żywotność, jaką zdawało się aż promieniować całe jej ciało, wszystko to budziło w nim dziwne pomieszanie. Postanowił nie poddawać się czarom i skierował rozmowę na zasadnicze tory. Głośno wyraził nadzieję, że przyniosła ze sobą bardziej odpowiedni strój. Uspokoila go, pokazując podrózną sakwę.

– Gdzie mogę się przebrać?

Don Jaimemu zdało się, że w jej głosie słyszy lekko wyzywającą nutę, ale na przekór sobie oddalił tę myśl. Może za bardzo wciąga go ta gra – mruknął w duchu i postanowił, że z najwyższą surowością będzie tępił w sobie wszelkie niestosowne w jego wieku wybryki. Ze śmiertelną powagą wskazał dziewczynie drzwi do przyległego pokoiku, przeznaczonego właśnie do tego celu, i nieoczekiwanie zaczął sprawdzać trwałość jednej z desek podium. Jednak zerknął na nią z ukosa, kiedy przechodziła obok niego, kierując się do garderoby, i wydało mu się, że dostrzega na jej wargach delikatny uśmiezek, który pospiesznie złożył na karb zwodniczej blizny w kąciku ust. Weszła do pokoiku i zostawiła za sobą drzwi uchylone ledwie na dwa cale. Don Jaime przelknął ślinę, starając się tego nie zauważać, ale wąska szpara przyciągała wzrok jak magnes. Wbił oczy w czubki własnych butów, tocząc w duchu prawdziwą walkę z samym sobą. Szelest halki przez mgnienie wywołał w jego wyobraźni obraz opalanej skóry w ciepłym półmroku. Oddalił natychmiast tę niestosowną wizję.

„Na miłość boską! – ta myśl brzmiała jak błaganie, choć nie wiedział, do kogo je kieruje. – Przecież to dama!”

Zrobił dwa kroki do okna, podniósł twarz i wystawił ją ku słońcu.

Adela de Otero zmieniła muślinową suknię na kasztanową spódnicę do jazdy konnej, lekką i bez ozdób, na tyle krótką, by nie krępowała ruchów, i na tyle długą jednocześnie, by pozwalała dostrzec najwyżej kostki okryte białymi pończochami. Na stopach miała płaskie pantofle do szermierki, w których poruszała się z gracją porównywalną jedynie z

wdziękiem baletnicy. Stroju dziewczyny dopełniała obcisła w biuście, biała, lniana bluzka, zapinana z tyłu i wykończona karczką bez koronek, eksponująca kształty właścicielki burzące spokój starego mistrza. W pantoflach bez obcasów stąpała z jakąś zwierzęcą lekkością, idącą w parze z męskim zdecydowaniem w ruchach, które don Jaime zauważył u niej już wcześniej. Bez wysokich butów porusza się jak kotka – pomyślał nauczyciel fechtunku.

Fiolkowe oczy spojrzały na niego z uwagą, badając efekt. Don Jaime wydawał się jednak nieprzenikniony.

– Jaki floret pani woli? – zapytał przymknąwszy oczy, oślepiiony światłem, które spowijało go rozkosznie. – Francuski, hiszpański czy włoski?

– Francuski. Lubię czuć swobodę w palcach.

Mistrz z zadowoleniem pochylił nieco głowę w niemymszanowaniu. Też przedkładał floret francuski, bez jalców, o rękojeści luźnej po sam kosz. Podszedł do jednej z panopli na ścianach i w zamyśleniu przyjrzał się zawieszanej broni. Skalkulował wzrost dziewczyny i długość jej ramion i wybrał znakomity floret z głownią z toledańskiej stali, giętki jak trzcina. Adela de Otero wzięła go do ręki i zaczęła oglądać z najwyższą uwagą. Chwyła prawą dłonią rękojeść, zważyła broń z wyraźnym uznaniem, zwróciła się ku ścianie i wypróbowała na niej głownię, zginając ją do chwili, gdy kosz znalazł się najwyżej ze dwadzieścia cali od punktu. Usatysfakcjonowana jakością stali, popatrzyła na don Jaimego. Jej palce pieściły dobrze zahartowany metal z niekłamanym podziwem kogoś, kto umie docenić wartość trzymanej w ręku broni.

Jaime Astarloa wziął do ręki pikowany plastron i gorliwie pomógł jej założyć, przytrzymując z tyłu haftki. Przy okazji bezwiednie musnął palcami gładką bluzę, wdychając delikatny zapach wody różanej. Dokończył dzieła z pewnym pośpiechem, zaambarasowany bliskością tej pięknej, pochylonej do przodu szyi, ciepłej i nagiej pod gęstymi włosami, upiętymi spinką z masy perłowej. Uporawszy się z ostatnią haftką, fechtmistrz z niezadowoleniem stwierdził, że palce mu drżą. Chcąc pokryć zmieszanie, z miejsca zajął dłonie guzikami kurtki i wygłosił jakąś banalną uwagę o przydatności plastronów podczas walki. Adela de Otero, zakładając skórzane rękawiczki, posłała mu spojrzenie zdziwione tym zbędnym gadulstwem.

– A pan nigdy nie korzysta z plastronu, mistrzu?

Wyrozumiały uśmiech skrzywił Jaimemu Astarloi wąsik.

– Czasami – odrzekł, zdjął kurtkę i apaszkę, podszedł do panopli i wybrał floret typu francuskiego, o kwadratowej, lekko ściętej rękojeści. Z bronią pod pachą stanął przed dziewczyną, która oczekiwała go wyprostowana na pomoście, wsparłszy swój floret punta o podłogę. Stopy trzymała pod kątem prostym, prawą piętą dotykając lewej kostki – słowem, stała w pozycji nieskazitelnej, gotowa do przyjęcia postawy szermierczej. Don Jaime chwilę przyglądał się jej i musiał przyznać, że nie ma żadnych zastrzeżeń. Skinął więc aprobująco głową, nałożył rękawiczki i wskazał maski, rozłożone na półce. Pokręciła głową ze wzgardą.

– Uważam, pani de Otero, że powinna pani zakryć sobie twarz. Wie pani, że podczas szermierki...

– Może później.

– Nie ma potrzeby wystawiać się na zbędne ryzyko – nalegał don Jaime, podziwiając zimną krew swojej nowej klientki. Musiała wiedzieć, że nieszczęśliwy cios punta, wymierzony zbyt wysoko, mógł nieodwracalnie oszpecić jej twarz. Adela de Otero jakby odgadła jego myśli i uśmiechnęła się (a może to znów ta blizna?).

– Polegam na pańskiej wprawie, mistrzu, ufam, że mnie pan nie okaleczy.

– Pani zaufanie to dla mnie zaszczyt, droga pani. Czulbym się jednak znacznie spokojniejszy, gdyby...

W oczach dziewczyny pojawiły się złociste iskry i mieniły się dziwnie.

– Przy pierwszym ataku na odkrytą twarz – wydawało się, że dodatkowy element ryzyka stanowi dla niej szczególny urok. – Obiecuję, że tylko ten jeden raz.

Nauczyciel fechtunku nie posiadał się ze zdumienia: ależ ta młoda koza jest uparta! I do tego potwornie zadufana.

– Pani, nie przyjmuję takiej odpowiedzialności. Nie darowałbym sobie...

– Proszę.

Don Jaime westchnął. Pierwsza potyczka przegrana z kretesem. Przejdźmy zatem do floretów.

– Nie nalegam więcej.

Wymienili pozdrowienia, szykując się do pojedynku. Adela de Otero zasłoniła się z precyzją. Trzymała floret pewnie, ale bez przesady, kciuk położyła na rękojeści, przyciskając palce mały i serdeczny, kosz podniosła na wysokość piersi, a puntę floretu nieco wyżej niż dłoń. Prezentowała na wskroś ortodoksyjny styl włoski, zwracając ku fechtmistrzowi jedynie prawy półprofil, floret, ramię, bark i biodro utrzymywała w jednej linii, kolana miała lekko ugięte, lewe ramię uniesione, a dłoń opuszczoną w nadgarstku z pozorną niedbałością. Don Jaime z podziwem patrzył na pełną wdzięku figurę dziewczyny, prężącej się do ataku niczym kot do skoku. Jej półprzymknięte oczy błyszczały jak w gorączce, zęby miała zaciśnięte. Usta, tak zazwyczaj piękne pomimo skazy w kąciuku, teraz zwęziły się do cienkiej kreski. Cała jej postać sprawiała wrażenie napiętej sprężyny. Staremu fechtmistrzowi wystarczyło jedno fachowe spojrzenie, by z zaskoczeniem stwierdzić, że dla Adeli de Otero szermierka jest czymś więcej niż zwykłą ekstrawagancką rozrywką. Wystarczyło dać dziewczynie broń do ręki, by przeistoczyła się w groźnego przeciwnika. Nawykły rozpoznawać ludzkie charaktery właśnie poprzez postawę, Jaime Astarloa domyślił się, że tajemnicza nieznajoma skrywa jakiś fascynujący sekret. Dlatego sam ujął floret i przyjął pozycję z taką samą ostrożnością, jakby naprzeciw niego stał rywal z ostrą głownią. Wyczuwał, że gdzieś czai się

niebezpieczeństwo, że ta gra już nie jest niewinna. A zawodowy instynkt nigdy go dotąd nie oszukał.

Gdy tylko skrzyżowali florety, pojął, że Adela de Otero pobierała nauki u znakomitego nauczyciela. Zrobił kilka zwodów, żeby sprawdzić reakcję przeciwniczki i spostrzegł, że odpowiada mu spokojnie, utrzymuje dystans, uważa na obronę wiedząc, że ma naprzeciw siebie człowieka nadzwyczaj doświadczonego w szermierczych zmaganiach. Fechtmistrzowi zazwyczaj wystarczał rzut oka na pozycję, jaką przyjmuje oponent, i zbadanie pewności uchwytu, by zaliczyć go do konkretnej kategorii – nie wątpił, że ta dziewczyna umie walczyć. W jej zachowaniu, o dziwo, spokój walczył o lepsze z agresją: widać było, że jest gotowa do wypadu, ale przytomny umysł podpowiada jej, by uważała na groźnego przeciwnika, choć ten prowokuje nieustannie sytuacje, kiedy pozornie można zadać mu z wypadu rozstrzygające pchnięcie. Dlatego właśnie Adela de Otero trzymała rozważnie czwartą zasłonę, starając się bronić mocną częścią głowni, gotowa wycofać się, gdyby mistrz zmienił taktykę i skrócił zanadto dystans. Wzorem wytrawnych szermierzy nie patrzyła na głownie floretów, tylko prosto w oczy rywala.

Don Jaime zaznaczył pchnięcie w trzecią, traktując je jako zwodzony atak przed natarciem w czwartą – wyłącznie dla przetestowania dziewczyny, nie zamierzał bowiem na razie upokarzać jej trafieniem. Ku jego zdumieniu Adela de Otero nie ugięła się, a on sam chwilę później ujrzał puntę jej floretu dosłownie kilka cali od własnego brzucha, kiedy dziewczyna niespodziewanie wykonała pchnięcie niskie w drugą, wydając jednocześnie z zaciśniętych ust ochryply okrzyk bojowy. Fechtmistrz zrobił unik, zresztą nie bez pewnego wysiłku. Był wściekły na siebie, że tak się odsłonił. Przeciwniczka cofnęła się o dwa kroki, dała jeden naprzód, ponownie w czwartej, i w absolutnym skupieniu, z zaciśniętymi ustami, wpatrywała się w oczy mistrza spod półprzymkniętych powiek.

– Doskonale – mruknął don Jaime na tyle głośno, żeby mogła go usłyszeć, ale nie dała po sobie poznać, że ta pochwała sprawiła jej przyjemność. Między jej brwiami pojawiła się jedna pionowa zmarszczka, od skroni płynęła jej po policzku jedna kropla potu. Spódnica raczej nie krępowiała jej ruchów. Trzymając floret lekko zgiętą ręką, dziewczyna czujnie obserwowała, czy Jaime Astarloa wykona choćby najmniejszy ruch. Mistrzowi przyszło do głowy, że w tym stanie traci na urodzie, że nadal jest atrakcyjna, ale raczej poprzez to pełne napięcia wyczekiwanie, od którego całe jej ciało niemal dygotało. Owszem, miała w sobie coś męskiego, ale także coś mrocznego i dzikiego.

Adela de Otero nie uciekała na boki, cały czas poruszała się w tył i przód, utrzymując właściwy rytm tak zachwalany przez purystów i także zalecany uczniom przez don Jaimego. Mistrz zrobił trzy kroki naprzód, na co ona odpowiedziała, cofając się o trzy. Zadał pchnięcie w trzecią, dziewczyna wykonała znakomitą kontra–czwartą, opisując małe kółeczko wokół głowni przeciwnika, zmieniając przy tym położenie jego brom. Ten w skrytości ducha z podziwem przyjął tak nieskazitelny manewr obronny, uważany za najprzedniejszy pośród przednich. Każdy, kto posiadał ten sekret, mógł się uważać za niezrównanego szermierza. Zaczekał, aż Adela de Otero znów natrze w czwartą, co błyskawicznie uczyniła, sparował atak i odpowiedział górnym pchnięciem. Miałby trafienie, gdyby z własnej woli nie zatrzymał ciosu dosłownie cal wcześniej. Dziewczyna spostrzegła ten ruch, cofnęła się o krok i palającymi gniewem oczyma popatrzyła na fechtmistrza.

– Nie płacę panu, don Jaime, za to, żeby się pan ze mną bawił jak z jakimś nowicjuszem – jej głos drżał od źle skrywanej wściekłości. – Jeśli ma pan mnie trafić, niech pan to robi.

Nauczyciel szermierki, zdumiony tak gwałtowną reakcją, wydusił z siebie przeprosiny. Adela de Otero znów zmarszczyła tylko w skupieniu czoło i wykonała natarcie długim wypadem z taką zuchwałością, że fechtmistrzowi ledwie czasu starczyło, by sparować w czwartej zasłonie. Na dodatek siła ciosu była na tyle wielka, że musiał się cofnąć. Chcąc utrzymać dystans, odpowiedział w czwartej linii, ale ona nie zakończyła ataku, wiązała, nacierała i zbliżała się z niesłychaną szybkością. Każdemu jej ruchowi towarzyszył ochryply okrzyk. Zaskoczony nie tyle samym natarciem, ile stanowczą pasją, z jaką było przeprowadzane, don Jaime cały czas się wycofywał, wpatrując się jak zahipnotyzowany w straszliwy wyraz twarzy przeciwniczki. Zwiększył dystans, ale ona wciąż szła naprzód. Zwiększył znowu, parując w czwartej, ale Adela de Otero wciąż nie ustępowała, wiązała i natarła w piątej. Fechtmistrz kolejny raz musiał się cofnąć. I tym razem dziewczyna związała w piątej, po czym natarła w drugą. „Dosyć tego” – pomyślał don Jaime, zdecydowany przerwać tę niedorzeczną sytuację. Tymczasem dziewczyna znów związała w trzeciej i natarła w czwartą od strony zewnętrznej, zanim don Jaime zdolał się do końca pozbierać. Dużym wysiłkiem zrobił unik, wydobyl się z opresji, odzyskał pion, zaczekał, aż dziewczyna uniesie floret poziomo, i wytrącił jej broń z ręki stanowczym, krótkim uderzeniem w głównię. Niemalże tym samym ruchem uniósł punktę i wycelował ją prosto w gardło Adeli de Otero. Broń upadła na ziemię, dziewczyna tymczasem skoczyła w tył, nie spuszczając oczu z floretu mistrza, jakby to był wąż gotujący się do ukąszenia.

Dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem w milczeniu. Zaskoczony fechtmistrz spostrzegł, że dziewczynie przeszła cała złość, jaka powodowała ją podczas walki. Jej miejsce na twarzy Adeli de Otero zajął uśmiech, w którym można było wyczuć cień ironii. Najwyraźniej sprawiło jej przyjemność, że napytała mu kłopotów. Poczul, jak rośnie w nim irytacja.

– Co to ma znaczyć?... Gdybyśmy walczyli na ostre, taki wybryk kosztowałby panią życie, droga pani! Szermierka to nie przelewki.

Odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła nagłym, radosnym śmiechem, niczym dziewczynka, której udała się fantastyczna psota. Policzki zaróżowiły jej się od wysiłku, na górnej wardze pojawiły się drobnutkie kropelki potu. Rzęsy też lśniły jakby pod wpływem wilgoci i don Jaimemu przyszła do głowy (szybko odpędzona) myśl, że tak właśnie musiała wyglądać chwilę po zmaganiach miłosnych.

– Proszę się na mnie nie gniewać, mistrzu – wyraz jej twarzy zmieniał się razem z głosem, teraz był pełen słodczy, rozbrajającego czaru, upojnego piękna. Wciąż stała zdyszana, piersi falowały jej pod plastronem. – Chciałam tylko panu dowieść, że niepotrzebnie traktuje mnie pan protekcyjnie. Trzymając w rękę floret, czuję odrazę do względów należnych kobiecie. Jak sam się pan przekonał, potrafię zadać dobre pchnięcia – dodała tonem, w którym fechtmistrz wyczuł dalekie echo groźby. – A pchnięcie jest pchnięciem... niezależnie, kto je zadaje.

Jaime Astarloa nie miał wyboru, musiał skłonić się wobec takiego argumentu:

– W takim razie, droga pani, to ja proszę o przyjęcie moich przeprosin.

Odpowiedziała mu nadzwyczaj wytwornym ukłonem:

– Przyjmuję, mistrzu – włosy upięte na karku znalazły się w lekkim nieładzie, na ramię splotywał jej czarny kosmyk. Uniosła dłonie i zaczęła poprawiać sobie fryzurę za pomocą spinki z masy perłowej. – Możemy kontynuować?

Don Jaime zgodził się i podał jej podniesiony z podłogi floret. Nie mógł wyjść z podziwu nad opanowaniem dziewczyny. Podczas walki metalowa punta, osłaniająca czubek jego floretu, niejednokrotnie musnęła groźnie jej twarz, ona jednak ani razu nie zdradziła najmniejszych oznak przestraszenia ani zdenerwowania.

– Teraz musimy założyć maski – powiedział. Adela de Otero nie sprzeciwiła się, obydwójce założyli więc osłony na twarze i przyjęli gardę. Don Jaime żałował, że metalowa kratka niemal całkowicie zakrywa rysy młodej kobiety, dostrzegał jednak blask jej oczu i białą linię zębów, gdy tylko przestawała zaciskać usta i oddychała ciężko przed kolejnym wypadem naprzód. Dalej ćwiczenie przebiegło bez incydentów: dziewczyna walczyła spokojnie, wykonywała ruchy w nieskazitelnym rytmie i z ogromną precyzją. Wprawdzie nie zdołała ani razu trafić przeciwnika, zmusiła go jednak, by uciekł się do całej swojej sztuki dla uniknięcia paru pchnięć, jakie niewątpliwie dosięgłyby kogoś mniej doświadczonego. Wśród szczęku broni wypełniającego galerię don Jaime pomyślał, że Adela de Otero równa jest najznakomitszym szermierzom, jakich w życiu poznał. Zresztą przyszło mu w końcu – i to niezależnie od jej próśb – na serio stawić czoło atakom. Dwukrotnie musiał wręcz trafić przeciwniczkę, żeby samemu nie zostać trafionym. W sumie Adela de Otero otrzymała tego popołudnia pięć trafień – wcale nie tak dużo, zważywszy klasę i doświadczenie jej rywala.

Kiedy zegar wybił szóstą, obydwójce stanęli zasapani od gorąca i wysiłku. Adela de Otero zdjęła maskę i otarła z twarzy pot ręcznikiem ofiarowanym przez don Jaimego. Następnie spojrzała na niego pytającym wzrokiem, oczekując werdyktu.

Mistrz uśmiechał się.

– Nigdy bym nie przypuszczał – wyznał z ręką na sercu. Dziewczyna przymknęła powieki z zadowoleniem jak pogłaskana kotka. – Od dawna ćwiczysz pani szermierkę?

– Od chwili, gdy skończyłam osiemnaście lat – słysząc to don Jaime zaczął w myśli przeliczać, ile też mogła mieć dzisiaj. Odgadła jego zamiar. – Teraz mam dwadzieścia siedem.

Mistrz uniósł kurtuazyjnie brwi, chcąc dać do zrozumienia, że wygląda młodziej.

– Nie dbam o to – dodała. – Zawsze uważałam, że głupotą jest ukrywanie swojego wieku albo udawanie, że się jest młodszą. Wypierać się własnego wieku to jak wypierać się własnego życia.

– Mądra filozofia.



- Raczej roztropność, mistrzu, roztropność, nic innego.
- Trudno uznać to za cechę bardzo kobiecą – uśmiechnął się.
- Zdziwilby się pan, mistrzu, gdyby dowiedział się pan, ilu kobiecych cech jestem pozbawiona.

Zapukano do drzwi. Adela de Otero nadała się lekko.

- To pewnie Lucía. Powiedziałam jej, żeby przyszła po mnie za godzinę.

Don Jaime przeprosił i poszedł otworzyć. Istotnie, była to służąca. Kiedy wrócił do galerii, Adela de Otero już przebierała się w garderobie. Znów zostawiła drzwi niedomknięte.

Mistrz powiesił florety na panopliach i pozbierał maski z podłogi. Po chwili jego klientka stała przed nim na nowo odziana w muślinową suknię i czesała się trzymając spinę w zębach. Jej czarne włosy były długie i zadbane, sięgały jej daleko za ramiona.

- Kiedy nauczy mnie pan swojego pchnięcia?

Jaime Astarloa nie miał wątpliwości, że może z czystym sumieniem pokazać jej pchnięcie za dwieście eskudów.

- Pojutrze o tej samej porze – odrzekł. – W cenie lekcji jest zarówno nauka samego pchnięcia, jak i jego parowania. Przy pani doświadczeniu sądzę, że do jego opanowania wystarczą pani dwie, trzy lekcje.

Była wyraźnie zadowolona.

- Chyba chciałabym poćwiczyć z panem, don Jaime – powiedziała bez ogródek, w porywie szczerości. – To zaiste rozkosz walczyć z kimś tak... cudownie klasycznym. Nie da się ukryć, że należy pan do starej szkoły francuskiej: ciało wyprostowane, noga wyprężona, wypad do przodu tylko wówczas, gdy to konieczne. Już nie spotyka się takich szermierzy.

- Niestety, droga pani. Niestety.

- Zauważyłam także – dodała – że ma pan jeszcze jedną cechę wielkiego szermierza... Coś, co znawcy nazywają... Jak to się mówi? *Sentiment du fer*<sup>2</sup>. Nie mam racji? Zdaje się, że posiadli to tylko naprawdę utalentowani mistrzowie.

Don Jaime skinął niedbale głową, jakby chcąc tę sprawę zaliczyć do błahostek. W głębi duszy spostrzegawczość Adeli de Otero sprawiła mu jednak dużą przyjemność.

- To wyłącznie owoc długiej pracy – odpowiedział. – Cnota, o której pani mówi, to swego rodzaju szósty zmysł, który zezwala przedłużyć wrażenia dotykowe palców

---

<sup>2</sup> Wyczucie żelaza (przyp. tłum.).

trzymających floret aż po czubek broni... Specjalny instynkt ostrzegający o zamiarach przeciwnika, czasem umożliwiający przewidywanie jego ruchów na ułamek sekundy wcześniej, zanim tamten je wykona.

– Też chciałabym się tego nauczyć.

– Niemożliwe. To jedynie kwestia praktyki. Nie ma tu żadnej tajemnicy, niczego, co można by mieć za pieniądze. Na jego zdobycie potrzeba całego życia. Tak długiego jak moje.

Wydawało się, że o czymś sobie przypomniała.

– Co się tyczy pańskiego wynagrodzenia – rzekła – pragnęłabym wiedzieć, czy woli pan wypłatę w gotówce, czy czekiem na rachunek w którymś towarzystwie bankowym. Na przykład w Banco d'Italia. Nawet kiedy nauczę się pańskiego pchnięcia, będę chciała jeszcze jakiś czas ćwiczyć z panem.

Mistrz uprzejmie zaprotestował. Zważywszy okoliczności z największą rozkoszą oferuje jej swoje usługi bez jakiegokolwiek wynagrodzenia i tak dalej. Dlatego rozmowa na temat pieniędzy wydaje mu się niewłaściwa.

Popatrzyła na niego chłodno i oznajmiła, że korzysta przecież z zawodowych usług mistrza fechtunku, które powinny zostać opłacone. Następnie, uznawszy sprawę za zakończoną, szybko i precyzyjnie zebrała włosy na karku, spinając je następnie kłamarą z masy perłowej.

Jaime Astarloa nałożył kurtkę i poprowadził swoją nową klientkę do gabinetu. Służąca czekała na schodach, Adeli de Otero nie było wszelako spieszo do odejścia. Poprosiła o szklankę wody i z nietajoną ciekawością zaczęła przyglądać się tytułom książek ustawionych na regałach.

– Oddałbym mój najlepszy floret, żeby dowiedzieć się, kto był pani nauczycielem, pani de Otero.

– A który floret uważa pan za najlepszy? – zapytała nie odwracając głowy. Przesuwała delikatnie palcem po grzbiecie *Pamiętników* Talleyranda.

– Żelazo mediolańskie, wykute przez d'Arcadięgo.

Dziewczyna skrzywiła z rozbawieniem usta, jakby szacowała ofertę.

– Kusząca propozycja, ale ją odrzucę. Jeśli kobieta chce pozostać choć trochę atrakcyjna, musi mieć jakąś drobną tajemnicę. Pozostańmy przy stwierdzeniu, że miałam dobrego mistrza.

– Zdołałem to zauważyć. A pani okazała się wybitną uczennicą.

– Dziękuję.

– To szczerą prawdą. W każdym razie, jeśli pani pozwoli mi zgadywać, ośmieliłbym się przypuszczać, że był Włochem. Niektóre pani ruchy są charakterystyczne dla tej wielce szanowanej szkoły.

Adela de Otero uniosła powabnie palec do ust.

– Porozmawiamy o tym kiedy indziej, mistrzu – rzekła cicho jak ktoś, kto dzieli się tajemnicą. Rozejrzała się i wyciągnęła dłoń w stronę sofy. – Mogę usiąść?

– Będę zobowiązany.

Z lekkim szelestem sukni opadła na wysłużone, skórzane obicie koloru tytoniu. Jaime Astarloa, lekko zakłopotany, trwał na stojąco.

– Mistrzu, gdzie stawiał pan pierwsze kroki jako szermierz?

Stary profesor spojrział na nią chytrze.

– Zdziwiał mnie pani zuchwałość, droga pani. Nie chce mi pani wyjawiać własnej przeszłości, ale wypytuje o moją... To niesprawiedliwe.

Posłała mu uwodzicielski uśmiech.

– Wobec mężczyzn niesprawiedliwości nigdy za dużo, don Jaime.

– Okrutna odpowiedź.

– I szczerą.

Fechtmistrz popatrzył na nią zadumany. Nagle spoważniał.

– Dono Adelo – rzekł po chwili tak otwarcie, że trudno było jego słowa poczytać za efekciarską galanterię. – Poświęciłbym wszystko, żeby móc posłać bilecik i sekundantów do człowieka, który stał się przyczyną pani gorzkiej refleksji.

Spoglądała na niego początkowo z rozbawieniem, które po chwili ustąpiło miejsca szczeremu zaskoczeniu, kiedy dotarło do niej, że gospodarz nie żartuje. Już miała coś odpowiedzieć, ale zastygła z na wpół otwartymi ustami i w milczeniu smakowała mile słowa, jakie właśnie usłyszała.

– To – odezwała się wreszcie po chwili – najdworniejszy komplement, jaki w życiu odebrałam.

Jaime Astarloa położył dłonie na oparciu fotela. Zastanawiał się nad czymś, marszcząc niepewnie czoło. Z pewnością nie zamierzał wygłaszać komplementów, chciał tylko dać wyraz uczuciom. Teraz obawiał się, że zabrzmiało to śmiesznie. Zwłaszcza w jego wieku.

Odczytała jego zmieszanie i pospieszyła z pomocą, beztrąsko wracając do pierwotnego tematu rozmowy.

– Miał mi pan opowiedzieć, jak pan zaczynał karierę szermierza, mistrzu.

Don Jaime uśmiechnął się z wdzięcznością, zdradzając miną, że się poddaje.

– Podczas służby w wojsku.

Znów spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Był pan wojskowym?

– Tak. Przez krótki okres mojego życia.

– W mundurze musiał pan wyglądać wytwornie. Nadal pan wygląda.

– Droga pani, proszę nie lechtać mojej próżności. My, starzy ludzie, jesteśmy bardzo łąsi na podobne uwagi, zwłaszcza gdy padają z ust pięknej dziewczyny, której mąż bez wątpienia...

Urwał i oczekiwał reakcji, ale bezskutecznie. Adela de Otero patrzyła na niego, jak gdyby oczekiwała, że dokończy zdanie. Po chwili wyjęła z sakwy wachlarz, nie otworzyła go jednak. Kiedy przemówiła, jej oczy nabrały surowego wyrazu.

– Sądzi pan, że jestem piękną dziewczyną?

Fechtmistrz stropił się nieco.

– Oczywiście – odrzekł po paru sekundach z największą prostotą, na jaką było go stać.

– Tak opisałby mnie pan przyjaciółom w kasynie? Jako piękną dziewczynę?

Jaime Astarloa wyprostował się, jakby go właśnie obrażono.

– Szanowna pani, spieszę panią poinformować, że nie chadzam do kasyna, nie mam też przyjaciół. Nie omieszkam też dodać, że gdyby jednak doszło do wspomnianej przez panią całkowicie nierealnej sytuacji, nigdy nie ośmieliłbym się w takim miejscu wymówić imienia damy.

Patrzyła na niego dłuższy czas, jakby szacowała szczerść jego słów.

– W każdym razie – dodał don Jaime – kilka minut temu określiła mnie pani jako wytwornego mężczyznę, czym nie poczułem się urażony. Nie dopytywałem się także, czy tak by mnie pani opisała przyjaciółkom podczas herbatki.

Roześmiała się z całego serca, Jaime Astarloa jej zawtórował. Widząc, że wachlarz zsunął się na ziemię, fechtmistrz ukląkł na jedno kolano, żeby go podnieść. Przez moment ich twarze pozostawały zaledwie kilka cali od siebie.

– Nie mam przyjaciółek i nie pijam herbatki – powiedziała. Don Jaime z przyjemnością wpatrywał się w fiołkowe oczy, których nigdy dotąd nie miał okazji widzieć z tak bliska.

– Miał pan kiedyś przyjaciół? To znaczy prawdziwych przyjaciół, ludzi, którym nie wahałby się pan powierzyć własnego życia...

Wstał bez pośpiechu. Nie musiał szczególnie wysilać pamięci, by odpowiedzieć na to pytanie.

– Raz. I w grę nie wchodziła wówczas typowa przyjaźń. Miałem zaszczyt przeżyć kilka lat u boku mistrza Luciena de Montespan. To on nauczył mnie tego, co dziś umiem.

Adela de Otero powtórzyła cicho nazwisko. Najwyraźniej słyszała je pierwszy raz. Jaime Astarloa uśmiechnął się.

– Naturalnie, jest pani za młoda... – popatrzył w przestrzeń i znowu na nią. – Był najlepszy. Za jego czasów nikt nie zdołał go pokonać – zamyślił się chwilę nad własnymi słowami. – Absolutnie nikt.

– Pracował pan we Francji?

– Tak. Jedenaście lat jako mistrz fechtunku. Do Hiszpanii wróciłem w połowie stulecia, w tysiąc osiemset pięćdziesiątym.

Fioletowe oczy popatrzyły na niego z uwagą, jakby ich właścicielka odczuwała swego rodzaju lekką satysfakcję, że udało jej się wydobyć ze starego mistrza nostalgiczne wspomnienia.

– Może zatęsknił pan za ojczyzną. Znam to uczucie.

Nie odpowiedział od razu. Wyczuwał doskonale, że młoda kobieta zmusza go do wyznań, czemu niechętnie się poddawał. A jednak z Adeli de Otero emanował jakiś dziwny urok, który łagodnie, ale zwodniczo kazał mu otwierać się coraz bardziej.

– Coś było i z tego, racja – powiedział w końcu, poddając się czarowi swego gościa. – W gruncie rzeczy jednak sprawa była znacznie bardziej... złożona. Można by to nazwać ucieczką.

– Ucieczką? Nie wygląda pan na kogoś, kto by uciekał.

Don Jaime uśmiechnął się nerwowo. Czuł, że wspomnienia gorączkowo wypływają na powierzchnię. Wcale nie miał ochoty powierzać ich Adeli de Otero.

– Mówiłem w przenośni – jakby się ocknął. – No, powiedzmy, częściowo. W ostatecznym rozrachunku może rzeczywiście była to zwykła ucieczka...

Zagryzła w zaniepokojeniu usta.

– Musi mi pan to opowiedzieć, mistrzu.

– Może później, droga pani. Możliwe, że później... Przyznam się, że nie wspominam tej historii ze szczególną przyjemnością – urwał, jakby właśnie coś sobie przypomniał. –

Poza tym myli się pani twierdząc, że nie wyglądam na kogoś, kto by uciekał. Każdy z nas kiedyś w życiu uciekał. Ja także.

Adela de Otero trwała w zamyśleniu i z lekko otwartymi ustami obserwowała don Jaimego, jakby próbowała go ocenić. Wreszcie skrzyżowała dłonie na podolku. Teraz w jej oczach widać było sympatie.

– Może kiedyś mi ją pan opowie. To znaczy, pańską historię – przerwała, widząc wyraźne zakłopotanie mistrza. – Nie pojmuję, dlaczego ktoś tak sławny jak pan... Nie mam zamiaru pana urazić... O ile pojęłam, przeżył pan i lepsze czasy.

Jaime Astarloa wyprostował się wyniośle. Możliwe, że – jak sama mówiła – nie miała zamiaru go urazić. A jednak poczuł się urażony.

– Nasza sztuka staje się bezużyteczna, proszę pani – powiedział ugodzony do żywego. – Sprawy honorowe załatwiane za pomocą broni białej należą do rzadkości, bo pistoletem łatwiej się posługiwać, a i zasad przy tym mniej. Szermierka z kolei staje się bagatelną rozrywką – wypowiadał te słowa z widocznym niesmakiem. – Już jest nazywana *sport*... Jakby chodziło o gimnastykę w koszulkach do ćwiczeń!

Otworzyła wachlarz. Widniały na nim ręcznie malowane białe plamki stylizowanych kwiatów migdałowca.

– Pan, oczywiście, podchodzi do tego zagadnienia inaczej...

– Oczywiście. Wykładam sztukę i robię to tak, jak i mnie nauczono: z całą powagą i szacunkiem. Jestem klasykiem.

Perłowe żeberka wachlarza zachrzęściły delikatnie. Adela de Otero pokręciła głową z nieobecnym wyrazem twarzy, jakby porządkowała obrazy, które tylko ona mogła ujrzeć i opisać.

– Za późno się pan urodził, don Jaime – powiedziała wreszcie obojętnym głosem – ... albo nie zmarł pan we właściwym momencie.

Spojrzał na nią, nie kryjąc zaskoczenia.

– Dziwne rzeczy pani mówi.

– Na przykład?

– Że nie umarłem we właściwym momencie – fechtmistrz zrobił wymijającą minę, jakby przeproszał, że wciąż żyje. Rozmowa przyjęła zajmujący obrót, ale widać było, że dziewczyna nie żartuje. – W tym stuleciu począwszy od pewnego wieku coraz trudniej jest umrzeć należycie.

– Ogromnie chciałabym się dowiedzieć, co uważa pan za należyłą śmierć, mistrzu.

– Nie sądzę, by mogła to pani zrozumieć.

– Jest pan pewien?

– Nie, nie jestem. Możliwe, że zrozumiałaby pani, ale jest mi to obojętne. Nie są to rzeczy, o których można rozmawiać...

– Z kobietą?

– Z kobietą.

Adela de Otero zamknęła wachlarz i uniosła go aż do blizny w kąciку ust.

– Pan jest chyba strasznie samotny, don Jaime.

Mistrz fechtunku popatrzył na nią z uwagą. W jego szarych oczach nie było już rozbawienia, ich blask przygasł.

– Owszem – odparł zmęczonym głosem. – Ale nikogo za to nie winię. W rzeczywistości chodzi o swego rodzaju fascynację: o stan egoistycznej łaski, bardzo prywatnej, stan, który można osiągnąć, pełniąc tylko służbę na zapomnianych, nieuczęszczanych szlakach... Uważa mnie pani za dziwaczego starca?

Pokręciła głową. Jej oczy promieniowały teraz słodyczą.

– Nie. Jedynie poraża mnie pański brak zmysłu praktycznego.

Jaime Astarloa uśmiechnął się niewyraźnie.

– Jedną z wielu cnót, jakich nie posiadam i tym się szcycę, droga pani, jest właśnie owo praktyczne podejście do życia. Z pewnością zdążyła już to pani zauważyć... Nie zamierzam jednak udawać przed panią, jakoby kryły się za tym jakieś motywy moralne. Może pozwoli pani, że uznamy to tylko i wyłącznie za kwestię natury estetycznej.

– Estetyką jeszcze się nikt nie najadł – mruknęła ubawiona, jakby pod wpływem myśli, których nie chciała wyjawiać. – Zapewniam pana, że mam w tym względzie spore doświadczenie.

Don Jarme popatrzył na czubki butów i uśmiechnął się nieśmiało. Miał minę sztubaka, który przyznał się do błędu.

– Jeśli przykrym zrzędzeniem losu ma pani takie doświadczenia, proszę mi wierzyć, że nad tym ubolewam – rzekł cicho. – Natomiast co się tyczy mojej osoby, dzięki takiej postawie mogę uczciwie spojrzeć sobie w twarz rano przy goleniu. Niewielu znanych mi mężczyzn, droga pani, mogłoby to o sobie powiedzieć.

Na dworze z wolna zaczęły rozbłyskiwać pierwsze lampy uliczne, zalewając miasto sznurami gazowego światła. Miejscy latarnicy z długimi żerdziami nie spieszyli się zbyt, co chwila zatrzymując się w jakiejś karczmie, żeby zaspokoić pragnienie. Za

pałacem Oriente widać było jeszcze nieco jasnego nieba, na tle którego wyraźnie odcinały się kontury Teatru Królewskiego. Otwarte okna, też jaśniejące od lamp naftowych, przyjmowały ciepły wieczorny zefirek.

Jaime Astarloa wymamrotał „dobry wieczór” w stronę grupki sąsiadów, którzy zasiedli na pogaduszki na rogu ulicy Bordadores w trzcinowych krzeselkach, korzystając z orzeźwiającego zmięzchu. Rano w okolicach placu Mayor miały miejsce studenckie rozruchy – bez większego znaczenia, jeśli wierzyć znajomym z kawiarni Progreso, którzy poinformowali go o wydarzeniu. Jak twierdził don Lucas, grupa wicherzycieli wznosiła okrzyki „Prim, Wolność, precz z Burbonami”, ale została zdecydowanie rozpędzona przez siły porządku. Rzecz jasna wersja Agapita Cárcelesa różniła się zasadniczo od tej, jaką podał (ton pogardliwy, anarchistyczne westchnienie) szanowny pan Rioseco, gotów szukać wicherzycieli wszędzie tam, gdzie są tylko patrioci spragnieni sprawiedliwości. Siły ucisku, jedyna podpora zmurszałej monarchii „Jaśnie Pani” (ton szyderczy, złośliwy uśmieszek) i jej przebrzydłej kamaryli, znowu zdławiły ciosem i szablą słuszny protest i tak dalej. Sam don Jaime zdołał się zorientować, że po okolicy krąży jeszcze paru żandarmów konnych z posepnymi minami pod lśnącymi kapeluszami.

Znalazszy się pod pałacem, fechtmistrz minął halabardników na posterunku i podszedł do balustrady wychodzącej na ogrody. Casa de Campo była już o tej porze ogromną, ciemną plamą na tle nocnego nieba, pochłaniającego w oddali słabą, gasnącą nić błękitnego światła. Tu i ówdzie przechodnie stawali jak don Jaime i bez ruchu podziwiali ostatnie tchnienie potulnie dopalającego się dnia.

Nie wiedzieć czemu mistrz fechtunku poczuł, że ogarnia go melancholia. Z natury lepiej czuł się, rozpamiętując przeszłość niż teraźniejszość, wołał też przeżywać swoje tęsknoty w samotności. Zazwyczaj stany takie przebiegały bez zgrzytów, nie powodowały goryczy, wręcz przeciwnie, przypominały raczej sen, który mógłby określić jako przyjemnie smutny. Poddawał się mu całkowicie świadomie, a jeśli przypadkiem usiłował nadać konkretny kształt swoim urojeniom, widział w nich swój skromny dobytek, jedyne bogactwo, jakie zdołał zgromadzić w ciągu życia, bogactwo, które zabierze ze sobą do grobu, by ulotniło się wraz z jego duszą. To był cały jego świat, cały żywot pełen przeżyć i troskliwie przechowywanych wspomnień. Stąd Jaime Astarloa brał swoją pogodę ducha, czyli coś, co określał jako spokój, jako jedyne przejaw mądrości, o jakim mogła marzyć niedoskonała natura ludzka. Widział przed sobą swoje życie, ciche, bogate i teraz już spełnione, majestatyczne i niewzruszone jak rzeka przy ujściu. I mimo wszystko wystarczyła para fiołkowych oczu, żeby to poczucie ładu wewnętrznego ujawniło całą swą kruchość. Należało jedynie sprawdzić, czy da się ograniczyć rozmiar klęski, skoro jego dusza dawno już zapomniała smak wielkich uniesień – teraz bowiem czuł wewnątrz coś na kształt późnej tklivości, otulonej welonem smutku. „A więc tylko tyle?...” – pytał ni to z ulgą, ni to z rozżaleniem, gdy tak stał oparty o balustradę i podziwiał spektakl cieni na firmamencie. „A więc tylko tyle mogę jeszcze wykrzesać ze swych uczuć?”... Uśmiechnął się na myśl o sobie samym, o swojej posturze, o uchodzących zeń siłach. O duchu jak on starym i zmęczonym, który nagle opiera się jednak niedoleństwu, wymuszanemu przez powoli obumierające ciało. Fechtistrz nie miał już wątpliwości – w owym doznaniu rozkosznej niepewności odzywał się spóźniony, patetyczny bunt, istny labędzi śpiew jego wciąż dumnego ja.



## Rozdział czwarty

### Pchnięcie krótkie

*Pchnięcie krótkie z ponowieniem zwykle odsłania tego, kto je zadaje bez zastanowienia ni umiaru. Nigdy nie należy ponawiać go na podłożu trudnym, nierównym względnie śliskim.*

Powoli mijały dni skwarne i gwarne. Juan Prim zawiązywał swój spisek nad brzegami Tamizy, a tymczasem sznur więźniów ciągnął przez spalone słońcem pustkowiec ku afrykańskim koloniom. Jaimego Astarloę niewiele to zajmowało, nie mógł jednak uciec od skutków ubocznych. Szczególnie przy stoliku w Progreso, gdzie dosłownie wrzało. Agapito Cárceles wywijał swoją flagę w postaci egzemplarza „La Nueva Iberia” sprzed paru tygodni. W głośnym wstępniaku pod tytułem *Ostatnie słowo* redakcja ujawniała pewne szczegóły porozumienia zawartego w Bajonnie pomiędzy wypędzonymi z kraju przywódcami partii lewicowych a Unią Liberalną, mającego na celu obalenie monarchii i wyłonienie Konstytuanty w wyborach powszechnych. Sprawa nie była pierwszej świeżości, ale „La Nueva Iberia” wywołała prawdziwą burzę. W całym Madrycie wrzało.

– Lepiej późno niż wcale – zapewniał Cárceles, machając wyzywająco gazetą przed nastroszonym wąsem Lucasa Rioseco. – Któż to opowiadał, że takie pakta są przeciw naturze? No, kto? – tu trzepnął pięścią w zadrukowany papier, już i tak dość wymiętoszony przez resztę uczestników spotkania. – Dni starych wsteczników są policzone, panowie. Nowy płomień tuż–tuż.

– Nigdy! Rewolucja nigdy! A tym bardziej republika! – don Lucas pałał oburzeniem, ale wobec rozwoju wydarzeń był tego dnia bardziej milczący. – Co najwyżej, powiadam panu, don Agapito, co najwyżej Prim przygotowuje jakieś rozwiązanie zastępcze, byleby utrzymać monarchię. Reus nigdy nie dopuści, żeby marazm rewolucyjny się rozprzestrzenił. Przenigdy! Ostatecznie to przecież żołnierz. A każdy żołnierz to patriota. Ponieważ zaś każdy patriota jest monarchistą, zatem...

– Nie zniosę obelg! – wrzasnął Cárceles w gorączce. – Domagam się, panie Rioseco, żebyś pan to odszczekał.

Don Lucas, zaskoczony tą odżywką, spojrział na swego oponenta z wyraźną konsternacją.

– Ja pana nie łzyłem, panie Cárceles.

Uniesiony gniewem dziennikarz przywołał niebiosa i kolegów przy stole na świadków.

– Jeszcze mówi, że mnie nie łżył! Mówi, że nie łżył, kiedy wszyscy panowie doskonale słyszeli, że ten tu jegomość opowiada niewczesne brednie, jakobym był monarchistą!

– Wcale nie powiedziałem, że pan...

– Odwołaj pan to natychmiast! Odwołaj pan swoje słowa, don Lucasio, jeśli się pan mienisz człowiekiem honoru! Odwołaj pan, bo historia pana osądzi!

– Mam się za człowieka honoru, bo nim jestem, don Agapito. A na sąd historii sobie bimbam. Zresztą co ma piernik do wiatraka?... Do diaska, pan to umie zbić człowieka z pantalyku! O czym u licha pan mówi?

Oskarżycielski palec Cárcelesa celował w trzeci guzik kamizelki rozmówcy.

– O panu szanownym. Dopiero co oświadczyłeś pan, że każdy patriota jest monarchistą, tak czy nie?

– Owszem.

Cárceles wybuchnął sarkastycznym śmiechem niby oskarżyciel publiczny, który zaraz pośle skazanego złoczyńcę na haniebnny stryczek.

– Czyżbym ja był monarchistą? Panowie, czyżbym ja był monarchistą?

Wszyscy obecni, z Jaimem Astarloą włącznie, zapewnili go, że bynajmniej. Cárceles zwrócił się znów do don Lucasa. Triumfował.

– No i masz pan!

– Co niby mam?

– Nie jestem monarchistą, a przecież jestem patriotą. Obraził mnie pan i żądam satysfakcji.

– Pan nie jest żadnym patriotą, don Agapito!

– Co takiego...?

W tym momencie zwyczajowa interwencja pozostałych uczestników spotkania stała się niezbędna, inaczej Cárceles i don Lucas wzięliby się za łby. Gdy nastrój nieco się uspokoił, przy stoliku powróciły gdybania o rozwoju wydarzeń po ewentualnej abdykacji Izabeli II.

– Może księżę de Montpensier – zauważył półgłosem Antonio Carreño. – Ale podobno Napoleon III założył wobec niego *weto*.

– Nie wykluczałbym – rzekł don Lucas, poprawiając sobie monokl, który wypadł mu w trakcie niedawnego starcia – że abdykuje na rzecz infanta don Alfonsa...

Tu Cárceles znowu podskoczył jak oparzony.

– Ten milusiński? Próżne nadzieje, drogi Rioseco. Burboni precz. Skończyło się. *Sic transit gloria* Burbonów, inne sentencje pozwolę sobie przemilczeć. Już dosyć Hiszpania się nacierpiała pod rządami dziadunia i mamuni. O ojcu nie wypowiadam się, bo nie mam co do niego pewności.

Antonio Carreño postanowił wtrącić się jako neutralny ekspert, co dawało mu pewność, że znajdzie się poza ostrzałem którejkolwiek strony:

– Nie zaprzeczy pan, don Lucasie, że czara cierpliwości Hiszpanów już się przelala. Powody co poniektórych kryzysów pałacowych autorstwa naszej Izabelci zawstydzilyby najbardziej wyrozumiałych.

– To oszczerstwa!

– Oszczerstwa czy nie, my w loży uważamy, że przekroczone zostały dopuszczalne granice...

Don Lucas aż się zaczerwienił, uniesiony monarchistycznym gniewem. Bronił w tej chwili ostatnich okopów pod szyderczym spojrzeniem Cárcelesa. Szukając rozpaczliwie wsparcia, zwrócił się do Jaimego Astarloi.

– Słyszysz ich pan, don Jaime?... Na Boga, odezwijże się pan. Jest pan człkiem roztroprnym.

Wywołany do odpowiedzi wzruszył ramionami, mieszając kawę łyżeczką.

– Ja się zajmuję szermierką, don Lucasie.

– Szermierką? A kto myśli o szermierce, kiedy monarchia w niebezpieczeństwie?

Nad osaczonym Rioseco zlitował się nauczyciel muzyki, Marcelino Romero. Przestał na chwilę przeżuwać swoją grzankę i niewinnie przyznał, że królowa – nikt temu nie zaprzeczy – jest przywiązana do tradycji i otoczona dużą sympatią. W odpowiedzi rozległ się sardoniczny śmiech Carreña, Cárceles zaś naskoczył na pianistę podniesionym z oburzenia głosem.

– Drogi panie, nie rządzi się królestwem za pomocą tradycji! Do tego potrzeba patrioty – tu zerknął z ukosa na don Lucasa – i to z honorem.

– Z honorem i mulecą – dodał żartobliwie Carreño.

Don Lucas zastukał laską w podłogę. Nie mógł znieść dłużej tych zuchwalstw.

– Jakże łatwo potępiać! – wykrzyknął kiwając ze smutkiem głową. – Jakże łatwo porąbać na opał drzewo, które się chwieje! I to w dodatku pan, don Agapito, pan, który był księdzem...

– Hola, panie! – przerwał mu dziennikarz. – Bądź pan łaskaw mówić to w czasie zaprzestłym!

– Tak było, tak było, chociaż to pana uwiera – nie ustępował don Lucas, zadowolony, że wreszcie trafił swojego kolegę w czuły punkt.

Cárceles położył dłoń na piersi i przywołał niebo nad sobą na świadka.

– Pogardzam sutanną, którą nosilem w czasach młodzięczego zaślepienia, tym czarnym symbolem obskurantyzmu!

Antonio Carreño z powagą skinął głową, składając niemy hołd temu retorycznemu popisowi. Don Lucas obstawał przy swoim.

– Był pan księdzem, don Agapito, zatem powinien pan wiedzieć lepiej niż ktokolwiek: miłosierdzie to najwyższa cnota chrześcijańska. Należy okazać szlachetne miłosierdzie, kiedy mówi się o wielkiej postaci, jaką jest miłościwie nam panująca.

– Panująca wyłącznie panu, don Lucasie.

– Nazywaj ją pan, jak chcesz.

– Żebyś pan wiedział, że nazwę: kapryśna, chwiejna, przesadna, niewykształcona. Reszty cnót wstydę się wymienić.

– Nie mam zamiaru znosić pańskich impertynencji.

Uczestnicy spotkania znów musieli wezwać oponentów do zachowania spokoju. Ani don Lucas, ani don Agapito nie byliby w stanie muchy zabić, wszystko to stanowiło cześć obowiązkowego rytuału, powtarzającego się każdego popołudnia.

– Powinniśmy zdać sobie sprawę – don Lucas podkreślał węża, starając się nie zauważać chytrego spojrzenia, jakim mierzył go Cárceles – z nieszczęścia, jakim okazał się ślub naszej monarchini, wbrew wszelkiej estetyce, z don Franciskiem de Asís... Waśnie małżeńskie, które stały się tajemnicą poliszynela, ułatwiły poczynania kamarylom dworskim i pozbawionym skrupułów politykom, faworytom i darmozjadom. To oni, a nie nasza biedna pani, odpowiadają za obecną, niewesołą sytuację.

Cárceles nie mógł się dłużej powstrzymać.

– Powiedz pan to patriotom więzionym w Afryce, deportowanym na Wyspy Kanaryjskie i na Filipiny, emigrantom tulającym się po całej Europie! – uniesiony rewolucyjnym szałem dziennikarz miał w dłoniach „La Nueva Iberia”. – Przy obecnym rządzie Jej Bogobojnej Mości poprzednie wychodzą na aniołki, co tu dużo gadać. Nie widzisz pan, co się wokół dzieje?... Nawet wielkie szczy i polityków, bez kropli krwi demokratycznej w żyłach, wygnano tylko dlatego, że wydali się podejrzani albo że współdziałali z niesławnym Gonzalezem Bravo. Policz pan, don Lucasie. Policz pan sam: od Prima po Olozagę, przez Cristino Martosa i całą resztę. Już nawet Unia Liberalna, jak czytaliśmy, knuje przeciw władzy, a stary O'Donnell wacha kwiatki od spodu.

Izabela może teraz liczyć na poparcie tylko ze strony skłóconych i słabych moderantystów, którzy ciosają sobie kolki na głowie, bo władza wymyka im się z rąk, i już sami nie wiedzą, któremu świętemu się polecić... Pańska monarchia robi bokami, don Lucasie. Robi bokami... i w portki.

– Po prawdzie to Prim jest tuż–tuż – szepnął Antonio Carreño konfidencjonalnie, usiłując być oryginalnym, zasłużył sobie jednak tylko na docinki pozostałych. Cárceles zmienił natychmiast cel swoich nieublaganych ataków.

– Prim, jak to dopiero co raczył zauważyć nasz przyjaciel don Lucas, jest wojskowym. *Miles* mniej lub bardziej *gloriosus*, ale jednak *miles*. Nie mam do niego za grosz zaufania.

– Hrabia de Reus jest liberałem – zaproponował Carreño.

Cárceles walnął pięścią w stół, o mało nie rozlewając przy tym kawy z filiżanek.

– Liberałem? Śmiechu warte, don Antonio! Prim liberałem!... Każdy szczerzy patriota, w tym niżej podpisany, z zasady nie ufa temu, co sobie roją w głowach wojskowi. A Prim nie jest tu wcale wyjątkiem. Zapomnieliście panowie o jego reżimowej przeszłości? O jego ambicjach politycznych?... Okoliczności zmusiły go do spiskowania w londyńskiej mgłę, ale w gruncie rzeczy generałowie, żeby dobrze rozegrać partię, muszą mieć króla w odwodzie, bo sami są najwyżej waletami... Zastanówmy się, panowie. Ile mieliśmy w tym stuleciu zamachów stanu? A ile z nich służyło proklamowaniu republiki?... Wszystko jasne. Nikt z dobrego serca nie podaruje ludowi tego, czego tylko lud ma prawo się domagać i co ma prawo wywalczyć. Panowie, Prim napawa mnie niepokojem. Jestem przekonany, że kiedy się tu zjawi, wyciągnie króla z rękawa. Wspomnijmy słowa wielkiego Wergilego: *Timeo Danaos et doña ferentes*<sup>3</sup>.

Od strony ulicy Montera słychać było zgiełk. Stłoczeni za szybą witryny przechodnie pokazywali sobie coś w okolicy Puerta del Sol.

– Co się dzieje? – zapytał gorączkowo Cárceles, zapomniawszy o Primie. Carreño zbliżył się do drzwi. Kot spał w kącie, wypadki polityczne zupełnie go nie wzruszały.

– Chyba mamy ruchawkę, panowie! – zawiadomił resztę Carreño. – Trzeba rzucić okiem!

Uczestnicy spotkania wyszli na zewnątrz. Na placu Puerta del Sol gromadziły się grupki ciekawskich. Dawał się zauważyć spory ruch powozów, żandarmi nakłaniali gapiów, żeby zajęli się swoimi sprawami. Kilka kobiet szło ulicą, dysząc z wysiłku. Niektóre rzucały wystraszone spojrzenia przez ramię. Jaime Astarloa podszedł do jednego z żandarmów.

---

<sup>3</sup> „ja Danaów boję się, nawet kiedy niosą dary” – Wergiliusz, *Eneida*, przeł. Zygmunt Kubiak.

– Czy zdarzyło się jakieś nieszczęście?

Stróż prawa wzruszył ramionami. Najwyraźniej wydarzenia przekraczały jego zdolność pojmowania.

– Dobrze nie widziałem, szanowny panie – odparł z zakłopotaniem i sięgnął palcami do daszka na widok szlachetnie wyglądającego jegomościa. – Chyba zaarrestowano z pół tuzina generalów... Podobno zabierają ich do więzienia wojskowego San Francisco.

Don Jaime przekazał te wieści kolegom, którzy przyjęli je z okrzykami niepewnego zdumienia. Triumfujący głos niezmordowanego Agapita Cárcelesa rozbrzmiewał niemal na całej ulicy.

– Panowie, wróble o tym ćwierkały! Znaki zwiastowały!... To ostatnie podrygi ślepego aparatu represji!

Stała przed nim piękna i zagadkowa, trzymała floret w dłoni i uważnie śledziła ruchy mistrza.

– To bardzo proste, proszę spojrzeć – Jaime Astarloa uniósł broń i przytknął głownię do jej floretu tak delikatnie, jakby chodziło o metaliczną pieszczotę. – Pchnięcie za dwieście eskudów zaczynamy od manewru zwanego akcją pozorowaną, natarcia ze zwodem, które odsłania nas w czwartej, zachęcając przeciwnika do uderzenia... O, właśnie. Proszę mi odpowiedzieć w czwartej. Doskonale. Ja paruję kontra–trzecią, widzi pani?... Robię wyzwolenie i nacieram, wciąż odsłonięty, co ma panią nakłonić do kontra–trzeciej i natychmiastowego pchnięcia w czwartą... Znakomicie. Jak pani widzi, na razie nie ma w tym żadnej tajemnicy.

Adela de Otero zatrzymała się pogrążona w myślach. Nie spuszczała oczu z floretu fechtmistrza.

– Czy to nie ryzykowne dwukrotnie odsłonić się przed przeciwnikiem?

Don Jaime pokręcił głową.

– Skądże znowu, droga pani. O ile opanowało się przeciw–trzecią, tak jak pani... Oczywiście moje pchnięcie zawiera w sobie pewien element ryzyka, ale tylko dla kogoś, kto nie jest zbyt zaawansowany w naszej sztuce, kto jej nie opanuje doskonale. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się uczyć mojego pchnięcia początkujących szermierzy, bo wiem, że stosując je, wystawiliby się na pewną śmierć... Rozumie teraz pani moją wstępną niechęć, kiedy prosiła mnie pani o tę przysługę?

Dziewczyna posłała mu ujmujący uśmiech.

– Proszę mi wybaczyć, mistrzu. Skąd mógł pan wiedzieć...

– Właśnie. Skąd mogłem wiedzieć... Nawet teraz jeszcze nie potrafię sobie wytłumaczyć,

jak pani... – urwał na moment, patrząc na nią zadumany. – No, dobrze, koniec pogawędek. Idziemy dalej?

– Proszę bardzo.

– Dobrze – mówiąc unikał wzrokiem jej oczu. – Skoro tylko przeciwnik uderzy drugi raz, dokładnie w chwili, gdy głownie się zetkną, musimy odpowiedzieć kontra–zasłoną, o, nacierając natychmiast w czwartą od strony zewnętrznej... Widzi pani? Nic dziwnego, że przeciwnik odpowie zasłoną odbijającą, zginając rękę w łokciu i unosząc floret do pozycji niemal pionowej, żeby odbić uderzenie. O, tak.

Jaime Astarloa znowu się zatrzymał, oparłszy koniec swojej broni o prawie ramię Adeli de Otero. Czuł, jak puls mu się rwie od kontaktu z jej ciałem, którego ciepło zdawało się dochodzić do niego wzdłuż głowni aż do palców, jakby floret był naturalnym przedłużeniem jego ręki... „*Sentiment du fer*” – pomyślał, gdy przeszedł go niewidoczny dreszcz. Dziewczyna spojrzała z ukosa na puntę floretu i blizna koło ust zamajaczyła delikatnym uśmiechem. Zawstydzony fechtmistrz uniósł żelazo o cal. Miał wrażenie, że przejrzała jego uczucia na wylot.

– Dobrze. I oto nadchodzi rozstrzygająca chwila – ciągnął, usiłując odzyskać utracony przed sekundą wątek. – Zamiast wykonać pchnięcie pełnym ruchem, kiedy przeciwnik zacznie już swój manewr, należy zawahać się na mgnienie, jakbyśmy robili zwód, przymierzając się do innego pchnięcia... Wykonam to powoli, żeby mogła się pani dobrze przyjrzeć: o, tak. Robimy to, jak pani widzi, w taki sposób, żeby rywal nie zdołał zupełnie sparować, żeby przerwał obronę w połowie i gotował się do parowania ciosu, który przewiduje.

Oczy Adeli de Otero rozbłysły radośnie. Zrozumiała.

– I tu właśnie przeciwnik popełnia błąd! – krzyknęła uradowana własnym odkryciem.

Mistrz skinął głową z porozumiewawczym uśmiechem.

– Otóż to. Tu się pojawia błąd, który zapewni nam zwycięstwo. Niech się pani przyjrzy: podczas owego krótkiego wahania kontynuujemy ruch, skracając dystans, o, w taki sposób, zapobiegamy więc, żeby on się cofnął, zostawiamy mu bardzo mało miejsca na działanie. W tym punkcie skręcamy dłoń o ćwierć obrotu, o, aby ostrze floretu uniosło się zaledwie o parę cali. Widzi pani, jakie to proste? Jeżeli wykonamy ten ruch właściwie, z łatwością dosięgniemy przeciwnika u podstawy szyi, tuż koło prawego obojczyka... Czyli, mówiąc dobitniej, w środek gardła.

Punta floretu musnęła szyję dziewczyny. Ta roziskrzonymi z podniecenia oczami wpatrywała się w fechtmistrza, usta miała półprzymknięte. Jaime Astarloa przyjrzał się jej uważnie: płatki nosa rozwarła szeroko, pod bluzką jej piersi falowały nieprzytomnie. Dosłownie promieniała, jak mała dziewczynka, która dopiero co rozpakowała cudowny prezent.

– Mistrzu, to wyśmienita rzecz i taka niewiarygodnie prosta – szepnęła obejmując go wzrokiem pełnym czulej wdzięczności. – Niewiarygodnie prosta! – powtórzyła, w

zamyśleniu, spojrzawszy teraz na floret, który sama dzierżyła w dłoni. Miał wrażenie, że poraziła ją nowo poznana śmiercionośna właściwość głowni.

– Tu może znajduje się sedno sprawy – dodał fechtmistrz. – W szermierce najprostsze ruchy wynikają z natchnienia. Sama technika jest za to złożona.

Uśmiechnęła się z wyrazem szczęścia na twarzy.

– Posiadłam sekret pchnięcia, które nie figuruje w traktatach o szermierce – mruknęła z niejaką rozkoszą. – Ile osób go zna?

Don Jaime zrobił niewyraźną minę.

– Nie wiem. Dziesięć, może dwanaście... Może trochę więcej. Z tym, że niektórzy mogą go udostępnić kolejnym szermierzom i po jakimś czasie pchnięcie straci swą skuteczność. Jak pani widzi, bardzo łatwo je sparować, kiedy się je zna.

– Zabił pan kogoś w ten sposób?

Fechtistrz popatrzył na nią zaskoczony. Damie nie wypadło zadawać podobnych pytań.

– Droga pani, nie sądzę, żeby ta kwestia miała tu znaczenie... Z całym szacunkiem, nie sądzę, żeby ta kwestia miała jakiegokolwiek znaczenie – urwał, widząc w pamięci odległy obraz nieszczęśnika broczącego na łące, któremu nikt nie potrafił zatamować krwi chlustającej z przekłutego gardła. – A nawet gdyby tak było, nie widzę w tym niczego, co mogłoby mnie napawać jakąś szczególną dumą.

Adela de Otero uśmiechnęła się kpiąco, jakby nie do końca się z nim zgadzała, i Jaimemu Astarloi przyszło do głowy niepokojące spostrzeżenie, że w jej fioletowych oczach czai się jakiś okrutny płomyk.

Luis de Ayala pierwszy zaczął temat. Dobiegły go plotki.

– Niesłychane, don Jaime! Kobieta! Mówi pan, że dobra szermierka?

– Znakomita. Sam byłem zaskoczony.

Najwyraźniej zaciekawiony markiz pochylił się.

– Piękna?

Jaime Astarloa starał się zabrzmieć obojętnie.

– Bardzo.

– Bies z pana, mistrzu! – Luis de Ayala pogroził mu palcem, mrugając jednocześnie



porozumiewawczo. – Gdzież to pan znalazł taki klejnot?

Don Jaime nieśmiało zaprotestował. Co za absurd sądzić, że on, w tym wieku, i tak dalej. Związki wyłącznie zawodowe. Ekscelencja zdaje sobie sprawę.

Luis de Ayala zdał sobie sprawę błyskawicznie.

– Don Jaime, muszę ją poznać.

Fechtmistrz udzielił na to wymijającej odpowiedzi. Nie skakał do góry z radości na myśl, że markiz de los Alumbres pozna Adelę de Otero.

– Naturalnie, ekscelencjo. Któregoś z najbliższych dni. Nie widzę problemu.

Luis de Ayala wziął go pod ramię. Spacerowali pod gęstymi wierzbami rosnącymi w ogrodzie. Upał docierał tu nawet w miejsca ocienione, dlatego markiz miał na sobie tylko cienkie spodnie z kaszmiru i koszulę z angielskiego jedwabiu, w której mankietach błyszcząły złote, grawerowane spinki.

– Zameżna?

– Nie mam pojęcia.

– Nie zna pan jej adresu?

– Byłem tam raz, ale widziałem tylko ją i jej służącą.

– Czyli że mieszka sama!

– Takie też miałem wrażenie, ale pewny być nie mogę – don Jaime zaczynał czuć się nieswojo pod gradem tych pytań i usiłował wywikłać się z tej sytuacji, starając się jednocześnie nie urazić swojego klienta i protektora. – W gruncie rzeczy doña Adela niewiele opowiada o sobie. Już mówiłem panu, ekscelencjo, że nasze stosunki mają charakter wyłącznie profesjonalny: jak nauczyciel z klientką, tak więc proszę mnie już nie nagabywać.

Zatrzymali się koło jednej z wielu kamiennych fontann, wyobrażającej pyzatego aniołka lejącego wodę z dzbana. Spod nóg zerwało im się stadko wróbli. Luis de Ayala obserwował ich lot do chwili, gdy znikły wśród gałęzi pobliskiego drzewa, po czym zwrócił się ponownie ku swemu rozmówcy. Byli swoimi przeciwieństwami: krzepki i witalny markiz naprzeciwko łykowatego, poważnego fechtmistrza. Na pierwszy rzut oka każdy orzekłby, że to Jaime Astarloa jest arystokratą.

– Nigdy zatem nie jest za późno, by zrewidować zasady, które dotąd uważaliśmy za nienaruszalne... – rzucił markiz de los Alumbres, mrugając okiem złośliwie. Don Jaime wzdrygnął się, wyraźnie dotknięty.

– Upraszam pana, ekscelencjo, żebyśmy zostawili ten temat – odezwał się nieco oschle. – Nigdy w życiu nie przyjąłbym tej młodej damy do nauki, gdybym nie dostrzegł w niej

niewątpliwego talentu szermierczego. Co do tego może być pan zupełnie spokojny.

Luis de Ayala westchnął chytrze.

– Postęp, don Jaime. Zaczarowane słowo! Nowe czasy, nowe obyczaje dopadły nas wszystkich. Pana też to nie ominie.

– Z góry najmocniej pana przepraszam, don Luisie, ale myli się pan obrót, jaki przybrała rozmowa, coraz bardziej krępował nauczyciela. – Proszę bardzo, może pan tę historię odczytać tak, że oto profesor szermierki ma na starość kaprys. A więc w grę wchodzi wymiar... estetyczny. Ale taki sąd od twierdzenia, jakobyśmy otwierali wrota postępowi oraz nowym obyczajom, dzieli prawdziwa otchłań. Za stary już jestem, żeby poważnie rozważać jakieś gruntowne zmiany w moim sposobie myślenia. Zapomniałem już o wybrykach młodości, nie przywiązuję też dużej wagi do czegoś, co według mnie ma charakter czysto techniczny.

Wobec tej manifestacji umiaru Jaimego Astarloi markiz de los Alumbres rozpromienił się uśmiechem.

– Ma pan rację, mistrzu. To ja winien jestem panu przeprosiny. Zresztą pan nigdy nie należał do zwolenników postępu...

– Nigdy. Przez całe życie staram się jedynie nie zepsuć własnego wizerunku, ot co. Należy zachować cnoty, którym czas nie zaszkodzi. Cała reszta zaś to chwilowe mody, ulotne, niepewne sytuacje, jednym słowem: błahostki.

Markiz spojrział na niego z uwagą. Lekki ton rozmowy gdzieś się zapodział.

– Don Jaime, pańskie królestwo nie jest z tego świata. Mówię to panu z najwyższym szacunkiem, jaki pan we mnie wzbudza... Już od pewnego czasu mam zaszczyt obcować z panem, a przecież wciąż mnie pan zaskakuje tą swoją obsesją na punkcie poczucia obowiązku. Obowiązku, który nie jest natury dogmatycznej ani religijnej, ani też moralnej... W naszych czasach, kiedy wszystko można kupić za pieniądze, niezwykle jest to, że poczuwa się pan do obowiązku wobec samego siebie, że narzucił go pan sobie z własnej woli. Czy pan wie, co to dzisiaj oznacza?

Na twarzy Jaimego Astarloi pojawił się grymas zaszewienia. Obecny tor rozmowy wprawiał go w jeszcze większe zakłopotanie niż poprzedni.

– Nie wiem ani też mnie to nie ciekawi, ekscelencjo.

– I to jest w panu naprawdę niebywale, mistrzu. Nie wie pan i pana to nie ciekawi. Wie pan co? Czasami zapytuję sam siebie, czy w tej naszej nieszczęsnej Hiszpanii nie doszło do jakiejś pożałowania godnej zamiany ról, czy szlachectwo nie należy się panu bardziej, niż wielu ludziom mojego stanu, mnie nie wyłączając.

– Za pozwoleniem, don Luisie...

– Proszę dać mi skończyć, na litość boską. Proszę dać mi skończyć... Mój dziadek, świeć,

Panie, nad jego duszą, kupił tytuł, bo wzbogacił się na handlu z Anglią podczas wojny z Napoleonem. Wszyscy to wiedzą. Ale źródłem prawdziwego, dawnego szlachectwa był nie przemysł angielskiego sukna, lecz wartość, jaką się człowiek wykazywał ze szpadą w dłoni. Mam rację czy nie?... A nie wzmówi mi pan, mistrzu, że pan ze szpadą w dłoni wart jest mniej niż ta cała reszta. Niż ja.

Jaime Astarloa uniósł głowę i wbił szary wzrok w oczy markiza.

– Ze szpadą w dłoni, don Luisie, jestem wart tyle, co najlepsi.

Lekki, ciepły podmuch poruszył gałązkami wierzby. Markiz uciekł oczami ku aniołkowi z kamienia i cmoknął, jakby uznał, że się zagalopował.

– W każdym razie źle pan robi, don Jaime, że tak się pan izoluje. Proszę przyjąć tę opinię oddanego przyjaciela... Z cnoty nie da się wyżyć, zapewniam pana. Nie sposób też z nią użyć. Na Belzebuba, niech się pan nie boi, nie mam zamiaru prawić panu kazań w tym wieku... Chcę tylko przekonać pana, że to pyszna rzecz unieść nieco głowę podczas przechadzki ulicą i zobaczyć, co się dzieje wokół. A już zwłaszcza w tak historycznej chwili jak obecna... Obiło się panu o uszy najnowsze?

– Najnowsze co?

– Najnowsze sprzysiężenie.

– Nie czuję się zbyt mocny w tej materii. Ma pan na myśli zatrzymanych generałów?

– Gdzie tam! To już stara sprawa. Mówię o właśnie ujawnionym porozumieniu między progresistami a Unią Liberalną. Zrezygnowawszy ostatecznie ze statusu legalnej opozycji, na co się zresztą zanosilo, postanowili poprzeć przewrót wojskowy. Program: obalić królową i przekazać tron księciu de Montpensier, który wpłacił na rzecz całego przedsięwzięcia okrągłą sumkę trzech milionów reali. Na wieść o tym zboliała Izabelcia postanowiła wygnąć z kraju swoją siostrę i szwagra, podobno do Portugalii. Natomiast Serrano, Dulce, Zabala i inni zostali deportowani na Wyspy Kanaryjskie. Zwolennicy Montpensiera urabiają teraz Prima. Ciekawe, czy uda im się zjednać mu błogosławieństwo kandydata do tronu. Ponoć jednak nasz dzielny Katalończyk, hrabia de Reus, trzyma wszystkich krótko. Tak się sprawy mają.

– To ci heca!

– Jakżeby nie. Dlatego tak pasjonująca jest obserwacja wydarzeń z barykady, wiem coś o tym. Co będę panu mówił!... Trzeba skosztować wszystkiego, szczególnie polityki i kobiet, i pilnować, żeby nie narazić się żadnej ze stron. Taką mam filozofię, nie będę ukrywał przed panem. Kocham życie i wszelkie niespodzianki, jakie mi zaoferuje. A potem niech się dzieje, co chce. Wciskam się w kapelusz i płaszcz i ganiam po sklepikach przy gościńcu San Isidro z tą samą naukową ciekawością, z jaką przez trzy miesiące pełniłem szczęśliwie urząd sekretarza w rządzie, ofiarowany mi przez świętej pamięci wuja Joaquina... Trzeba żyć, don Jaime. A mówi to panu znawca życia, który wczoraj zostawił piętnaście tysięcy na stoliku w kasynie, i to z pogardliwym uśmiechem na ustach, nic dodać, nic ująć. Pojmuje mnie pan?

Fechtmistrz uśmiechnął się wyrozumiale.

– Być może.

– Nie widzę, żebym pana przekonał.

– Zna mnie pan wystarczająco, ekscelencjo, by wiedzieć, co sędzę o tym.

– Wiem, co pan sądzi. Pan się wszędzie czuje nie u siebie. Gdyby Jezus Chrystus powiedział do pana: „Porzuć wszystko i idź za Mną”, zrobiłby pan to z łatwością. Żadnej rzeczy nie szanuje pan na tyle, by żałować jej straty.

– No, może paru floretów. Proszę mi zostawić chociaż tyle.

– Niech będzie, że florety. O ile, oczywiście, okazałby się pan zwolennikiem Jezusa bądź kogokolwiek innego. Byłyby to może podejrzenia nieuzasadnione – markiza zdawało się bawić to przypuszczenie. – Nigdy nie pytałem pana, don Jaime, czy jest pan monarchistą. Mam tu na myśli pewną abstrakcję monarchii, a nie naszą ponurą farsę.

– Dopiero co mówił pan, don Luisie, że moje królestwo nie jest z tego świata.

– Ale z tamtego też nie, nie mam żadnych wątpliwości. Prawdę mówiąc, szczerze podziwiam pańską zdolność do życia na uboczu.

Fechtmistrz podniósł głowę i długo patrzył na płynące w oddali chmury, jakby rozpoznawał w nich znajome kształty.

– Możliwe, że jestem nadmiernym egoistą – powiedział. – Starym egoistą.

Arystokrata skrzywił się.

– Często płaci się za to, przyjacielu. I to wysoką cenę.

Jaime Astarloa zrezygnowany uniósł dłonie.

– Do wszystkiego można przywyknąć, szczególnie gdy nie ma się wyboru. Skoro trzeba płacić, to się płaci. Jest to wyłącznie kwestia nastawienia. W pewnym momencie życia człowiek przyjmuje określoną postawę, może błędną, ale przecież ją przyjmuje. Postanawia być taki czy inny. Pali za sobą mosty i nagle okazuje się, że musi wytrzymać za wszelką cenę. Klamka zapadła.

– Choćby było wyraźnie widać, że to pomyłka?

– Szczególnie wtedy. To kwestia estetyczna.

Idealne zęby markiza rozbłysły w szerokim uśmiechu.

– Estetyka pomyłki. Co za temat akademicki!... Byłoby o czym podyskutować.

– Nie zgodzę się. Uważam, że nie ma tematu, na który warto by dłużej dyskutować.

– Wyjąwszy szermierkę.

– Wyjąwszy, oczywiście, szermierkę – Jaime Astarloa zamilkł, uznawszy może rozmowę za zakończoną. Po chwili jednak pokręcił głową i zacisnął usta. – Przyjemność można odnaleźć nie tylko na ulicy, jak ekscelencja raczył zauważyć, ale także w byciu wiernym własnym nawykowi. A zwłaszcza, gdy cały porządek wokół zaczyna się walić.

Markiz poszukał ratunku w ironii.

– Zdaje się, że Cervantes coś o tym napisał. Z tą różnicą, że jest pan szlachcicem, który nie musi wyruszać na dalekie szlaki, ponieważ swoje wiatraki nosi pan w sobie.

– A na pewno szlachcicem zamkniętym w sobie i egoistą, proszę o tym nie zapominać, ekscelencjo. Nasz przodek z Manczy chciał pokonać niesprawiedliwość, mnie zaś zależy tylko na tym, by zostawiono mnie w spokoju – don Jaime zadumał się na chwilę nad swoimi odczuciami.

– Nie mam pojęcia, jak to się ma do prawości, ale zapewniam pana, że istotnie pragnę być człowiekiem prawym. Sprawiedliwym. Prawdomównym. To wszystko słowa pochodne od „prawa” – dodał prostodusznie. Nie sposób było doszukiwać się pychy w jego głosie.

– Nietypowa obsesja, mistrzu – odrzekł markiz z nieklamany podziwem. – Szczególnie w dzisiejszych czasach. Dlaczego akurat to słowo, a nie jakiegokolwiek inne? Mogę zaproponować cały tuzin rozwiązań: pieniądze, władza, ambicja, nienawiść, namiętność...

– Przypuszczalnie dlatego, że w swoim czasie zdecydowałem się na to, a nie inne. Może przez przypadek, może spodobało mi się jego brzmienie. A może wreszcie w jakiś sposób kojarzyło mi się z ojcem, którego śmierć zawsze napawała mnie dumą. Dobra śmierć jest w stanie usprawiedliwić wszystko. Wręcz każde życie.

– Ta koncepcja przemiany – Ayala aż uśmiechał się z radości, że tak wspaniale rozwija się rozmowa z fechtmistrzem – niebezpiecznie zalatuje katolicyzmem. Wie pan, dobra śmierć jako wrota do zbawienia wiecznego.

– Jeżeli spodziewamy się zbawienia czy czegoś w tym rodzaju, cała sprawa traci sens... Mnie chodzi raczej o ostatnią walkę na progu wiecznej ciemności, bez żadnych świadków oprócz samego siebie.

– Zapomina pan o Bogu.

– On mnie nie interesuje. Bóg toleruje rzeczy, których nie sposób tolerować. Jest nieodpowiedzialny i niekonsekwentny. Nie jest dżentelmenem.

Markiz popatrzył na don Jaimego ze szczerym szacunkiem.

– Zawsze utrzymywałem, mistrzu – odezwał się po chwili milczenia – że Natura jest tak doskonała, by z ludzi świątłych zrobić cyników, dzięki czemu uda im się przeżyć... Pan tymczasem jest jedynym znanym mi wyjątkiem, zaprzeczającym mojej teorii. I chyba właśnie to cenię w panu najwyżej, wyżej nawet niż pański talent szermierczy. Pan mi udowadnia, że nadal żywe są wartości, które podobno pogrzebano w książkach. W pewnym sensie jest pan moim uśpionym sumieniem.

Umilkli obydwoj, wsłuchując się w szmer fontanny. Słabe poddmuchy znów zaczęły chwiać gałęziami wierzb. Nagle fechtmistrz pomyślał o Adeli de Otero, spojrział z ukosa na Luisa de Ayala i poczuł, jak w nim samym szorstko odzywają się wyrzuty sumienia.

Z dala od zawirowań politycznych, wstrząsających dworem tego lata, Jaime Astarloa rzetelnie wypełniał swoje powinności wobec klientów, obejmujące także trzy godziny tygodniowo z Adela de Otero. Ich spotkania, pozbawione wszelkich dwuznaczności, miały czysto profesjonalny charakter. Poza pojedynkami, podczas których dziewczyna nadal wykazywała się znaczną zręcznością, rzadko mieli okazję porozmawiać choćby krótko na błahe tematy. Nie wrócił już nieco intymny nastrój, jaki zapamiętał z tego popołudnia, gdy drugi raz przysłała do jego galerii. W zasadzie Adela de Otero ograniczała się teraz do stawiania don Jaimemu rozmaitych pytań dotyczących zagadnień szermierczych, na które on odpowiadał z największą przyjemnością i wręcz z pewną ulgą. Sam z pozorną łatwością powstrzymywał swoją ciekawość w odniesieniu do szczegółów prywatnego życia klientki. Nawet jeśli raz czy drugi napomknął coś o tym, ona albo udawała, że nie słyszy, albo udzielała zręcznych, wymijających odpowiedzi. Zdołał raptem wywnioskować, że mieszkała sama, że nie ma bliskich krewnych i że z sobie tylko wiadomych powodów woli pozostawać na marginesie życia publicznego, na jakie jest chwilowo skazana w Madrycie. Na pewno posiada sporą fortunę, choć w domu przy ulicy Riaño nie zajmuje głównej rezydencji, a tylko mieszkanie na piętrze. Bez wątpienia też spędziła sporo lat za granicą, najprawdopodobniej we Włoszech, o czym wnosił z kilku szczegółów i wyrażen, na jakich przyłapał ją podczas rozmów. Skądinąd nie potrafił rozstrzygnąć, czy jest panną, czy wdową, choć sądząc z jej stylu bycia skłaniał się ku tej drugiej ewentualności. Śmiałość i sceptycyzm, z jakimi Adela de Otero formułowała opinie o rodzie męskim, pasowały raczej do osoby mającej doświadczenia małżeńskie. Było jasne, że ta kobieta w swoim życiu kochała i cierpiała. Z wyżyn swojego wieku Jaime Astarloa umiał ocenić, że tak niezłomne sądy rodzą się, nawet u młodego człowieka, tylko po przezwycięzeniu niezwykle silnych przeżyć osobistych. Współcześni gotowi byliby ją pewnie określić modnym słowem „awanturnica”, słusznie czy też nie – tu don Jaime gubił się w domysłach. Może rzeczywiście była awanturnicą, okazywała bowiem tak ogromną niezależność, że z trudem mógłby zaliczyć ją w poczet kobiet przeciętnych. A przecież coś w głębi duszy mówiło mu, że taki sąd byłby obarczony nadmiernym uproszczeniem.

Pomimo powściągliwości, z jaką Adela de Otero zdradzała szczegóły swojego życia prywatnego, fechtmistrz nie mógł narzekać na sposób, w jaki się do niego odnosiła. Jej młody wiek i osobowość, spotęgowane jeszcze urodą, sprawiały, że Jaime Astarloa z każdym spotkaniem coraz bardziej się ożywiał. Jego klientka traktowała go z szacunkiem nie pozbawionym szczypty kokieterii. Stary mistrz chętnie przystawał na ten rytuał. Z czasem przyłapał się na tym, że nie może się doczekać, kiedy wreszcie zjawi się w jego galerii ze swoim kuferkiem podróżnym pod pachą. Przywykł już, że zawsze drzwi do garderoby zostawia niedomknięte, i gdy tylko odchodziła, szedł tam, by z tkliwością wdychać subtelną woń wody różanej, ostatni ślad jej bytności. I były także

chwile, kiedy ich oczy spoglądały na siebie zbyt długo, kiedy w wyniku gwałtownego ataku floretem ich ciała stykały się ze sobą i tylko dzięki nadludzkiej samodyscyplinie fechtmistrzowi udawało się ukryć pod maską ojcowskiej dworności istny zamęt, jaki powodowała ta kobieta w jego duszy.

Nadszedł w końcu dzień, kiedy w trakcie pojedynku rzuciła się naprzód z taką siłą, że zderzyła się z piersią don Jaimego. Mistrz poczuł w ramionach ciepłe, gibkie ciało kobiece i ostatkiem refleksu chwycił ją w pól, pomagając złapać równowagę. Wyprostowała się natychmiast, ale przez chwilę widział jej osłoniętą metalową siatką twarz tuż przed sobą, poczuł jej oddech i dostrzegł blask oczu, wpatrujących się w niego z napięciem. Gdy chwilę później ponownie przyjął pozycję szermierczą, wciąż był oszolomiony do tego stopnia, że dwukrotnie zdołała trafić go w napierśnik, zanim pomyślał o prawidłowej obronie. Uradowana dwoma udanymi atakami Adela de Otero tańczyła na pomoście, osaczała go szybkimi jak błyskawice pchnięciami, na gorąco improwizowanymi atakami i zwodami. Kipiała wesołością jak dziewczynka pochłonięta bez reszty ulubioną zabawą. Odzyskawszy równowagę, Jaime Astarloa utrzymywał dystans na wyciągnięte ramię, trącąc lekko jej floret, który odpowiadał delikatnym dzwonieniem, i przypatrywał jej się, jak staje na chwilę i skwapliwie bada warianty obrony, szukając jednocześnie luki, przez którą mogłaby szybko i odważnie rzucić się naprzód. Fechtmistrz nigdy nie milował jej bardziej niż w owym momencie.

Później, kiedy już przebrana wyszła z garderoby, coś się w niej zmieniło. Stała niepewnie, była blada. Przesunęła dłonią po czole, upuściła kapelusz i chwiejnie oparła się o ścianę. Zaniepokojony mistrz pospieszył jej natychmiast z pomocą.

– Dobrze się pani czuje?

– Chyba tak – uśmiechnęła się słabo. – To przez ten upał.

Oparła się na jego ramieniu. Głowę miała pochyloną, niemal ocierała się o niego policzkiem.

– Pierwszy raz widzę u pani jakieś oznaki słabości, dono Adelo.

Pobladała twarz dziewczyny rozjaśnił uśmiech.

– Może się pan zatem czuć uprzywilejowany.

Rozkoszując się delikatnym dotykiem jej dłoni na własnym ramieniu, pomógł jej przejść do gabinetu. Tam posadził ją na starej sofie, obitej zniszczoną skórą.

– Przyda się pani coś na wzmocnienie. Może na przykład kieliszek koniaku?

– Proszę się nie kłopotać. Już mi dużo lepiej.

Don Jaime podszedł jednak do szafki w ścianie i wrócił z kieliszkiem w dłoni.

– Bardzo proszę, żeby pani trochę wypila. To poprawia krążenie.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością i umoczyła usta w trunku. Fechtmistrz pootwierał okna, żeby wpuścić więcej powietrza, po czym usiadł naprzeciw niej z zachowaniem należytej odległości. Chwilę trwali tak w milczeniu. Don Jaime ośmielił się patrzeć na nią z większą niż zazwyczaj natarczywością pod pretekstem troski o jej stan. Machinalnie położył rękę na własnym ramieniu w miejscu, gdzie czuł jeszcze dotyk jej dłoni.

– Jeszcze lyczek, proszę. Wydaje mi się, że przynosi to zbawienne skutki.

Skinęła posłusznie głową i spojrzała mu w oczy z uśmiechem pełnym wdzięczności. Ledwie napoczęty kieliszek koniaku oparła sobie na podolku. Na twarz powoli wracały jej kolory. Podbródkiem wskazała przedmioty zgromadzone w pokoju.

– Wie pan, że pański dom – rzekła cicho, trochę konfidencjonalnie – jest do pana podobny? Wszystko tu jest tak pieczołowicie utrzymane, że wprost promienieje wygodą i spokojem. Człowiek ma tutaj wrażenie, że jest z dala od wszelkiego niebezpieczeństwa, jakby czas stanął w miejscu. Te ściany zawierają w sobie...

– Całe życie?

Niemal klasnęła w dłonie szczęśliwa, że utrafił w sedno.

– Całe pańskie życie – dodała uwodzicielsko.

Jaime Astarloa powstał i przeszedł się po pokoju, przyglądając się rzeczom, o których mówiła: staremu dyplomowi Akademii Paryskiej, wyróżnietemu w drewnie herbowi z dewizą *Do mnie*, dwóm zabytkowym pistoletom do pojedynków, zamkniętym w kryształowej urnie, dystynkcjom porucznika Gwardii Królewskiej, umieszczonym w ramach na tle z zielonego aksamitu... Przejechał dłonią po grzbietach książek ustawionych na dębowym regale. Adela de Otero patrzyła na niego z wpółotwartymi ustami, jakby chciała wyłowić najlżejszy szmer przedmiotów otaczających starego mistrza.

– Pan nie chce zapomnieć, i to jest piękne – rzekła po chwili.

Na jego twarzy malowało się bezradne przekonanie, że nikt nie wybiera własnych wspomnień.

– Nie jestem pewien, czy „piękne” to właściwe słowo – powiedział, pokazując ręką przedmioty i książki. – Czasami zdaje mi się, że znajduję się na cmentarzu... Wrażenie jest podobne: wokół symbole i milczenie – zadumał się nad swoimi słowami, po czym uśmiechnął się smutno. – Milczenie wszystkich widm, które człowiek zostawia za sobą. Niczym Eneas z Troi.

– Wiem, o czym pan myśli.

– Pani wie? Może. Chyba tak, zaczynam wierzyć, że pani to wie.

– O cieniach ludzi, którymi mimo wszystko się nie staliśmy... Czy nie o tym?... Śniliśmy, że nimi będziemy, ale nas obudzono – mówiła monotonnym głosem bez modulacji, jakby



recytowała wpojona dawno temu lekcję. – O cieniach tych, których kiedyś nadaremnie kochaliśmy. Tych, którzy nas pokochali, a my zabiliśmy ich nadzieje własną niegodziwością, głupotą lub niewiedzą...

– Tak. Rozumie to pani doskonale.

Blizna w kąciku ust podkreśliła sarkastyczny uśmiech.

– A czemu miałabym nie rozumieć? Sądzi pan, że tylko mężczyzna może zostawiać za plecami płonąca Troję?

Patrzył na nią, nie wiedząc, co powiedzieć. Zamknęła oczy, wsłuchując się w sobie tylko znane odległe głosy. Chwilę później zamrugła powiekami, jakby wyrwano ją ze snu, i ponownie spojrzała na mistrza.

– A jednak nie widzę w panu gorczy, don Jaime. Ani urazy. Chciałabym wiedzieć, skąd czerpie pan siłę, która tak pana chroni, że nie upada pan na kolana i nie błaga o zmiłowanie... Wiecznie sprawia pan wrażenie kogoś obcego, jakby nieobecnego. Można by rzec, że niczym skąpiec gromadzi pan w sobie siły, byleby tylko przeżyć.

Stary mistrz wzruszył ramionami.

– To nie ja – odezwał się cicho, jakby z nieśmiałością. – To prawie sześćdziesiąt lat mojego życia z całym jego dobrym i złym bagażem. Pani natomiast... – zawahał się niepewnie i pochylił głowę.

– Ja natomiast... – fiołkowe oczy patrzyły bez wyrazu, jakby opadła na nie niewidzialna zasłona. Don Jaime pokiwał głową jak niewinne dziecko.

– Pani jest bardzo młoda. Jeszcze wszystko przed panią.

Patrzyła na niego z uwagą. Wreszcie uniosła brwi i zaśmiała się bez śladu wesołości.

– Ja nie istnieję – rzekła lekko schrypniętym głosem.

Spojrzał na nią zaskoczony. Pochyliła się i postawiła na stoliku kieliszek z koniakiem. Fechtmistrz z lubością obserwował silną, piękną szyję i mieniące się jak agat gęste włosy spięte na karku. Ostatnie promienie słońca wpadały przez okna, za którym widać już było czerwieniejące chmury. Na ścianie zamierał odbłask jakiejś szyby.

– Ciekawe – mruknął don Jaime. – Zawsze się chępiłem, że potrafię w odpowiednim czasie poznać bliźniego w trakcie walki na florety. Posługując się samym dotykiem, wcale nie jest tak trudno zgłębić czyjaś duszę. Każdy ujawnia swoją naturę poprzez szermierkę.

Patrzyła na niego nieobecny wzrokiem, jakby rozmyślała o zupełnie czym innym.

– Możliwe – bąknęła odruchowo.

Mistrz sięgnął po pierwszą z brzegu książkę, chwilę ważył ją w dłoni, po czym niedbale odstawił na miejsce.

– Z panią mi się to nie udaje – rzekł. Dziewczyna powoli jakby wracała do siebie, w oczach pojawił się słaby błysk zaciekawienia.

– Mówię poważnie – ciągnął. – U pani, dono Adelo, zdołałem wytropić żywotność i agresję. Porusza się pani miarowo i pewnie. Żwawiej niż przeciętna kobieta, subtelniej niż mężczyzna. Promieniuje pani jakimś magnetyzmem, skumulowaną wewnątrz energią... Czasem odezwie się w pani mroczna, niewytłumaczalna uraza, choć nie wiem przeciwko czemu. Czy może przeciwko komu. Może odpowiedzi na to należy szukać w popiołach Troi, którą zdaje się pani znać tak dobrze.

Adela de Otero chwilę ważyła jego słowa.

– Proszę mówić dalej – poprosiła wreszcie.

Jaime Astarloa zrobił bezradną minę.

– Niewiele więcej mogę wywnioskować – odparł przepraszająco. – Potrafię, jak pani widzi, odgadnąć pewne rzeczy, ale nie umiem dotrzeć do ich źródeł. Jestem starym nauczycielem fechtunku, bez aspiracji filozoficznych czy moralizatorskich.

– Nieźle jak na starego nauczyciela fechtunku – uśmiechnęła się z łagodną ironią. Miał wrażenie, że coś drży urzekająco pod jej matową skórą. Za oknem ciemniało niebo nad Madrytem. Po parapecie cicho i zwinnie stąpał kot, zajrzał do pokoju, gdzie cienie coraz bardziej gęstniały, wreszcie poszedł swoją drogą.

Poruszyła się szeleszcząc lekko suknią.

– W niewłaściwej chwili – rzekła z tajemniczą zadumą. – Niewłaściwego dnia... W niewłaściwym mieście – pochyliła ramiona, uśmiechając się przelotnie. – Szkoda – dodała.

Don Jaime spojrział na nią, nie rozumiejąc. Widząc to dziewczyna rozchyliła nieco usta i zrobiwszy trochę miejsca obok siebie, wdzięcznym ruchem musnęła obicie sofy.

– Mistrzu, proszę usiąść obok mnie – rzekła ze słodyczą w głosie.

Jaime Astarloa grzecznie pokręcił głową i stał dalej przy oknie. Pokój spowijały już gęste, szare cienie.

– Kochał pan kiedyś? – spytała. Jej rysy zaczynały rozplýwać się w półmroku.

– Kilkakrotnie – odparł melancholijnie.

– Kilkakrotnie? – w jej głosie pojawiła się nuta zaskoczenia. – Ach, tak. Nie, mistrzu. Pytam, czy przeżył pan wielką miłość.

Na zachodzie niebo było już zupełnie ciemne. Don Jaime popatrzył na lampę naftową, ale nie ruszył się, by ją zaświecić. Zresztą Adeli de Otero wcale nie przeszkadzał gęstniejący mrok.

– Tak. Kiedyś w Paryżu. Dawno temu.

– Była piękna?

– Tak. Piękna... jak pani. Poza tym Paryż podkreślał jej urodę: Quartier Latin, wytworne sklepy przy Saint-Germain, bale na Chaumiére i Montparnassie...

Ogarnęła go nagle nostalgia przywołana wraz ze wspomnieniami. Znowu spojrzął na lampę naftową.

– Chyba powinniśmy...

– Kto od kogo odszedł, don Jaime?

Uśmiechnął się z bólem, świadom, że Adela de Otero nie może tego zobaczyć.

– Sprawa była bardziej złożona. Po upływie czterech lat kazałem jej wybrać. Posłuchała mnie.

Dziewczyna była teraz nieruchomym cieniem.

– Miała męża?

– Miała. A z pani jest bystra osóbka.

– Co pan potem zrobił?

– Zamknąłem interes i wróciłem do Hiszpanii. Od tego czasu minęło wiele lat.

Na ulicy tyczkami zapalano pierwsze latarnie. Przez otwarte okno zaczęło wpadać słabe światło gazowe. Adela de Otero wstała, przeszła przez mrok i stanęła nieruchomo obok mistrza przy oknie.

– Jest taki poeta angielski – rzekła cicho. – Lord Byron.

Don Jaime czekał w milczeniu. Czuł ciepło bijące z postaci, która niemal dotykała jego ciała. W gardle wprost zaschło mu z obawy, że usłyszy, jak głośnie bije mu serce. Głos Adeli de Otero płynął cichutko jak pieszczota:

*The devil speaks truth much oftener than be's deemed*

*He has an ignorant audience...*

Przysunęła się jeszcze bliżej. Światło uliczne rozświetlało nieco jej podbródek i usta.

*Częściej diabeł prawdę rzecze, niż im się zdaje*

*Lecz go pojąć nie potrafią...*

Zapanowała absolutna cisza, głęboka jak wieczność. I dopiero gdy stała się zupełnie nieznośna, znów odezwał się głos Adeli de Otero.

– Za wszystkim kryje się jakaś opowieść.

Powiedziała to tak cicho, że don Jaime musiał odgadywać jej słowa. Już niemal na własnej skórze wyczuwał zapach wody różanej. Pojął, że zaczyna tracić głowę, i zaczął gorączkowo rozglądać się za jakimś odłamkiem rzeczywistości, którego mógłby się uchwycić. Wreszcie wyciągnął rękę ku lampie naftowej i zapalił zapałkę. Kopcący płomyk dygotał mu w dłoni.

Zaoferował się, że będzie jej towarzyszył aż do ulicy Riaño. To nie pora – mówił nie śmiać spojrzeć jej w oczy – żeby pani sama chodziła teraz po mieście i szukała powozu. Założył surdut, wziął laskę i cylinder i ruszył przodem po schodach. W bramie zatrzymał się i po krótkim wahaniu, które nie sposób było ukryć przed Adelą de Otero, podał jej ramię z całą chłodną galanterią, na jaką go było stać. Dziewczyna wzięła go pod rękę i po drodze co chwila zerknęła na niego z ukosa nieco ironicznie. Don Jaime zbudził drzemiącego na kole woźnicę, a kiedy wsiedli do kolasy, rzucił mu adres. Powóz potoczył się ulicą Arenal aż do pałacu Oriente, gdzie skręcił w prawo. Fechtmistrz siedział w milczeniu, dłonie wsparłszy na główce laski, i bezskutecznie usiłował przepędzić myśli z głowy. Coś, co mogło się wydarzyć, jednak się nie wydarzyło, sam jednak nie wiedział, czy ma sobie gratulować, czy współczuć. Z pewnością natomiast nie chciał pod jakimkolwiek pozorem dowiadywać się, co o tym sądzi Adela de Otero. Jedno tylko nie ulegało dyskusji: tego wieczoru, pod koniec rozmowy, która powinna ich była zbliżyć do siebie, coś między nimi pękło, ostatecznie i na zawsze. Sam nie wiedział, co to było, ale też nie dbał o to. Wystarczyło, że słyszał odgłos opadających wokół niego okruchów. Ona nigdy nie wybaczy mu, że stchórzył. Albo zrezygnował.

Jechali w milczeniu, siedząc po dwóch końcach obitej na czerwono ławy. Kiedy mijali latarnię, do wnętrza wpadało nieco światła, co pozwalało don Jaimemu kącikiem oka wyłowić z ciemności profil jego towarzyszki, pochłoniętej obserwacją cieni na ulicy. Stary profesor dałby wiele, żeby móc powiedzieć coś, co ulży jego męczarniom, ale bał się, że jeszcze pogorszy sytuację. Diabli nadali cały ten absurd.

Minęło kilka chwil, zanim Adela de Otero wreszcie zwróciła się do niego:

– Podobno do pańskich klientów, don Jaime, należą ludzie poważani. Prawda to?

– Owszem.

– Czy są wśród nich ludzie godni? To znaczy hrabiowie, książęta i tym podobni.

Jaime Astarloa z ulgą stwierdził, że rozmowa przybrała zupełnie inny kierunek niż jeszcze niedawno u niego w domu. Z pewnością dziewczyna miała świadomość, że sprawy mogły być pójść za daleko. Niewykluczone, że zgadywała, jak zakłopotany był jej nauczyciel, i chciała przełamać lody w tej krepującej ich obydwójce sytuacji.

– Jest kilku – odparł. – Ale szczerze mówiąc niewielu. Dawno minęły czasy, kiedy szanowany mistrz szermierki osiadał w Wiedniu czy Sankt Petersburgu i był mianowany kapitanem regimentu cesarskiego... Szlachta w dzisiejszej epoce niespecjalnie skłonna jest praktykować moją sztukę.

– Któż więc należy do tych chlubnych wyjątków?

Don Jaime wzruszył ramionami.

– Jest ich dwóch czy trzech. Syn hrabiego de Sueca, markiz de los Alumbres...

– Luis de Ayala?

Nie potrafił ukryć zdumienia:

– Zna pani don Luisa?

– Opowiadano mi o nim – rzekła z całkowitą obojętnością. – O ile zdołałam się zorientować, jest jednym z najlepszych szermierzy w Madrycie.

Mistrz skinął głową z zadowoleniem.

– Zgadza się.

– Lepszym niż ja? – teraz w jej głosie pojawiła się nutka zaciekawienia.

Aż sapnął, słysząc kłopotliwe pytanie.

– Raczej kwestia różnicy stylu.

Adela de Otero uderzyła we frywolny ton.

– Marzę, żeby skrzyżować z nim florety. Podobno to interesujący człowiek.

– Niemożliwe. Przykro mi, ale to niemożliwe.

– Dlaczego? Czyżby jakiś problem?

– Cóż... Rzecz w tym, że...

– Chciałabym rozegrać z nim kilka walk. Jego też pan nauczył pchnięcia za dwieście eskudów?

**Don Jaime poprawił się niespokojnie na ławie kolasy. Zaczynał go niepokoić jego własny niepokój.**

– Pani żądanie, dono Adelo, jest cokolwiek... hm, nietypowe – fechtmistrz zmarszczył czoło. – Nie wiem, czy pan markiz...

– Czy łączy panów zażyłość?

– Po prawdzie zaszczyca mnie swoją przyjaźnią, jeżeli o to pani chodzi.

**Dziewczyna uwiesiła się jego ramienia z takim entuzjazmem, że Jaime Astarloa z wielkim trudem rozpoznawał w niej te Adelę de Otero, która pół godziny temu rozmawiała z nim w mrocznym zaciszu jego gabinetu.**

– A więc nie widzę kłopotu! – krzyknęła uradowana. – Pan powie mu o mnie. Całą prawdę, że umiem władać floretem. Na pewno zechce mnie poznać. Kobiętę szermierza!

**Don Jaime wybąkał jakieś mało przekonujące wymówki, ona jednak nie składała broni.**

– W obecnej sytuacji, jak sam pan wie, mistrzu, nie znam w Madrycie nikogo. Nikogo oprócz pana. Jestem kobietą, więc trudno przypuszczać, że będę stukać od drzwi do drzwi z floretem pod pachą...

– Wykluczone! – krzyknął don Jaime, zdjęty grozą na samą myśl o podobnej nieobyčajności.

– Sam pan widzi. Umarłabym ze wstydu.

– Nie tylko o to chodzi. W kwestiach szermierki Luis de Ayala trzyma się ściśle powszechnie przyjętych reguł. Sam nie wiem, co by sobie pomyślał, gdyby jakaś kobieta...

– Pan mnie zaakceptował, mistrzu.

– Właśnie, mówi pani: mistrzu. Jestem z zawodu mistrzem szermierki, Luis de Ayala zaś jest z zawodu markizem.

**Dziewczyna wybuchnęła krótkim, złośliwym śmiechem.**

– Pierwszego dnia, kiedy przyszedłam do pana, też zapewniał mnie pan, że mnie nie przyjmie z uwagi na zasady...

– W grę weszła moja zawodowa ciekawość.

Minęli ulicę Princesa i pałac Liria. W drżącym świetle latarni kilku dobrze ubranych przechodniów zażywało spaceru w chłodzie wieczoru. Znudzony stróż przytknął dłoń do beretu na widok kolasy, podejrzewając, że jej pasażerowie zmierzają do rezydencji książąt de Alba.

– Proszę mi obiecać, że porozmawia pan z markizem!

– Nigdy nie obiecuję czegoś, czego nie mogę spełnić.

– Mistrzu... Bo zacznę podejrzewać, że pan jest zazdrosny.

Jaime Astarloa zdał sobie sprawę, że oblewa się rumieńcem. Nie widział własnej twarzy, ale był pewien, że zaczerwienił się po same uszy. Zamarł z otwartymi ustami, niezdolny wymówić ani słowa, bo wszystkie więzły mu w gardle. „Ma racje – myślał szybko. – Ma stuprocentową racje. Zachowuję się jak golowas”. Zawstydzony westchnął głęboko i stuknął okuciem laski w podłogę kolasy.

– No dobrze... Spróbujemy. Ale nie gwarantuję powodzenia.

Klasnęła w dłonie jak uszczęśliwiona dziewczynka i pochyliwszy się, gorąco ścisnęła jego dłoń. Może zbyt mocno jak na reakcję po spełnieniu zwykłego kaprysu. Fechtmistrz pomyślał wówczas, że Adela de Otero jest kobietą nieprzewidywalną.

Niechętnie, bo niechętnie, ale Jaime Astarloa dotrzymał słowa. Podczas jednego z najbliższych spotkań z markizem de los Alumbres podszedł do tematu w sposób jak najbardziej oględny: „Młoda adeptka szermierki, pamięta pan, o kim mówię, sam pan się swego czasu nią zainteresował. Młodzi chcą przełamywać bariery, te sprawy. Nie sposób zaprzeczyć, że to autentyczna wielbicielka naszej sztuki, ma dryg do walki, pewną dłoń, w przeciwnym razie nigdy bym się nie ośmielił. Jeśli uzna pan, że...”.

Luis de Ayala gładził się po wytwornym wąsiku. Oczywiście. Nie przepuści takiej okazji.

– I powiada pan, że jest ładna?

Don Jaime był piekielnie wściekły na siebie za całe to rajfurzenie, które uważał za wysoce niegodne. Poza tym słowa, które Adela de Otero wyrzekła w kolasie, powracały do niego bolesnym echem. Fakt, że w jego wieku zazdrość mogła go jeszcze użądlić, był odkryciem ze wszech miar paskudnym.

Prezentacja dokonała się dwa dni potem w galerii don Jaimego, dokąd markiz wpadł niby przypadkowo podczas lekcji Adeli de Otero. Wymieniono obowiązkowe grzeczności, po czym Luis de Ayala, ze starannie podkreśnionym wąsem, wystrojony w satynowy krawat w kolorze malwy z brylantową spinką i haftowane jedwabne skarpetki, spytał uniżenie, czy mógłby obejrzeć jedno starcie. Oparł się o ścianę, skrzyżował ramiona na piersi i z poważną miną znawcy przyglądał się młodej kobiecie, która z wielkim tupetem zaprezentowała don Jaimemu jeden z najwspanialszych popisów szermierczych, jaki zdarzyło mu się widzieć w całej karierze nauczycielskiej.

Wraz z końcem walki z kąta galerii rozległy się brawa wyraźnie oczarowanego markiza.

– Pani, to zaszczyt dla mnie.

Fioletowe oczy wpatrywały się w Ayalę z taką siłą, że markiz aż przesunął palcem po kołnierzyku koszuli. Coś zaiskrzyło między nimi, jakieś wyzwanie, obietnica, prowokacja. Markiz skorzystał z pierwszej sposobności, żeby dopaść fechtmistrza na stronie.

– Fascynująca kobieta!

Don Jaime przyglądał się temu z wielkim niezadowoleniem, które z dużym wysiłkiem ukrywał pod maską chłodnego zawodowca. Po zakończeniu pojedynku Luis de Ayala wszczął długą rozmowę z dziewczyną na tematy techniczne, mistrz tymczasem odkładał na miejsce florety, plastrony i maski. Markiz de los Alumbres z wyszukaną elegancją zaoferował się, że odwiezie panią do domu. Na ulicy czekał jego faeton z angielskim stangretem, którego on z największą radością odda do dyspozycji łaskawej pani – mają przecież tyle do omówienia w związku ich wspólną pasją, jaką bez wątpienia jest szermierka. Może miałyby ochotę wysłuchać o dziewiątej koncertu w ogrodach Pól Elizejskich? Towarzystwo Akademickie pod batutą maestro Gaztambide będzie grać *Srokę złodziejkę* Rossiniego i wiązanek tematów z *Roberta Diabła*. Adela de Otero skłoniła się z wdziękiem i radośnie przyjęła zaproszenie. Po walce wystąpiły jej rumieńce na policzkach, co sprawiało, że wyglądała wyjątkowo pociągająco.

Kiedy poszła się przebrać, tym razem zamykając drzwi dokładnie, markiz wystosował formalne zaproszenie także do Jaimego Astarloi, choć było jasne, że nie zależy mu szczególnie, by ten je przyjął. Czując, że odegrałby raptem rolę niemego świadka, don Jaime odmówił i uśmiechnął się tępo, pogrążony w niemym smutku. Markiz był przeciwnikiem dużego kalibru i fechtmistrz miał wrażenie, że przegrał partię, zanim nawet ośmielił się do niej przystąpić. Tamci odeszli pod ramię, zajęci ożywioną rozmową, a on bezsilnie i z bólem wsłuchiwał się w odgłos oddalających się kroków na schodach.

Całą resztę dnia chodził po mieszkaniu jak lew po klatce i pieklił się na zaistniałą sytuację. W którymś momencie zatrzymał się przed lustrami w galerii i popatrzył w swoje odbicie.

– A czego się spodziewałeś? – spytał z pogardą.

Z drugiej strony odpowiedział mu gorzki grymas siwego starca.

Minęło kilka dni. Gazety, tłumione przez cenzurę, starały się informować między wierszami o kolejnych wydarzeniach politycznych. Pisano, że Napoleon III zezwolił Juanowi Primowi skorzystać z wód w Vichy. Rząd Gonzaleza Bravo, zaniepokojony bliskością słynnego spiskowca, rozmaitymi kanałami usiłował powiadomić cesarza Francji o swoim niezadowoleniu. Tymczasem sam hrabia de Reus w przerwach między pakowaniem manatków odbywał liczne spotkania ze swoimi poplecznikami i zastanawiał



się, jak też nakłonić ważne osobistości, żeby wspomogły sprawę finansowo. Rewolucja pozbawiona odpowiedniego wsparcia ekonomicznego może łatwo stać się własną parodią, a bohater spod Castillejos, dostatecznie zdeprymowany poprzednimi niepowodzeniami, nie zamierzał więcej ryzykować.

W Madrycie González Bravo powtarzał z szelmowską zuchwałością słowa, które wypowiedział był w orędziu wygłoszonym w Kongresie podczas inauguracji:

– Jesteśmy rządem, który rewolucji mówi: nie. Kraj nam ufa, jesteśmy gotowi zastąpić drogę spiskowcom. To nie ja przewodniczę radzie ministrów, jest tu bowiem obecny cień wielkiego generała Narvaeza.

Zmarły cień Silnego Człowieka Izabeli niewiele jednak obchodził buntowników. Widząc, że są tak blisko, generałowie, którzy jeszcze niedawno bez litości rozprawiali się krwawo z ludem, teraz tłumnie przechodzili na stronę rewolucji, choć nie spieszyli się z ujawnieniem do chwili, gdy będzie po wszystkim. Izabeli II, zażywającej kąpieli w Lequeitio z dala od madryckiej gorączki, niewiele pozostało zwolenników. Obecnie najbardziej polegała na generale Pezuelim, hrabim de Cheste, który składał królowej płomienne przyrzeczenia swoistej lojalności, gładząc jednocześnie głowicę szabli: – Skoro trzeba umrzeć w obronie dworu, to się umrze. Od tego jesteśmy.

Prasie rządowej tak dziwne gwarancje wystarczały. Starala się wobec tego uspokoić kraj rozlicznymi doniesieniami o powszechnie panującym spokoju. Na oficjalnych łamach modny był następujący kuplet:

*Tylu z nas ma nadzieję*

*i żyje w pokoju.*

*Tyle osłów wokóło*

*co tapla się w gnoju...*

Jaime Astarloa stracił jednego klienta: Adela de Otero przestała przychodzić na zajęcia z szermierki. Widywano ją na ulicach Madrytu w nieodłącznym towarzystwie markiza de los Alumbres. Spacerowała z nim po parku Retiro, jeździła kolaską do Prado, chadzała do teatru Rossiniego, zasiadała w łoży w Zarzueli. Za zasłoną wachlarzy, wśród poszturchiwań, socjeta madrycka mella językami próbując dociec, kim jest nieznajoma, która taki parol zagięła na Ayalę. Nikt nie potrafił odgadnąć, skąd się wzięła, nieznane były jej koligacje ani pozycja społeczna. Pewne było tylko, że zadaje się z markizem. Najostrzejsze stołeczne jęzory przez kilka tygodni roztrząsały zaciekle ową kabałę, ale w końcu i one dały za wygraną. Zdołano ustalić jedynie, że niedawno przybyła z zagranicy i że, zapewne z powyższego powodu, zachowywała się czasem w sposób nie przystający damie.

Niektóre echa tych plotek, choć znacznie już słabsze, docierały także do don Jaimego, on jednak przyjmował wszystko z właściwym sobie stoicyzmem. Sam starał się też zachować maksymalną rozwagę podczas codziennych spotkań z Luisem de Ayala. Nigdy nie dopytywał się o dalsze losy Adeli de Otero, markiz również nie spieszył się, żeby go o tym informować. Raz tylko, gdy po paru starciach smakowali obowiązkowy kieliszeczek jerezu, arystokrata objął go przyjaźnie ramieniem i rzekł z konfidencjonalnym uśmiechem:

– Mistrzu, zawdzięczam panu moje szczęście.

Don Jaime przyjął ten komentarz z obojętną miną i na tym się skończyło. Kilka dni potem fechtmistrz otrzymał drugi czek podpisany przez Adelę de Otero, którym uiszczala opłatę za ostatnie tygodnie nauki. Wraz z nim doręczono don Jaimemu zwięzły liścik:

*Ubolewam nad tym, że brak czasu nie pozwala mi uczestniczyć w naszych interesujących spotkaniach szermierczych. Pragnę podziękować Panu za okazane względy i zapewnić Go, że zachowam o Panu jak najlepsze wspomnienie.*

*Proszę przyjąć wyrazy głębokiego uszanowania*

*Adela de Otero*

Przeczytał liścik kilkakrotnie i zasępił się. Odłożył go w końcu na stół, wziął do ręki ołówek i zaczął liczyć. Po chwili wyjął papier listowy i umoczył pióro w kałamarzu.

*Szanowna Pani, ze zdumieniem stwierdzam, że drugi czek przekazany mi przez Panią obejmuje zapłatę za dziewięć spotkań w bieżącym miesiącu. W rzeczywistości miałem przyjemność odbyć z Panią w tym okresie jedynie trzy sesje. Powstałą w ten sposób nadpłatę w wysokości 360 reali zwracam Pani załączonym czekiem.*

*Łączę serdeczne pozdrowienia*

*Jaime Astarloa*

*Fechtistrz*

Podpisał, po czym zirytowany cisnął pióro na stół. Na liścik od Adeli de Otero padło kilka kropelek atramentu. Pomachał bilecikiem w powietrzu, żeby plamki zaschły, obserwując jednocześnie nerwowe, ostre pismo dziewczyny. Stawiała długie, szpiczaste jak sztylet kreski. Zawahał się, czy ma liścik podrzeć, czy zachować, w końcu

zdecydował się na drugi wariant. Kiedy ból przeminie, karteczka pozostanie jeszcze jednym wspomnieniem. W myśli don Jaime złożył ją już w przepelnionym kufrze własnych melancholii.

Tego popołudnia spotkanie w Progreso skończyło się wcześniej niż zwykle. Agapita Cárcelesa czekało jeszcze sporo roboty nad artykułem, który miał dostarczyć w nocy do pisma „Gil Blas”, Carreño zaś zaklinał się, jakoby miał nadzwyczajne posiedzenie łoża Świętego Michała. Don Lucas też szybko zniknął, skarżąc się na lekki katar sienny, zatem Jaime Astarloa został sam na sam z nauczycielem muzyki Marcelem Romero. Postanowili wybrać się na spacer, korzystając z tego, że upał zaczął ustępować lekkiemu wieczornemu zefirowi. Poszli Traktem San Jerónimo. Don Jaime uchylił cylindra, mijając znajomego koło restauracji Lhardy’ego, podobnie później przed wejściem do Ateneo. Romero, jak zwykle cichy i smętny, szedł zatopiony w myślach, wpatrując się w czubki własnych butów. Na szyi miał wymiętą muszkę, kapelusz odsunął niedbale do tyłu, na kark. Mankiety jego koszuli były wyraźnie nie pierwszej czystości.

Pod drzewami na Promenadzie Prado roilo się od przechodniów. Na ławkach z kutego żelaza żołnierze i służące wymieniali czułości, korzystając z ostatnich promieni słonecznych. Między fontannami Kybele i Neptuna przechadzali się eleganccy panowie, w towarzystwie dam lub w grupkach przyjaciół, wymachiwali pretensjonalnie laskami i sięgali dłońmi ku cylindrom, gdy tylko uszu ich dobiegał szelest szanowanych bądź z innego powodu interesujących sukien. W rdzawym świetle zachodu skrzyły się kolorami kapelusze i parasolki, przemykające w odkrytych powozach środkiem wysypanej piaskiem alei. Rumiany pułkownik wojsk inżynieryjnych, przepasany szarfą i z szablą u boku, dumnie eksponując na piersi cały sklep żelazny, ze spokojem palił hawanę i klarował coś po cichu swojemu adiutantowi, kapitanowi o króliczym wejrzeniu, który potakiwał, rozglądając się posepnie. Najwyraźniej rozmawiali o polityce. Kilka kroków z tyłu podążała pani pułkownikowa, opięta jak baleron w suknię przeladowaną koronkami i kokardkami, obok zaś służąca w fartuchu i czepku doglądała stadka dzieci płci obojga, w liczbie z pół tuzina, w jednakowych, czarnych pończoszках i również w koroneczkach. Na rondzie Cuatro Fuentes paru młodzianków z ulizanymi brylantyną przedziałkami na środku głowy podkręcało zadbane wąsy i strzelało oczami ku pewnej młodej damie. Ta jednak pod czujnym okiem guwernantki czytała tomik epigramatów elegijnych Campoamora, nieświadoma zupełnie poruszenia, jakie u fircyków wywołała jej drobna, zgrabna stopka i skrawek kuszącej smukłej kostki w białej pończosze.

Przyjaciele spacerowali niespiesznie, rozkoszując się miłą temperaturą. Wyjątkowo nie pasowali do siebie – fechtmistrz ze swoją archaiczną elegancją i niechlujny pianista. Romero dłuższą chwilę przyglądał się sprzedawcy andrutów, krążącemu ze swoim wehikulem pośród grupki dzieci, po czym z chmurnym obliczem zwrócił się do swojego towarzysza.

– Jak u pana z finansami, don Jaime?

Fechtistrz wyglądał na lekko ubawionego.

– Chyba nie ma pan ochoty na andruta...

Nauczyciel muzyki oblał się pąsem. Większość jego uczennic wyjechała na wakacje i widział już dno portfela. Całe lato zawsze naciągał swoich przyjaciół na drobne sumy.

**Don Jaime sięgnął do kieszonki w kamizelce.**

**– Ile panu potrzeba?**

**– Dwadzieścia reali powinno wystarczyć.**

**Fechtmistrz wyjął srebrnego piątaka i dyskretnie wsunął w nieśmiało wyciągniętą dłoń Marcelina Romero. Ten jął się usprawiedliwiać półgębkiem.**

**– Moja gospodyni...**

**Jaime Astarloa machnął ręką, chcąc przerwać te tłumaczenia. Wszystko w porządku. Jego towarzysz westchnął z wdzięcznością.**

**– Żyjemy w ciężkich czasach, don Jaime.**

**– Nie inaczej.**

**– Czasach niosących niepokój, utrapienia... – pianista położył dłoń na sercu, klepiąc się po nieistniejącym portfelu. – I samotność.**

**Jaime Astarloa mruknął coś nieokreślonego. Romero poczytał to za znak zgody, co go trochę ukoilo.**

**– Miłość, don Jaime. Miłość – podjął po chwili swoje smętne rozważania. – Tylko ona może dać nam szczęście, a paradoksalnie skazuje nas na najgorsze tortury. Kochać znaczy popaść w niewolę.**

**– Niewolnikiem jest ten, co oczekuje czegokolwiek od innych – fechtmistrz spojrział na swojego rozmówcę takim wzrokiem, że tamten zamrugał zmieszany oczami. – Być może tu tkwi błąd. Ten, kto od nikogo niczego nie potrzebuje, pozostaje wolny. Jak Diogenes w beczce.**

**Pianista pokręcił głową. Nie mógł się z tym zgodzić.**

**– Świat, w którym nie oczekivalibyśmy niczego od innych, to piekło, don Jaime... Wie pan, co jest najgorsze?**

**– Każdy ma własne poglądy na temat najgorszego. Co jest najgorsze dla pana?**

**– Dla mnie brak nadziei, świadomość, że oto wpadło się w pułapkę i... To znaczy, uważam, że są chwile koszarne, z których nie sposób znaleźć wyjście.**

**– Z niektórych pułapek rzeczywiście go nie ma.**

**– Proszę tak nie mówić.**

**– Przypominam panu jednak, że żadna pułapka nie może się udać bez nieświadomego współdziałania ofiary. Nikt nie każe myszy dobierać się do sera w łapce.**

– Ale przecież szukanie miłości, szczęścia... Biorąc pierwszy z brzegu przykład, ja sam...

Tu Jaime Astarloa przerwał dość szorstko swemu rozmówcy. Nie wiedzieć czemu denerwowało go to melancholijne spojrzenie jak u zaszczutego zwierzątka. Doznał pokusy, żeby być okrutnym.

– To niech ją pan porwie, don Marcelino.

Grdyka pianisty podskoczyła i opadła od gwałtownie przelkniętej śliny.

– Kogo?

W pytaniu zabrzmiał niepokój i zakłopotanie. A także błaganie, którego Jaime Astarloa nie zamierzał usłuchać.

– Doskonale pan wie, o kogo mi chodzi. Jeżeli tak bardzo kocha pan swoją szlachetną matronę, niech pan nie usycha do końca życia pod jej balkonem. Lepiej niech pan wprosi się znowu do jej domu, rzuci się jej do stóp, uwiedzie ją, zdepcze jej cnotę, wyrwie ją stamtąd choćby siłą... Niech pan strzeli w łeb mężowi! Albo sobie! Niech pan dokona czynu bohaterskiego, śmiesznego, byle jakiego, ale niech pan w ogóle czegoś dokona! Na Boga, ma pan dopiero czterdzieści lat!

Nieoczekiwany wybuch brutalnej elokwencji ze strony fechtmistrza zmiotł z twarzy Romera resztki życia. Krew odpłynęła mu z policzków i przez moment wydawało się, że nauczyciel muzyki odwróci się na pięcie i czmychnie.

– Nie jestem skłonny do przemocy – bąknął po chwili, jakby to cokolwiek mogło usprawiedliwić.

Jaime Astarloa spojrział na niego ciężko. Pierwszy raz podczas ich spotkań nieśmiałość pianisty wzbudzała w nim nie współczucie, a wzdą. Jakże wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby Adela de Otero przyszła do niego dwadzieścia lat wcześniej, kiedy był w wieku Romera!

– Ja nie mówię o przemocy, jaką wieszczą w kawiarni Cárceles – odrzekł. – Mówię o tej, która ma swe źródło w męstwie – wskazał własną pierś. – Tutaj.

Zakłopotanie Romera ustąpiło miejsca lekowi. Pianista miętosił nerwowo muszkę, uciekając wzrokiem przed spojrzeniem fechtmistrza.

– Sprzeciwiam się jakiegokolwiek przemocy, czy to zbiorowej, czy osobistej.

– A ja nie. Zapewniam pana, że przemoc ma wiele subtelnych odcieni. Cywilizacja, która zrezygnuje z możliwości odwołania się do aktów przemocy dokonanych myślą czy uczynkiem, gubi sama siebie. Zamienia się w stado baranów gotowych na rzeź. Tak samo dzieje się z ludźmi.

– A co mi pan powie o Kościele katolickim? Sprzeciwia się przemocy, nie stosuje jej, a istnieje prawie dwadzieścia stuleci.

– Teraz to mnie pan rozśmieszył do łez, don Marcelino. Chrześcijaństwo oparło się na legionach Konstantyna, na mieczach krzyżowców. A Kościół katolicki na stosach Inkwizycji, na galerach pod Lepante i na legiach habsburskich... A w pańskiej sprawie kto niby ma pana zastąpić?

Pianista spuścił oczy.

– Rozczarowuje mnie pan, don Jaime – odezwał się po krótkim milczeniu, dłubiąc laską w piachu alejki. – Nigdy bym nie przypuszczał, że podziela pan poglądy Agapita Cárcelesa.

– Nie podzielam niczyich poglądów. Dreszcze mnie przechodzą na samą myśl choćby o zasadzie równości, której z taką swadą broni nasz przyjaciel. A skoro już pan poruszył ten temat, wyznam panu, że wolę żyć pod rządami Cezara czy Bonapartego, których zawsze mogę zabić, jeśli mi nie odpowiadają, niż poddać własne upodobania, przyzwyczajenia czy sympatie pod głosowanie byle sklepikarzowi z rogu... Tragedią naszego stulecia, don Marcelino, jest brak geniuszu, porównywalny tylko z brakiem męstwa i brakiem dobrego smaku. Niewątpliwie winę za to ponosi niepomamowany awans wszystkich sklepikarzy z wszystkich rogów Europy.

– Jeśli wierzyć Cárcelesowi, dni sklepikarzy już są policzone – odpowiedział Romero z ledwie wyczuwalną nutą nienawiści w głosie. Mąż damy jego serca był znanym kupcem kolonialnym.

– Cárceles maluje przed nami jeszcze gorsze perspektywy, bo kto przyjdzie na ich miejsce?... Wie pan, gdzie leży problem? Stanowimy ogon ostatniego z trzech pokoleń, jakie z kaprysu historii następowały jedno po drugim. Pierwsze pokolenie potrzebuje Boga, więc go wymyśla. Drugie wznosi świątynie temu Bogu i usiłuje Go naśladować. A trzecie bierze marmur z owych świątyń, buduje z nich burdele, w których czci własną chciwość, własny przepych i własną nikczemność. Tak już jest, że po bogach i bohaterach przychodzą zawsze, nieuchronnie, miernoty, tchórze i idioci. Dobrej nocy, don Marcelino.

Fechtmistrz stał jeszcze jakiś czas oparty na lasce i bez żalu wpatrywał się w pianistę, odchodzącego z głową wciśniętą w ramiona. Zapewne zmierzał na miejsce swych rytualnych przechadzek pod balkonem przy ulicy Hortaleza. Pożegnawszy go wzrokiem, Jaime Astarloa zaczął przypatrywać się przechodniom, chociaż jego myśli wędrowały gdzie indziej. Zdawał sobie sprawę, że część słów, jakie wypowiedział do Romera, odnosiła się w równej mierze do niego samego, i ta pewność wcale nie napawała go szczególną radością. W końcu postanowił wrócić do domu. Niespiesznie ruszył ulicą Atocha, wstąpił do ulubionego sklepu aptecznego, gdzie kupił spirytus i maść, bo już mu zaczynało brakować. Sprzedawca–kuternoga, jak zwykle bardzo usłużny, zapytał go o zdrowie.

– Nie narzekam – odparł don Jaime. – Wie pan, że kupuje to dla swoich uczniów.

– Nie wybiera się pan na wakacje? Królowa już jest w Lequeitio i niebawem cały dwór tam zjedzie, o ile Juan Prim nie zrobi z nimi porządku. To dopiero człowiek! – chłopak klepnął się z dumą po kikucie nogi. – Trzeba go było widzieć pod Castillejos, z jakim spokojem siedział na koniu, kiedy zewsząd naciskały na nas te mauretańskie czorty!

Miałem zaszczyt być tam u jego boku i odnieść ranę za ojczyznę. Jak mi kulka rozszarpała nogę, don Juan pochylił się nade mną i z tym swoim katalońskim akcentem powiedział: „Tobie nic takiego, kawalerze”... I zdążyłem mu jeszcze krzyknąć trzy razy „wivat”, zanim zabrali mnie na noszach... Na pewno do dziś mnie pamięta!

Don Jaime wyszedł z pakunkiem pod pachą, minął pałac Santa Cruz i podcieniami dotarł do placu Mayor. Tu zatrzymał się na parę minut pod pomnikiem Filipa III na koniu, przy grupce ludzi wsłuchanych w marszowe dźwięki orkiestry wojskowej. Kiedy już miał wyjść na ulicę Mayor, żeby zjeść kolację w gospodzie Pereira, nagle stanął jak wryty. Z berlinki, stojącej po drugiej stronie ulicy, wyglądała Adela de Otero. Połowa jej twarzy kryła się w cieniu. Dziewczyna nie zauważyła fechtmistrza, była pochłonięta poufną rozmową z jakimś mężczyzną w średnim wieku, we fraku, cylindrze i z laską. Człowiek ten bezceremonialnie opierał się o krawędź okienka powozu.

Don Jaime znieruchomiał i w milczeniu obserwował scenę. Mężczyzna, odwrócony do niego plecami, nachylał się ku Adeli de Otero i uprzejmie jej coś tłumaczył. Słuchała go z niezwykłą powagą, co chwilę potrząsając przecząco głową i szepcząc jakieś ważne słowa, na dźwięk których jej towarzysz z kolei potakiwał. Don Jaime zbierał się, żeby iść swoją drogą, ale ciekawość wzięła w nim górę: pozostał w tym samym miejscu, usiłując zagłuszyć wyrzuty sumienia z powodu ewidentnego aktu szpiegostwa, jakiemu tak bezwstydnie się właśnie oddawał. Wyostrzył słuch, chcąc pochwycić choćby strzęp rozmowy, ale daremnie. Tamci oboje znajdowali się za daleko.

Choć mężczyzna stał tyłem, don Jaime był, nie wiedząc czemu, przekonany, że go nie zna. W pewnym momencie Adela de Otero pomachała przecząco wachlarzem i zaczęła coś mówić. Błądziła przy tym wzrokiem po ulicy i oto dojrzała fechtmistrza, który nawet sięgnął dłonią do cylindra, chcąc się przywitać. Zamarł jednak w pół gestu, widząc przerażenie, jakie pojawiło się w jej oczach. Dziewczyna z miejsca cofnęła się w głąb powozu, tymczasem mężczyzna z widocznym zdenerwowaniem obrócił głowę ku Jaimemu Astarloi. Adela de Otero musiała wydać raptowny rozkaz, bo stangret, który dotąd walczył się na koźle, aż podskoczył i smagnął konie biczem. Nieznajomy odsunął się od drzwiczek i wymachując laską, oddalił się w przeciwnym kierunku. Fechtistrz ledwo zdążył zapamiętać, że nosi długie, angielskie faworyty i cienki, wypielęgnowany wąsik. Był człowiekiem eleganckim, wzrostu średniego i wytwornej powierzchowności, laskę miał z kości słoniowej i wyraźnie bardzo się śpieszył.

Długo zastanawiał się don Jaime nad tą sceną, przyznał jednak w końcu, że nie potrafi jej zrozumieć. Powracał do niej myślami podczas lekkiej kolacji, ale i później, w ciszy gabinetu, usiłował rzucić na tajemnicze spotkanie choć odrobinę światła. Zżerała go ciekawość, kim był ów mężczyzna.

Intrygowało go zresztą coś jeszcze: otóż w chwili, gdy Adela de Otero zauważyła fechtmistrza, na jej twarzy pojawił się wyraz, jakiego nigdy wcześniej nie widział. Nie był to wyraz ani zaskoczenia, ani gniewu – choć podobne reakcje byłyby naturalne u kogoś, kto właśnie stwierdził, że jest bezczelnie i jawnie obserwowany. Na twarzy dziewczyny malowało się uczucie znacznie bardziej mroczne i niepokojące, do tego stopnia, że dopiero po jakimś czasie, upewniony o własnej nieomyślności, zdołał je prawidłowo nazwać. Na ułamek sekundy w oczach Adeli de Otero zagościła trwoga.

Przebudził się gwałtownie w środku nocy i usiadł zdenerwowany na łóżku. Cały zlany był potem za sprawą koszmaru, jaki wciąż wyraźnie widział, chociaż sen minął, a on oczy miał otwarte. Na powierzchni pokrytej rzesą wody, twarzą do dołu, unosiła się lalka. Wyglądała jak topielica. Włosy jej opłotły nenufary i gęste wodorosty. Jaime Astarloa powoli pochylał się nad nią z rozpaczą, a gdy wziął ją do rąk i odwrócił, zobaczył, że szklane oczy wyrwano jej z twarzy. I właśnie widok tych pustych oczodołów zdjął go takim przerażeniem.

Nie zdołał na powrót zasnąć. Pierwsze promienie brzasku, zakradające się przez szpary w okiennicach, zastały go kilka godzin później w tej samej pozycji.

Luis de Ayala od paru dni był dziwnie niespokojny. Z trudem skupiał uwagę na szermierczej walce, jakby myślami błędził gdzieś bardzo daleko.

– Trafiony, ekscelencjo.

Markiz ze smutkiem potrząsał głową.

– Nie mam dziś jakoś szczęścia, mistrzu – usprawiedliwiał się.

Miejsce dawnej wesołości zajęła niespotykana u niego melancholia. Często zamyślał się, a na żarty pozwalał sobie teraz naprawdę rzadko. Początkowo don Jaime przypisywał marny humor markiza coraz gorętszej sytuacji politycznej. Prim w tajemniczy sposób zniknął z Vichy. Dwór wypoczywał na północy, ale najważniejsi mężowie stanu i wojskowi zostali w Madrycie i czekali. W powietrzu dosłownie czuć było czarne chmury gromadzące się nad monarchią.

Pewnego ranka u schyłku sierpnia Luis de Ayala poprosił przybyłego właśnie fechtmistrza o wybaczenie.

– Nie mam dzisiaj nastroju, don Jaime. A raczej mam, ale podły.

W zamian zaproponował spacer po ogrodzie. Przechadzali się pod wierzbami wyżywowaną alejką, u której końca widać było fontannę z kamiennym amorkiem. Nieopodal ogrodnik uwijał się pośród kwiatów, patetycznie pochylonych w porannym skwarze.

Przez jakiś czas wymieniali różne banalne uwagi. Gdy znaleźli się koło wykutego w żelazie pawilonu, markiz de los Alumbres zwrócił się do Jaimego Astarloi z niewinnym wyrazem twarzy, któremu wszelako zaprzeczyły słowa.

– Mistrzu... Nurtuje mnie, jak też pan poznał panią de Otero.

Fechtmastera pytanie zdumiało, pierwszy bowiem raz od czasu wzajemnej prezentacji Luis de Ayala wymawiał to nazwisko w jego obecności. Mimo to jak najobojętniejszym tonem w kilku słowach zaspokoił ciekawość markiza, który słuchał uważnie i co chwila kiwał głową. Zapytał następnie, czy fechtmistrz zna może jakichś jej krewnych albo



znajomych, na co otrzymał odpowiedź taką samą, jak kilka tygodni wcześniej. Don Jaime wiedział o niej jedynie, że mieszka sama i znakomicie włada floretem. Już miał opowiedzieć o tajemniczym spotkaniu koło placu Mayor, ale jednak je przemilczał. Nie uznał za stosowne zdradzać czegoś, co sądząc z wyrazu twarzy dziewczyny miało pozostać sekretem.

Markiz dopytywał się też, czy Adela de Otero kiedykolwiek wspomniała o nim, zanim pojawił się w galeri fechtmistrza, i czy zdradzała chęć poznania go. Po krótkim wahaniu don Jaime odparł, że istotnie było tak, i zwięźle streścił rozmowę, jaką obydwójce odbyli w fiakrze, kiedy odprowadzał dziewczynę do domu.

– Wiedziała, że jest pan świetnym florecistą, nalegała, żebym ją z panem poznał – powiedział bez ogródek, chociaż wyczuł, że za ciekawością Luisa de Ayala kryje się coś poważniejszego. Zachował jednak te domysły dla siebie, nie usiłując wydobyć od markiza żadnych wyjaśnień. Ten zresztą uśmiechał się szatańsko.

– Widzę, że ekscelencję moje słowa bawią – zauważył fechtmistrz z lekką pretensją, podejrzewając, że arystokrata komentuje w ten sposób mimowolne stręczycielstwo, jakiego z wielką niechęcią dopuścił się w całej tej sprawie. Markiz de los Alumbres w lot pojął, co dręczy don Jaimego.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, mistrzu – odezwał się serdecznie. – Myślałem o sobie samym... Pan tego nie zrozumie, ale zapewniam go, że ta historia odsłania przede mną nowe, pasjonujące oblicze. W dodatku – znów się uśmiechnął, jakby ubawiły go własne myśli – właśnie potwierdził pan pewne przypuszczenia, które ostatnio krążyły mi po głowie. Nasza młoda przyjaciółka rzeczywiście wybornie zna się na szermierce. Zobaczymy teraz, czy potrafi osiągnąć celu.

Jaime Astarloa poczuł się nieswojo. Niespodziewany obrót, jaki przybrała ich rozmowa, wpędzał go w potworne zakłopotanie.

– Pan wybaczy, ekscelencjo, ale chyba nie do końca pojmuję...

Markiz wyciągnął rękę uspokajająco.

– Proszę się nie denerwować, don Jaime, każda rzecz w swoim czasie. Przrzekam, że opowiem panu wszystko, ale... później. Powiedzmy, że najpierw muszę załatwić pewną zaległą sprawę.

Nauczyciel szermierki zamilkł, zbity z tropu. Czy ta „zaległa sprawa” łączyła się z tajemniczą rozmową, w której przeszkodził jakiś czas temu? Czy w grę wchodziły porachunki uczuciowe?... Tak czy inaczej Adela de Otero nie powinna go obchodzić. Już nie. Właśnie otwierał usta, żeby zmienić temat, gdy Luis de Ayala położył mu dłoń na ramieniu. Spoglądał na niego ze śmiertelną powagą.

– Mistrzu, ośmielam się prosić pana o przysługę.

Don Jaime wyprostował się niczym alegoria uczciwości i wiarygodności.

– Jestem na pańskie rozkazy, ekscelencjo.

Markiz chwilę jeszcze się wahał, by wreszcie oddalić wszelkie skrupuły. Jego głos zabrzmiał ciszej.

– Muszę coś panu powierzyć, pewien przedmiot. Dotychczas przechowywałem to u siebie, ale z przyczyn, które mam nadzieję niebawem panu wyjawić, czuję się zmuszony ukryć to na jakiś czas w bezpiecznym miejscu... Mogę na pana liczyć?

– Bez wątpienia.

– Chodzi o pewien zbiór dokumentów... Te papiery mają dla mnie kolosalne znaczenie. Może trudno w to panu uwierzyć, ale w tej sprawie do mało kogo mógłbym mieć zaufanie. Pan jedynie przechowałby je w domu w jakimś dogodnym miejscu do czasu, aż na nowo się po nie zgłoszę. Są zalakowane w kopercie z moją pieczęcią. Naturalnie, liczę na pańskie słowo honoru, że nie będzie pan dociekał, jaka jest jej zawartość i że zachowa pan w tej sprawie absolutne milczenie.

Mars przeorał czoło fechtmistrza. Prośba była dziwna, ale markiz wymienił słowa „honor” i „zaufanie”. To załatwiało wszystko.

– Ma pan moje przyrzeczenie.

Markiz de los Alumbres uśmiechnął się teraz z widoczną ulgą.

– A pan ma od tej chwili moją dozgonną wdzięczność.

Fechtistrz zamyślił się rozważając, czy ta sprawa ma coś wspólnego z Adela de Otero. Pytania wprost cisnęły mu się na usta, ale zdołał się pohamować. Dał markizowi słowo honoru i, na Boga, to było najważniejsze. Sam Ayala obiecał, że w swoim czasie wszystko wyjaśni.

Markiz wyjął cygarnice z przedniej, rosyjskiej skóry i wyciągnął długą hawanę. Poczęstował don Jaimego, który jednak uprzejmie odmówił.

– Błąd – odrzekł de Ayala. – To cygara z Vuelta Abajo, z Kuby. Nałóg odziedziczyłem po moim wuju Joaquinie. Nie ma porównania z tymi paskudnymi wykruchami, które sprzedają za grosze po straganach.

Sam uznał więc sprawę za zamkniętą. Fechtistrz nie mógł jednak nie zadać jednego pytania.

– Dlaczego ja, ekscelencjo?

Luis de Ayala właśnie przypalał cygaro. Przerwał i popatrzył na rozmówcę ponad płomieniem zapalki.

– Z przyczyny oczywistej, don Jaime. Pan jest jedynym człowiekiem honoru, jakiego znam.

**Znów przytknął płomień do hawany i z ogromną rozkoszą zaciągnął się dymem.**

## **Rozdział piąty**

### **Atak po żelazie**

*Atak po żelazie należy do najskuteczniejszych ataków w całej szermierce, z tego też względu należy się mieć przed nim szczególnie na baczności.*

Madryt, ukołysany ostatnimi gorącymi dniami lata, szykował się do drzemki. Stołeczne życie polityczne wyciszył wrześnieowy skwar i ołowiane chmury, które co jakiś czas przemywały deszczem duszną, zastygłą atmosferę kanikuły. Prasa rządowa dawała między wierszami do zrozumienia, że generałowie zesłani na Wyspy Kanaryjskie zachowują się spokojnie, i dementowała pogłoski, jakoby macki spiskowców dotarły już do Marynarki, ta bowiem, wbrew nikczemnym, dywersyjnym plotkom, stała jak zwykle wiernie przy Jej Wysokości. Natomiast jeżeli chodzi o porządek publiczny, już od kilku tygodni nie odnotowywano w Madrycie jakichkolwiek zamieszek, a to dzięki przykładnej nauczce, jakiej władze udzieliły prowodyrom ostatnich rozruchów, którzy teraz dysponowali aż nadmiarem czasu na przemyślenie własnych błędów w mało przytulnym cieniu fortu w Ceucie.

Antonio Carreño dotarł do kawiarni Progreso z najświeższymi plotkami.

– Panowie, słuchajcie, słuchajcie. Wiem z dobrego źródła, że sprawy są w toku.

Odpowiedział mu kpiący chór sceptyków. Carreño urażony przyłożył dłoń do serca.

– Jak możecie panowie wątpić w moje słowa...

Lucas Rioseco odparł na to, że wątpią nie tyle w jego słowa, ile raczej w wiarygodność jego informatora. Bądź co bądź od roku już zwiastowano Odmianę. Carreño uderzył wówczas w swój typowy, poufny ton, co zmusiło pozostałych do pochylenia się nad blatem stolika.

– Tym razem już nie ma żartów, panowie. López de Ayala pojechał na Wyspy Kanaryjskie, gdzie się spotka z zesłanymi generałami. Do tego, wystawcie sobie, Juan Prim zniknął ze swojego londyńskiego domu! Gdzie przebywa, nie wiadomo. Domyślcie się już panowie, co to oznacza!

Tylko Agapito Cárceles dał wiarę doniesieniom Carreña.

– Jak sędzę, gra rozgorzała na dobre.

Jaime Astarloa skrzyżował nogi. Snucie kawiarnianych intryg nudziło go wprost niewymownie. Tymczasem Carreño ściszym głosem podawał kolejne fakty, mające świadczyć o przygotowywanym spisku.

– Podobno widziano hrabiego de Reus w Lizbonie w przebraniu lokaja. A flota śródziemnomorska tylko czeka na jego przybycie, by dać sygnał.

– Jaki sygnał? – spytał naiwnie Marcelino Romero.

– Przebóg, sygnał wolności, a jakieżby inny?

W śmiechu don Lucasa słyhać było niedowierzenie.

– Naczytał się pan Dumasa, don Antonio. W odcinkach.

Urażony rezerwą, jaką okazywał mu ten stary piernik, Carreño zamilkł. W sukurs przyszedł mu Agapito Cárceles, który natarł na don Lucasa, wygłaszając krótką, płomienną mowę rewolucyjną.

– Najwyższy czas opowiedzieć się, po której stronie barykady się stoi! – zakończył z emfazą godną bohatera sztuk Tamayo y Bausa.

– Na pewno się spotkamy! – zapowiedział rozzłoszczony don Lucas z równie teatralną pozą. – Pan po jednej stronie, ja na pewno po drugiej.

– Na pewno! Nigdy nie miałem wątpliwości, Rioseco, że pana miejsce jest w szeregach sił przemocy i obskurantyzmu!

– Święte słowa.

– Święte, żebyś pan wiedział! Dla Hiszpanii świętą sprawą jest teraz ani chybi rewolucja! Pańska potulność każdego patriotę wyprowadzi z równowagi, don Lucasio!

– Ziółka dobrze panu robią.

– Niech żyje republika!

– Pańska sprawa.

– Niech żyje związek federalny!

– Doprawdy, szanowny kolego, doprawdy. Fausto! Grzanke! Przypieczoną od spodu!

– Niech żyje państwo szanujące prawo!

– Jedyne prawo, jakiego tu trzeba, to prawo do ucieczki!

Nad dachami Madrytu rozległ się grzmot. Niebo otworzyło swe podwoje i na miasto runęła ściana wody. Po drugiej stronie ulicy widać było przechodniów, którzy biegiem szukali schronienia. Jaime Astarloa upił trochę kawy i melancholijnym wzrokiem wpatrywał się w strugi uderzające o okno kawiarni. Kot, który chwilę przedtem wybrał się na przechadzkę, jednym skokiem wrócił właśnie, zjeżony i przemoczony – istny obraz nędzy i rozpaczy – i wbił w fechtmistrza swoje nieufne, złe ślepie.

– We współczesnej szermierce, panowie, coraz mniej jest miejsca na ową cudowną swobodę ruchów, jaka przydaje naszej sztuce szczególnego wdzięku. To w znacznym stopniu ogranicza nasze możliwości.

Bracia Cazorlowie i Alvarito Salanova słuchali z uwagą, trzymając florety i maski pod pachą. Brakowało tylko Manuela de Soto, który bawił z rodzicami na wakacjach na północy kraju.

– Wszystkie te zgubne okoliczności – ciągnął Jaime Astarloa – zubażają sztukę fechtunku w stopniu fatalnym. Na przykład niektórzy szermierze podczas ćwiczeń pomijają już moment odsłonięcia i honory oddawane sekundantom...

– Ale podczas walki ćwiczebnej nie ma sekundantów, mistrzu – wtrącił nieśmiało młodszy Cazorla.

– Otóż to, drogi panie. Otóż to. Trafił pan w sedno. Obecnie podchodzi się do szermierki, nie zważając na jej praktyczny wymiar w sferze honoru. Teraz to jest, jak się mówi, *sport*. Nic bardziej błędnego. To tak, jakby nie przymierzając, księża zaczęli odprawiać nabożeństwa po hiszpańsku. Zapewne byłoby bardziej na czasie, prawda? Zyskaliby poklask, odpowiedzieliby na wyzwanie epoki, rozumiecie, panowie? A przecież rezygnując z nieco hermetycznej, a jakże dźwięcznej mowy łacińskiej, pozbawilibyśmy nasz szlachetny rytuał najgłębszych korzeni, skazalibyśmy go na degradację i nikczemność. Piękno, Piękno przez duże P, istnieje tylko poprzez kult tradycji, poprzez rygorystyczne przestrzeganie tych samych gestów i słów, jakie powtarzaliśmy od wieków przez wszystkie pokolenia. Rozumiecie panowie, do czego zmierzam?

Trzej młodzieńcy skinęli poważnie głowami, bardziej z szacunku dla mistrza niż z przekonaniem. Don Jaime uniósł rękę i wykonał w powietrzu kilka szermierczych ruchów wymagowanym floretem.

– Rzecz jasna nie powinniśmy zamykać oczu na przydatne unowocześnienia – ciągnął tonem wzgardliwego przyzwolenia. – Przede wszystkim jednak musimy mieć świadomość, że piękno jest w tych miejscach, które inni zaczynają lekceważyć... Czyż lojalność wobec króla zdetronizowanego nie wydaje się panom bardziej szlachetna niż wobec tego, który go na tronie zastąpił? Dlatego właśnie sztuka nasza winna pozostać czysta, nieskażona. Klasyczna. Otóż to, klasyczna. Należy współczuć tym, co chcą zgłębić jedynie technikę. Młodzi przyjaciele, panowie, macie cudowną okazję zgłębienia sztuki. A tego, wierzcie mi, nie da się kupić. To się nosi tu, w sercu i w głowie.

Fechtistrz umilkł i w zamyśleniu spoglądał na trzy twarze, które wpatrywały się w

niego z pełną szacunku uwagą. Wreszcie wskazał starszego z braci Cazorlów.

– No, dosyć gadania. Pan, don Fernando, poćwicz ze mną zasłonę przeciw–drugą połączoną z drugą. Przypominam, ten manewr wymaga dużej precyzji. Nigdy nie należy się do niego uciekać, gdy przewaga fizyczna przeciwnika jest znaczna. Przypomina pan sobie teorię?

Młodzieniec z dumą skinął głową.

– Tak, mistrzu – wyrecytował pospiesznie jak uczeń w szkole. – Jeśli po wykonaniu zasłony przeciw–drugiej nie znajdę głowni przeciwnika, przechodzę do zasłony drugiej, wykonuję wyzwolenie i nacieram górą w czwartej linii.

– Doskonale – don Jaime wziął floret z panoplii, Fernando Cazorla zaś nakładał maskę. – Gotów? Zabieramy się więc do pracy. Oczywiście nie zapominamy o pozdrowieniu. Tak jest... Wyciągamy ramię i unosimy dłoń, o tak. Proszę to zrobić tak, jakby miał pan na głowie kapelusz. Zdjąłby go pan wytwornie lewą ręką. Doskonale – mistrz zwrócił się do pozostałej dwójki. – Nie wolno zapominać, że gest pozdrowienia w czwartej i trzeciej jest skierowany do sekundantów i świadków. Domniemywa się, że tego typu okazje zachodzą wśród ludzi dobrze urodzonych. Nie powinno nas dziwić, gdy jeden kawaler zabije drugiego, jeśli ich walka jest sprawą honoru, prawda?... Do kroćset! Powinniście się panowie przynajmniej tego dobrze nauczyć.

Mistrz i Fernando Cazorla skrzyżowali florety. Uczeń poruszał lekko nadgarstkiem czekając, aż don Jaime wykona pchniecie, które będzie początkiem ćwiczenia. Ich postacie zwielokrotniały się w lustrach galerii, jakby sala pełna była walczących. W powietrzu unosił się spokojny, cierpliwy głos fechtmistrza.

– Tak właśnie, bardzo dobrze. Do mnie. Dobrze. Teraz uwaga, przeciw–druga... Nie, proszę powtórzyć. Otóż to. Przeciw–druga. Do drugiej!... Nie, proszę nie zapominać: przechodzimy do drugiej i natychmiast wyzwolenie. Jeszcze raz, jeśli można. Związanie. Do mnie. Kontra–zasłona. Tak jest. Do drugiej! Dobrze. Teraz. Doskonale! Górne w czwartą, znakomicie – w komentarzu don Jaimego znać było szczere zadowolenie autora, podziwiającego własne dzieło. – Przećwiczymy to jeszcze raz, ale teraz proszę uważać. Będę nacierał bardziej stanowczo. Związanie. Do mnie. Dobrze. Kontra–zasłona. Dobrze. O tak. Do drugiej!... Nie. Don Fernando, ruszał się pan powoli, dlatego zdołałem pana trafić. Od początku.

Z ulicy dobiegły odgłosy jakiegoś zajścia. Słysząc było stukot kopyt końskich, pędzących po bruku. Alvarito Salanova i młodszy Cazorla wspięli się na parapet okna.

– Biją się, mistrzu!

Don Jaime przerwał walkę i dołączył do uczniów przy oknie. Na ulicy migotały wojskowe kapelusze i szable. Oddział żandarmerii konnej rozpędzał właśnie grupkę buntowników, którzy rozbiegali się we wszystkich kierunkach. W okolicach Teatru Królewskiego rozległy się dwa strzały. Młodzi szermierze obserwowali incydent z rosnącym przejęciem.

– Ale nawiewają!

– Niezłe lanie!

– O co chodzi?

– Pewnie rewolucja!

– Nic podobnego! – Alvarito Salanova rodowym zwyczajem zmarszczył górną wargę. – Przecież to trzy osoby na krzyż. Żandarmi zaraz im dolożą.

Tuż pod oknem jeden z przechodniów pospiesznie szukał schronienia w bramie. Dwie staruchy w żałobie unosiły głowy niczym złowróźbne ptaki i z ukosa przyglądały się całej scenie. Na balkonach tłoczyli się sąsiedzi. Niektórzy wygrażali buntownikom, inni żandarmom.

– Niech żyje Prim! – krzyczały trzy kobiety podejrzanego autoramentu, bezkarne dzięki płci i czwartemu piętru. – Może wreszcie powieszą Marforiego!

– A kto to jest Marfori? – zapytał Paquito Cazorla.

– Minister – objaśnił brat. – Podobno królowa i on...

Don Jaime uznał, że to już za wiele, i zamknął okiennicę, nie zważając na pomruk niezadowolenia swoich uczniów.

– Jesteśmy tu po to, żeby ćwiczyć szermierkę, kawalerowie – odezwał się tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Ojcowie panów płacą mi, żebym wpoił panom nauki pożyteczne, a nie po to, żebyśmy oglądali sceny, które nas nie dotyczą. Wracamy do naszych spraw – rzucił pełne najwyższej pogardy spojrzenie w stronę zamkniętej okiennicy i pogładził delikatnie ręką floretu. – Nie mamy nic wspólnego z tym, co się tam dzieje. Zostawmy to motłochowi i politykom.

Wrócili na swoje pozycje i w sali znów zabrzmiał metaliczny szczek floretów. Stare panoplie na ścianach niezmiennie pokrywały się kurzem i rdzą. Wystarczyło zamknąć okno, by w domu fechtmistrza czas się zatrzymał.

Dopiero spotkana na schodach dozorczyńni poinformowała go, co zaszło.

– Dzień dobry, don Jaime. I co pan na to wszystko?

– Na co?

Kobieta się przeżegnała. Była starą, gadatliwą i korpulentną wdową, mieszkała z samotną córką. Dwa razy dziennie chodziła na mszę do Świętego Ginesa i utrzymywała, że wszyscy rewolucjoniści to heretycy.

– Nie wierzę, że pan nie ma pojęcia, co się dzieje! Naprawdę pan nie wie?

Jaime Astarloa uniósł brew na znak uprzejmego zainteresowania.

– Słucham pani, dono Roso.

Dozorczyńni ściszyła głos, rozglądając się podejrzliwie, jakby w obawie, że ściany mają uszy.

– Juan Prim wylądował wczoraj w Kadyksie, podobno cała Marynarka się zbuntowała... Tak to odpłacają naszej biednej królowej za jej dobroć!

Nauczyciel szermierki zmierzał ulicą Mayor w stronę Puerta del Sol, kierując się ku kawiarni Progreso. Gdyby nawet dozorczyńni nie zdała mu relacji, i tak wyczułby, że coś poważnego się święci. Podniecone grupki ludzi dyskutowały zawzięcie o ostatnich wydarzeniach, kilkunastu gapiów obserwowało z dala mały oddział, pełniący wartę na rogu ulicy Postas. Nad wygolonymi karkami żołnierzy sterczały czaka, a lufy karabinów jeżyły się bagnietami. Dowódca wartowników, brodaty oficer o groźnym wejrzeniu, przechadzał się tam i z powrotem, trzymając dłoń na rękojeści szabli. Jego rekruci byli bardzo młodzi, a po ich minach widać było, jak ważni się czują, wzbudzając takie zainteresowanie. Jakiś z wyglądu porządny jegomość minął don Jaimego i podszedł do porucznika.

– Wiadomo coś?

Oficer zakolysał się z dufną miną.

– Wykonuję tylko rozkazy przełożonych. Proszę przechodzić.

Odziani w błękitne mundury żandarmi w pełnym majestacie odbierali gazety młodzikom, którzy wcześniej wznosili w tłumie okrzyki. Ogłoszono stan wojenny i objęto cenzurą wszelkie doniesienia związane z powstaniem. Paru kupców, zwabionych niedawnymi zajściami, pozamykało sklepy i dołączyło do grupek gapiów. Na Carretas połyskiwały kapelusze żandarmerii. Ktoś mówił, że González Bravo telegraficznie złożył dymisję na ręce królowej, ktoś inny, że oddziały Prima maszerują już na Madryt.

W Progreso wszyscy byli w komplecie, zaraz też wprowadzili Jaimego Astarloę w całą sytuację. Prim dotarł do Kadyksu wieczorem 18 września, 19 zaś rano flota śródziemnomorska na hasło „Władza w ręce narodu!” ogłosiła, że staje po stronie rewolucji. Pośród powstańców znalazł się także admirał Topete, o którym dotąd sądzono, że jest lojalny wobec królowej. Niedługo potem do rewolty przyłączyły się po kolei garnizony Południe i Wschód.

– Niewiadomą – klarował Antonio Carreño – jest obecnie zachowanie królowej. Jeżeli nie ustąpi, wojna domowa jest pewna. Teraz bowiem, drodzy panowie, nie mamy do czynienia z byle jaką próbą zamachu stanu. Wiem to z dobrych źródeł. Siły Reusa są już pokaźne i rosną z godziny na godzinę. Serrano też już jest w to zamieszany. Spekuluje



się, czy nie powierzyć regencji Baldomerowi Espartero.

– Izabela II nigdy nie abdykuje – rzucił Lucas Rioseco.

– Zobaczymy – odezwał się Agapito Cárceles, najwyraźniej zachwycony rozwojem wypadków. – Na pewno wskazane jest, żeby stawiała opór.

Wszyscy obecni spojrzeli na niego ze zdumieniem.

– Opór? – zaproponował Carreno. – To doprowadzi kraj do wojny domowej.

– Będzie skąpany we krwi – zauważył Marcelino Romero, zadowolony, że zaznaczył swoją obecność.

– Otóż właśnie – skwitował rozpromieniony dziennikarz. – Nie rozumiecie tego panowie? Dla mnie rzecz jest, uważacie, oczywista. Jeśli Izabelcia odejdzie cichaczem, odda się do dyspozycji albo abdykuje na rzecz swojego synalka, na jedno wyjdzie. Między powstańcami jest sporo monarchistów i w rezultacie posadzą nam kolejnego Puigmoltejo, Montpensiera, don Baldomera czy jakiegoś waleta kier. A na to się nie zgodzę. Po to walczyliśmy tyle czasu?

– A gdzież to pan tak walczył? – zakpił don Lucas.

Cárceles spojrział na niego z całą swoją republikańską pogardą.

– W cieniu, drogi panie. W cieniu.

– Ach tak...

Dziennikarz postanowił nie zwracać na don Lucasa uwagi.

– Jak panom mówiłem – zwrócił się do pozostałych – Hiszpanii potrzeba obecnie porządnej, krwawej wojny domowej, pełnej ofiar, z barykadami na ulicach i niezłomnym ludem, wdzierającym się do pałacu królewskiego. Z komitetami ocalenia narodowego, które wywloką na ulice monarchiczne kukły i – zerknął posępnie w stronę don Lucasa – ich lokajów.

To Carreno uznał już za przesadę.

– Hola, don Agapito, zagalopował się pan. W łóżach...

– Łoże gnuśniej, don Antonio.

– Gnuśniej? Łoże?

– Gnuśniej, zapewniam pana. Wprawdzie rewolucję wywołali niezadowoleni generałowie, ale należy doprowadzić do tego, żeby dokończyli jej prawowici bojownicy: lud – twarz płonęła mu w uniesieniu. – Republika, panowie! Rzeczpospolita, ni mniej, ni więcej! No i gilotyna.

Don Lucas aż zawył. Na skutek ataku wściekłości monokl w lewym oku zaszedł mu mgłą.

– Wreszcie zrzucił pan maskę! – krzyknął wycelowawszy w Cárcelesa oskarżycielski palec, drżąc cały ze świętego oburzenia. – Ujawnił pan wreszcie, don Agapito, swoje makiaweliczne oblicze! Wojna domowa! Krew! Gilotyna!... Teraz przemawia pan swoim językiem!

Dziennikarz spojrział na sąsiada z wyrazem szczerzego zdumienia.

– O ile wiem, nigdy nie używałem innego.

Don Lucas już–już miał wstać, ale się rozmyślił. Tego wieczoru stawiał Jaime Astarloa, a kawy były już w drodze.

– Pan jest gorszy niż Robespierre, panie Cárceles! – wymamrotał zduszonym głosem. – Gorszy niż ten bezbożnik Danton!

– Ależ, przyjacielu, co ma piernik do wiatraka?

– Nie jestem pańskim przyjacielem! Ludzie pańskiego pokroju skazali Hiszpanię na pohańbienie!

– Nie umie pan przegrywać, don Lucas.

– Jeszcześmy nie przegrali! Królowa mianowała premierem generała Conche, chłopca na schwał. Dowodzenie wojskiem powierzyła właśnie Pavii, a ten stawia czoło rebeliantom. I chyba nie zaprzeczy pan, że markiz de Novaliches nieraz potwierdził swoje męstwo... Więc nie chwal pan dnia przed zachodem słońca, don Agapito.

– Zobaczymy.

– Jasne, że zobaczymy!

– Właśnie widzimy.

– Przywidziało się panu!

Znudzony niekończącą się kłótnią Jaime Astarloa pożegnał się wcześniej niż zwykle. Wziął laskę i cylinder, powiedział „do jutra” i wyszedł na zewnątrz, chcąc odbyć krótki spacer przed powrotem do domu. Z pewną odrazą spoglądał na rozgorączkowanych ludzi na ulicy, czuł z tym wszystkim ledwie powierzchowny związek. Zaczynał mieć już dosyć sporów Cárcelesa z don Lucasem, podobnie zresztą jak życia w tym kraju.

W rozdrażnieniu przyszło mu do głowy, że mogliby się powiesić razem ze swoimi przekłętymi republikami i nie mniej przekłętymi monarchiami, z patriotycznymi filipikami i głupimi kłótniami przy kawie. Wiele dałby, żeby jedni i drudzy przestali zatruwać mu życie wrzawą, sporami i wyskokami, których motywy obchodziły go tyle, co zwiędłe liście. Pragnął jednego: żeby pozwolili mu żyć w spokoju. Z punktu widzenia

fechtmistrza cała reszta mogła spokojnie iść do diabła.

W oddali rozległ się grzmot, a na ulice spadła gwałtowna ulewa. Don Jaime pochylił głowę, nacisnął mocniej kapelusz i przyspieszył kroku. Kilka chwil później lało już jak z cebra.

Na rogu ulicy Postas błękitne mundury nasiąkały deszczem, a po twarzach żołnierzy spływały grube krople. Dalej stali na posterunku z zahukanymi, tępymi minami, przyciskając się do ściany w nadziei, że schronią się przed wodą, a krople padające na bagnety spryskiwały im nosy. Porucznik w milczeniu obserwował z bramy strugi deszczu, pykając fajkę, którą trzymał w kąciку ust.

Do końca tygodnia nie przestało lać. Don Jaime siedział sam przy lampie naftowej w gabinecie, pochyłony nad kartami książki, i wsłuchiwał się w nieustającą serię grzmotów. Błyskawice raz po raz rozcinały czernią nocy, wydobywając z mroku kontury okolicznych domostw. Ulewa bębniła o dach z furią tak dziką, że zaczęło przeciekać z sufitu z denerwującą, płynną monotonią, aż kilkakrotnie musiał wstawać i podsuwać miednice.

Przerzucał w roztargnieniu kartki książki, gdy nagle jego wzrok spoczął na słowach, które sam przed laty podkreślił ołówkiem:

„... Czucia wszystkie rosły w jego duszy do potęgi mu nieznanej, do wyżyn nietkniętych dotąd stopą. Przeżył niezmiernie barwne życie, zmarł i powstał z martwych, miłował z ogromną namiętnością i oddzielała go od ukochanej wieczność czarna. Na koniec, gdy świtać poczęło, gdy poświata ranna padła na ziemię, uciszyło się w jego duszy, jaśniejsze i mniej migotliwe stały się obrazy...”<sup>4</sup>.

Fechtistrz uśmiechnął się z bezbrzeżnym smutkiem, wciąż trzymając palec na podkreślonych liniijkach. Na słowach, które napisano jakby z myślą nie o Henryku Offerdingenie, ale o nim samym. Od kilku lat widział na tej stronie swój mistrzowsko odmalowany portret. Wszystko pasowało jak ulał. Bez wątpienia miał przed sobą najtrafniejsze podsumowanie własnego życia. A jednak ostatnie tygodnie spowodowały, że czegoś zaczynało brakować. Narastający spokój i owe obrazy wyraziste i mniej ulotne, które, jak sądził, zagościły w jego wnętrzu na stałe i towarzyszyć mu miały do końca jego dni, naraz poczęły nieubłaganie ustępować pod naporem czegoś dziwnego, co mąciło mu dotychczasową pogodną jasność umysłu. Jego życie zakłócał teraz jakiś nowy, tajemniczy czynnik, pod którego wpływem musiał stawiać sobie pytania, choć odpowiedzi na nie wciąż od siebie odpychał. I nie sposób było przewidzieć, dokąd to wszystko miało go zaprowadzić.

Zamknął gwałtownie książkę i rzucił ją na stół. Z wolna docierał do niego chłód samotności. Fiolkowe oczy wykorzystały go w celu, którego w żaden sposób nie potrafił sobie uzmysłowić, a który mimo to napawał go jakąś mroczną, irracjonalną obawą. Najgorsze zaś ze wszystkiego było to, że zmacony został spokój jego starej, zmęczonej duszy.

---

<sup>4</sup> Novalis, *Henryk Offerdingen*, przeł. Franciszek Mirandola

Zbudził się z pierwszymi promieniami świtu. Źle sypiał ostatnio, snem niespokojnym i posepnym. Założył bieliznę, następnie rozłożył neseter z brzytwami na stoliku koło lusterka i miednicy z ciepłą wodą. Starannie namydlił policzki i golił zarost pieczołowicie, jak to miał w zwyczaju. Starymi nożyczkami ze srebra przystrzygł lekko wąsy, uczesał siwiznę szylkretowym grzebieniem i, zadowolony z efektu, ubrał się skromnie, choć porządnie: zawiązał pod szyją jedwabny krawat, a spośród trzech ubiorów na lato wybrał strój dzienny z lekkiej alpaki w kolorze brązowym. W niemodnym już surducie wyglądał jak dystyngowany, stary dandys z początku wieku. Nogawki spodni były już oczywiście znacznie wysłużone, ale poły surduta skutecznie zasłaniały te braki. Fechtmistrz wybrał też chustkę w najbardziej zadowalającym stanie, kapnął do niej wody kolońskiej i umieścił w kieszonce. Wychodząc z domu, zabrał jeszcze cylinder, a pod pachę wsunął futerał z floretami.

Dzień był szary, znów zanosilo się na deszcz. W nocy też zdążyło już padać i teraz w wielkich kałużach na środku drogi odbijały się okapy dachów i ponure, ołowiane niebo. Don Jaime przywitał się uprzejmie z dozorczynią wracającą z koszykiem pełnym zakupów i przeszedł przez ulicę, żeby w skromnej narożnej kafejce zjeść swoje zwyczajowe śniadanie, złożone z czekolady i małych pączków. Usiadł przy swoim stoliku w głębi sali, pod szklaną kulą, osłaniającą wygaszoną teraz lampę gazową. Dochodziła dziewiąta i w kawiarni jeszcze prawie nikogo nie było. Valentín, właściciel, przyniósł mu filiżankę i tackę z pączkami.

– Nie ma dzisiaj gazet, don Jaime. Wychodzi na to, że się nie ukazały. I śmiem twierdzić, że się nie ukażą.

Nauczyciel szermierki wzruszył ramionami. Brak prasy codziennej nie przeszkadzał mu w żadnym stopniu.

– Co nowego? – spytał bardziej przez grzeczność niż z rzeczywistej ciekawości.

Szef kafejki wytarł ręce w wytłuszczony fartuch.

– Zdaje się, że markiz de Novaliches stoi z wojskiem w Andaluzji i lada chwila uderzy na powstańców... Podobno Kordowa, która też podniosła bunt razem z innymi miastami, teraz to odwołała, jak tylko zobaczyła czubek nosa oddziałów rządowych. Sytuacja jest niejasna, don Jaime. Ciekawym, jak to się wszystko skończy.

Po śniadaniu fechtmistrz wyszedł znów na ulicę i udał się do pałacu markiza de los Alumbres. Nie był pewien, w związku z nastrojami panującymi w Madrycie Luis de Ayala zechce pobrać kolejną lekcję szermierki, ale on sam jak zwykle gotów był w pełni dotrzymać swojej części umowy. W najgorszym razie odbędzie spacer na próżno. Z uwagi na późną porę nie chciał, żeby zatrzymały go po drodze jakieś nieprzewidziane wypadki uliczne, wskoczył więc do fiakra, czekającego pod arkadami placu Mayor.

– Do pałacu Villaflores.

Dorożkarz trzasnął z bicza, dwie leniwe chabety bez szczególnego zapалу ruszyły z

miejsca. Młodzi żołnierze dalej stali na rogu ulicy Postas, choć po poruczniku nie zostało ani śladu. Przed budynkiem Poczty Głównej straż miejska bez przekonania rozpraszała grupki gapiów. Strażnicy nie mieli pojęcia, kto nazajutrz będzie rządził krajem, obawiali się zwolnień, które wisiały im nad głową niczym miecz Damoklesa, nie dziwnego więc, że nie czuli się pewnie.

Na ulicy Carretas już nie było widać żandarmerii konnej. Ich trójgraniaste kapelusze i płaszcze Jaime Astarloa napotkał nieco dalej – patrolowali obszar od Kongresu po fontannę Neptuna. Czarne wąsiki mieli podniesione, szable pochowali do futerałów. Ci z kolei obserwowali przechodniów groźnym okiem, przekonani, że ktokolwiek wygra obecny konflikt, i tak od nich zależeć będzie utrzymanie porządku publicznego. Wszyscy doświadczyli tego pod rządami zarówno progresistów, jak i moderantystów – Gwardia nigdy nie próżnowała.

Oparty o siedzenie fiakra don Jaime spoglądał na mijane widoki obojętnym wzrokiem. Jednak gdy docierali już do pałacu Villaflores, wzdrygnął się i zaniepokojony przysunął twarz do szyby. Przed domem markiza de los Alumbres panowało niezwykle ożywienie. Na ulicy zgromadziła się ponad setka ludzi, którym kilku żandarmów broniło dostępu na teren posiadłości. W tłumie przeważali najbliżsi sąsiedzi, z różnych sfer społecznych, resztę stanowili liczni gapie, łączący ostatnio tu i tam bez celu. Paru wścibskich śmiałków wspięło się na ogrodzenie, skąd mieli lepszy widok na ogród. Korzystając ze zbiegowiska, pośród zatrzymanych powozów pojawili się też wędrowni sprzedawcy i zachwalali donośnie swoje towary.

Pelen niedobrych przeczuć Astarloa zapłacił dorożkarzowi i pospiesznie, torując sobie drogę przez tłum, podszedł do bramy. Powodowani niezdrową sensacją gapie przepychali się jeden przez drugiego, chcąc zobaczyć jak najwięcej.

– Coś okropnego. Okropnego – mamrotały kumoszki i raz za razem czyniły znak krzyża.

Jakiś siwiejący człowiek z laską i w surducie wspiał się na palce, żeby lepiej zorientować się w sytuacji. Uwieszona u jego łokcia żona wpatrywała się w niego wyczekująco, w nadziei na rychłe sprawozdanie.

– Widzisz coś, Paco?

Jedna z kobiet wachlowała się z miną dobrze poinformowanej osoby.

– To było w nocy, tak mówił mi jeden żandarm, kuzyn mojej szwagierki. Sędzia już przyjechał.

– Co za tragedia! – wzdychał ktoś.

– Wiadomo, jak to się stało?

– Rano znaleźli go służący...

– Podobno był trochę postrzelony...

– Oszczerstwa! Był porządnym kawalerem, i do tego liberałem. Nie pamiętacie, że odmówił stanowiska ministra?

Kobieta z wachlarzem znów odezwała się ze smutkiem:

– Tragedia! A tak mu dobrze z oczu patrzyło!

Zmartwiały don Jaime dotarł wreszcie do jednego ze strażników w wiśniowym uniformie. Ten zastąpił mu zdecydowanie drogę, mocny powagą munduru.

– Nie ma przejścia!

Fechtmistrz niezdarnie pokazał futerał z floretami, który miał pod pachą.

– Jestem przyjacielem pana markiza. Jesteśmy umówieni na rano...

Strażnik, pomiarkowawszy się nieco na widok dystygowanej osoby, zlustrował go wzrokiem od stóp do głów, po czym odwrócił się do kolegi, stojącego po drugiej stronie ogrodzenia:

– Kapralu Martínez, ten pan jest podobno przyjacielem domu. Zdaje się, że był umówiony.

Kapral Martínez, świecąc złotymi guzikami na opasłym brzuchu, popatrzył na nauczyciela szermierki podejrzliwie.

– Jak pańska godność?

– Jaime Astarloa. Jestem umówiony z don Luisem de Ayala o dziesiątej.

Kapral skinął poważnie głową i uchylił skrzydło bramy.

– Zechce pan pójść za mną.

Mistrz floretu udał się za strażnikiem zwirowaną alejką, w znajomym cieniu wierzb. Przy wejściu do pałacu znajdowało się więcej gwardzistów, a w przedpokoju, u stóp schodów ozdobionych marmurowymi posążkami i wazonami, stało kilku mężczyzn pogrążonych w rozmowie.

– Zechce pan zaczekać.

Kapral podszedł do grupki rozmawiających i wyprostowany zamienił parę słów z niskim, wytwornym mężczyzną o nastroszonych, czernionych wąsikach i w peruczce na łysej czaszce. Osobnik nosił się z nieco prostacką przesadą, miał binokle o niebieskich szkiełkach, uwieszone na tasiemce u wyłogów surduta. Przez butonierkę można było dostrzec krzyż, przyznany za jakieś zasługi obywatelskie. Mężczyzna wysłuchał kaprała, spojrział na nowo przybyłego, mruknął coś do swoich towarzyszy i podszedł do don Jaimego. Zza szkieł widać było błysk wodnistych, przebiegłych oczu.

– Jestem naczelnikiem policji, Jenaro Campillo. Z kim mam zaszczyt?

– Jaime Astarloa, profesor szermierki. Don Luis i ja zawsze...

Tamten przerwał mu machnięciem ręki.

– Wszystko wiem – przypatrywał mu się z uwagą, jakby szacował swojego rozmówcę. Następnie zatrzymał wzrok na futerał z floretami, które don Jaime nadal miał pod pachą, i wskazał go palcem. – To pańskie instrumenta?

Fechtmistrz skinął głową.

– To moje florety. Jak wspominałem, don Luis i ja... To znaczy, każdego ranka tu przychodzi – Jaime Astarloa przerwał i spojrzał osłupiałym wzrokiem na policjanta. Absurdalnie zdał sobie sprawę, że dopiero teraz naprawdę zaczęło docierać do niego, co mogło się tu zdarzyć, jakby wcześniej zacięty umysł nie chciał dopuścić oczywistych sygnałów. – Coś się stało panu markizowi?

Naczelnik policji spojrzał na niego zamyślony, jakby się zastanawiał, do jakiego stopnia szczerą są emocje malujące się na oszłomionej twarzy mistrza szermierki. Po chwili odkaszlnął i sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął hawańskie cygaro.

– Poważnie się obawiam, panie Astarloa... – zaczął oględnie, nakluwając jednocześnie wykalczką jeden koniec cygara. – Poważnie się obawiam, że markiz de los Alumbres nie będzie dziś w stanie zajmować się szermierką. Z punktu widzenia medycyny sądowej powiedziałbym, że nie miewa się najlepiej.

Mówiąc to gestem dłoni zaprosił don Jaimego, by udał się z nim na pokoje. Fechtmistrzowi zamarł dech w piersiach, gdy wchodzili do maleńkiej salki, którą tak doskonale znał: to tu pojawiał się niemal codziennie od dwóch lat. Salka przylegała do galerii, gdzie z markizem ćwiczyli fechtunek. Na parkiecie w przejściu łączącym obydwie pomieszczenia leżało nieruchome ciało, przykryte kapą. Widać było długi ciemnoczerwony ślad, który rozdzielił się na środku pokoju, by na końcu stworzyć kałuże zaschniętej krwi.

Jaime Astarloa upuścił futerał z floretami na krzesło i chwycił się oparcia. Na twarzy malowało mu się zupełne osłupienie. Popatrzył na policjanta, jakby to wszystko było jakimś wysoce niesmacznym żartem, który wymaga natychmiastowych wyjaśnień – ale tamten tylko wzruszył ramionami, zapalił zapalkę i zaciągnął się cygarem, cały czas nie spuszczać oka z jego twarzy.

– Nie żyje? – spytał don Jaime. Zabrzmiało to tak idiotycznie, że naczelnik uniósł ironicznie jedną brew.

– Zupełnie.

Fechtmistrz przelknął ślinę.

– Samobójstwo?

– Proszę sprawdzić samemu. Po prawdzie chciałbym poznać pańską opinię w tej sprawie.

Jenaro Campillo wypuścił z ust chmurę dymu, pochylił się nad trupem i odsłonił go aż do pasa, po czym wycofał się i obserwował wrażenie, jakie scena ta wywiera na Jaimem Astarloi. Na twarzy Luisa de Ayala pozostał ten sam wyraz, z jakim zaskoczyła go śmierć: markiz leżał twarzą do góry, prawą nogę miał zgiętą, na niej spoczywała noga lewa. Wpółotwarte oczy zasnuwała mgielka, dolna zaś warga jakby zwisała, co było bez wątplenia śladem ostatniego grymasu agonii. Miał na sobie koszulę i prawie całkiem rozwiązany krawat. Po prawej stronie szyi widniał idealnie okrągły otwór, który kończył się z tyłu na karku. Stąd właśnie wyciekł na podłogę strumień krwi.

Jaime Astarloa czuł się jak w jakimś złym śnie, z którego pragnął się jak najszybciej obudzić. Patrzył na trupa niezdolny do sformułowania jakiegokolwiek spójnej myśli. Wszystko – pokój, sztywne ciało, plamy krwi – zaczęło wirować. Czuł, że nogi mu wiotczeją, zaczerpnął głęboko powietrza, nie śmiać ani na moment puścić oparcia, którego się kurczowo uchwycił. Kiedy wreszcie zapanował nad swoim organizmem i zdołał zebrać myśli, pojął wreszcie, co tu zaszło. Poczul nagły ból, jakby otrzymał cios w samą duszę. Popatrzył przerażonym wzrokiem na policjanta, który zmarszczył brwi i spojrzeniem dyskretnie zachęcił go do wyrażenia na głos tego, co odczytywał w jego twarzy. Profesor szermierki pochylił się nad trupem i sięgnął ręką ku ranie, jakby chciał jej dotknąć palcami, ale dłoń zawisła mu kilka cali wcześniej. Po chwili się otrząsnął, ale twarz wciąż miał osłupiałą, a oczy szeroko wytrzeszczone ze zdumienia. Oto miał przed sobą autentyczny koszmar. Ta rana nie mogła zmylić specjalisty. Luisa de Ayala zabito floretem za pomocą jednego, czystego pchnięcia w tętnicę szyjną: pchnięcia za dwieście eskudów.

– Byłbym panu wdzięczny, panie Astarloa, gdyby mógł mi pan powiedzieć, kiedy ostatni raz widział pan markiza de los Alumbres.

Siedzieli w sali przylegającej do pokoiku z trupem, w otoczeniu flamandzkich gobelinów i pięknych luster weneckich w złożonych ramach. Fechtmistrz wyglądał, jakby się postarzał o dziesięć lat: pochylony, oparty łokciami o kolana, objął twarz dłońmi, a szare, nieruchome oczy bez wyrazu wbil w podłogę. Słowa wypowiedziane przez naczelnika policji dobiegały go z oddali, przytłumione, jak spoza krawędzi złego snu.

– W piątek rano – nawet dźwięk własnego głosu brzmiał mu w uszach obco. – Rozstaliśmy się nieco po jedenastej, po lekcji szermierki...

Jenaro Campillo wpatrywał się przez chwilę w popiół cygara, jak gdyby bardziej obchodziło go prawidłowe spalanie liści tytoniu niż cała ta przykra sprawa.

– Pamięta pan może jakiś znak? Coś, co pozwalałoby przewidzieć tak fatalny finał?

– Zupełnie nic. Wszystko przebiegało normalnie, pożegnaliśmy się jak co dzień.

Popiół lada chwila mógł spaść. Trzymając ostrożnie cygaro palcami, naczelnik policji



rozejrzał się w daremnym poszukiwaniu popielniczki. Skierował więc ukradkowe spojrzenie w stronę drzwi pokoju, w którym spoczywał zamordowany, i jednocześnie dyskretnie strzepnął popiół na dywan.

– Odwiedzał pan, hm, nieboszczyka dosyć często. Przypuszcza pan może, jaki był motyw zabójstwa?

Don Jaime wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może chodziło o kradzież...

Jego rozmówca zaciągnął się głęboko cygarem i pokiwał przecząco głową.

– Już przesłuchano obydwójce służących, stangreta, kucharkę i ogrodnika. Wizja lokalna wykazała, że nie brak żadnego wartościowego przedmiotu – tu policjant przerwał, Jaime Astarloa tymczasem, niezbyt zainteresowany jego słowami, usiłował zebrać własne myśli. Był w duchu przekonany, że posiada pewne klucze do tajemnicy. Pytanie tylko, czy przekazać je temu człowiekowi, czy może najpierw spróbować powiązać ze sobą niektóre luźne końce?

– Słucha mnie pan, panie Astarloa?

Fechtmistrz aż podskoczył i zarumienił się, jak gdyby naczelnik policji potrafił czytać w jego myślach.

– Oczywiście – odparł z niejakim pośpiechem. – To by wykluczało kradzież jako motyw zbrodni...

Policjant wsunął lekko palec pod perukę i delikatnie podrapał się nad lewym uchem. Na jego twarzy malowała się pewna rezerwa.

– Częściowo, panie Astarloa. Tylko częściowo. Przynajmniej w kwestii tak zwanej kradzieży konwencjonalnej – uściślił. – Wizja lokalna... Wie pan, o co mi chodzi?

– Przypuszczam, że chodzi o badanie, którego dokonuje się na miejscu za pomocą oczu.

– Bardzo zabawne, słowo daję – Jenaro Campillo popatrzył na niego ze złością. – Winszuję panu poczucia humoru w tych okolicznościach. Ludzie giną zamordowani, a pan serwuje dowcipy.

– Pan też.

– Owszem, ale ja jestem kompetentnym organem.

Przez moment wpatrywali się w siebie w ciszy.

– Wizja lokalna – policjant podjął wreszcie przerwany wątek – wykazuje, że nieznanymi człowiek bądź kilkoro ludzi weszło w nocy do prywatnego gabinetu markiza i spędziło jakiś czas na wyważaniu zamków i wywracaniu szkatulek. Otwarli również sejf, tym

razem za pomocą klucza. Bardzo porządną szafę pancerną, londyńskiej firmy Bossom i Syn... Nie zapyta mnie pan, czy czegoś nie zabrali?

– Sądziłem, że to pan stawia pytania.

– Tak się przyjęło, ale nie ma reguły.

– Zabrali coś?

Naczelnik policji uśmiechnął się zagadkowo, jakby jego rozmówca właśnie wsadził palec w ogień.

– I to jest właśnie ciekawe. Morderca lub też mordercy ze stoickim spokojem powstrzymali się przed kradzieżą zgrabnej sumki pieniędzy i garści biżuterii. Szczególni przestępcy, zgodzi się pan ze mną, prawda?... – zaciągnął się głęboko cygarem, po czym wypuścił chmurę dymu, zadowolony z aromatu i własnego rozumowania. – Podsumowując, nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy coś zabrali, bo nie wiemy, co się tam jeszcze znajdowało. Nie mamy nawet pewności, czy znaleźli to, czego szukali.

Don Jaimego przeszedł dreszcz, który starał się ukryć przed policjantem. On za to miał wystarczająco dużo powodów, by sądzić, że mordercy nie znaleźli tego, czego szukali: bez wątplenia pewnej zalakowanej koperty, która znajdowała się u niego w domu, ukryta za książkami... Umysł pracował mu na pełnych obrotach. Don Jaime usiłował umieścić każdy z rozproszonych elementów we właściwym miejscu tragicznej lamigłówni. Sytuacje, słowa, czyny, które w ostatnich czasach następowały po sobie bez widocznego związku, teraz zaczynały powoli i nieubłaganie pasować do siebie, i to w tak okrutnie oczywisty sposób, że zdjął go lęk. Nie ogarniał jeszcze tego wszystkiego w całości, ale na podstawie paru wskazówek domyślał się już, jaką rolę przyszło mu pełnić w tej sprawie. Świadomości tej towarzyszyły smutek, upokorzenie i trwoga.

Naczelnik policji patrzył na niego wyczekująco. Spodziewał się odpowiedzi na pytanie, którego pograżony w rozmyślaniach don Jaime nie dosłyszał.

– Słucham?

Jego rozmówca patrzył nań zza niebieskich binokli wodnistymi, wylupiastymi oczyma niby ryba z akwarium. Spojrzeniu towarzyszyło coś w rodzaju przyjaznej dobroćliwości, choć trudno było określić, czy wynikała ona z przyczyn naturalnych, czy może wprost przeciwnie, chodziło tu o profesjonalny zabieg, mający wzbudzić zaufanie. Po chwili zastanowienia don Jaime uznał, że pomimo nieszczęśliwego wyglądu i sposobu bycia Jenaro Campillo nie należy do głupców.

– Pytałem pana, czy przypomina pan sobie z przeszłości jakiś szczegół, który pomógłby mi w dalszym śledztwie.

– Obawiam się, że nie.

– Naprawdę?

– Nie bawię się w słowną ciuciubabkę, panie Campillo.

Tamten wykonał pojednawczy gest.

– Mogę być z panem szczerzy, panie Astarloa?

– Będę panu zobowiązany.

– Jak na kogoś, kto pozostawał w częstym kontakcie ze zmarłym, niewiele mi pan pomaga.

– Inne osoby też często się z nim spotykały, a sam pan dopiero co przyznał, że ich zeznania też niewiele panu dały... Nie rozumiem, czemu przykłada pan taką wagę akurat do moich słów.

Campillo z uśmiechem zapatrzył się w dym.

– Prawdę mówiąc, sam nie wiem – odczekał chwilę w zamyśleniu. – Może dlatego, że ma pan wygląd... godny. Tak, chyba dlatego.

– Jestem prostym nauczycielem fechtunku – odparł don Jaime wymijająco, starając się, aby jego głos zabrzmiał z należytą obojętnością. – Nasze stosunki miały charakter czysto zawodowy, nigdy nie dostąpiłem zaszczytu, żeby stać się powiernikiem don Luisa.

– Widział się pan z nim w ostatni piątek. Był może zdenerwowany, niespokojny?... Dostrzegł pan może w jego zachowaniu coś nietypowego?

– Nic, co zwróciłoby moją uwagę.

– A w dniach poprzedzających?

– Nie jestem pewien, chyba nie. Raczej sobie nie przypominam. Nawiasem mówiąc, wielu ludziom puszczały ostatnio nerwy, zważywszy nasze niespokojne czasy, więc tym bardziej trudno coś szczególnego zauważyć.

– Jakież rozmowy na tematy polityczne?

– Według mnie don Luis trzymał się z dala od polityki. Mawiał, że lubi przyglądać się jej z dystansu, dla rozrywki.

Na twarzy naczelnika policji pojawił się wyraz powątpiewania.

– Rozrywki? Hm, taaak... Cóż, jak pan zapewne wie, zmarły markiz pełnił ważną funkcję w kancelarii rządu. Powołał go na nią minister, zresztą jego własny wuj, Joaquín Vallespín, świeć, Panie, nad jego duszą – Campillo uśmiechnął się sarkastycznie, dając do zrozumienia, że ma wyrobiony pogląd o nepotyzmie hiszpańskiej arystokracji. – Było, minęło, ale wrogów mógł sobie napytać... Ja sam jestem tu dobrym przykładem. Vallespín, będąc ministrem, pół roku blokował mój awans na komisarza – na to wspomnienie aż cmoknął. – Życie jest pełne niespodzianek!

– Możliwe. Nie sędzę jednak, bym mógł panu pomóc w rozstrzygnięciu tej kwestii.

Cygaro się skończyło. Campillo trzymał w palcach niedopalek nie wiedząc, gdzie go odłożyć.

– Jest też inny punkt widzenia na sprawę, może nieco bardziej frywolny – zdecydował się wreszcie wrzucić resztkę cygara do chińskiego wazonu. – Markiz miał niemalą skłonność do płci przeciwnej... Rozumie pan, do czego zmierzam. Może jakiś zazdrosny mąż... Wie pan. Splamiony honor i tak dalej.

Fechtmistrz zamrugał oczami. Byłoby to, jego zdaniem, wyjaśnienie w najgorszym guście.

– Boję się, panie Campillo, że i tutaj nie będę mógł być panu pomocny. Powiem panu tylko, że wedle mego rozeznania Luis de Ayala był dżentelmenem w każdym calu – spojrzal w wodniste oczy naczelnika policji, następnie przeniósł wzrok wyżej, na nieco przekrzywioną peruczkę. Nabral więcej śmiałości, do tego stopnia, że dalsze słowa wypowiedział głośniejszym, trochę nawet wyzywającym tonem. – Z drugiej strony mam wrażenie, że sam także zasługuję na podobną opinię z pańskiej strony i wystrzegalbym się paskudnych plotek w tej sprawie.

Jego zakłopotany rozmówca z miejsca poprosił o wybaczenie, dyskretnie poprawiając końcami palców perukę na głowie. Rzecz oczywista. Nie należy rozumieć jego słów opacznie. To czysta formalność. Jakżeby śmiał insynuować...

Don Jaime ledwie go słuchał. W duchu toczył ostrą walkę z samym sobą – bądź co bądź świadomie ukrywał cenne informacje, które być może wyjaśniłyby motyw tragedii. Pojął, że usiłuje ochronić kogoś, czyj niepokojący obraz natychmiast stanął mu przed oczami, kiedy tylko ujrzał na podłodze trupa. Ochronić? Jeśli jego domysły szły właściwym tropem, w grę wchodziła nie ochrona, ale przemożna chęć ukrycia tej osoby. Taki postępek pozostawał w niezgodzie nie tylko z prawem, lecz przede wszystkim z zasadami moralnymi, jakie stanowiły treść jego własnego życia. W każdym razie nie należało się spieszyć. Analiza sytuacji wymaga czasu.

Campillo przyglądał mu się teraz uważnie, marszcząc lekko brwi i bębniąc palcami w oparcie fotela. W tym momencie don Jaime zdał sobie sprawę, że w oczach wymiaru sprawiedliwości sam też należy do grona podejrzanych. Ostatecznie don Luisa de Ayala zabito floretem.

I wówczas naczelnik policji wypowiedział słowa, których fechtmistrz obawiał się od początku rozmowy:

– Zna pan niejaką Adelę de Otero?

Serce starego nauczyciela szermierki zamarło na mgnienie, po czym zaczęło walić ze zdwojoną siłą. Zanim odpowiedział, musiał przelknąć ślinę.

– Tak – rzekł z całą zimną krwią, na jaką było go stać. – Pobierała u mnie lekcje.

Campillo pochylił się ku niemu z żywym zainteresowaniem.

– Nie miałem pojęcia. Już nie pobiera?

– Nie. Zrezygnowała z moich usług parę tygodni temu.

– Ile dokładnie?

– Nie wiem, jakieś półtora miesiąca.

– Dlaczego?

– Nie wiem niestety.

Naczelnik policji oparł się znów w fotelu i spoglądając na don Jaimego w głębokim zamyśleniu, wyciągnął z kieszeni nowe cygaro. Tym razem nie nakłuwał go wykałaczką, ograniczając się do beznamiętnego przygryzania końcówki.

– Wiedział pan o jej... przyjaźni z markizem?

Mistrz fechtunku skinął głową.

– Bardzo pobieżnie – wyjaśnił. – O ile wiem, ich zażyłość datuje się od czasu, gdy nie uczęszczała już do mnie na zajęcia. Nie... – zawahał się, zanim dokończył zdanie – nie widziałem jej od tamtej pory.

Campillo zapalił cygaro. Towarzyszyła temu ogromna chmura dymu, której woń Jaime Astarloa uznał za szczególnie przykrą. Na jego czole pojawiły się kropelki potu.

– Przesłuchaliśmy służących – odezwał się po chwili policjant. – Dzięki temu wiemy, że pani de Otero odwiedzała ten dom regularnie. Wszyscy zgodnie twierdzą, że zmarły i ona utrzymywali stosunki, hm, intymne.

Don Jaime wytrzymał spojrzenie swojego rozmówcy, jakby to wszystko zupełnie go nie dotyczyło.

– A więc? – starał się odezwać tonem niezobowiązującym.

Naczelnik policji uśmiechnął się leciutko i przesunął palcem po czernionych wąsikach.

– O dziesiątej wieczorem – zaczął tłumaczyć ściszym głosem, jakby trup w pokoju obok mógł ich usłyszeć – markiz zwolnił służbę na spoczynek. Wiemy, że miał zwyczaj tak robić, gdy spodziewał się wizyty, nazwijmy to, sercowej. Służący udali się do swojego domku, znajdującego się po drugiej stronie ogrodu. Nie słyszeli niczego podejrzanego, jedynie deszcz i pioruny. Dzisiaj rano około siódmej, wszedłszy do domu, znaleźli ciało swojego pana. Po drugiej stronie pokoju znajdował się floret ze śladami krwi na głowni. Markiz był chłodny i sztywny, leżał martwy od paru godzin. Można powiedzieć, zimne nóżki.

Fechtmistrz aż się wzdrygnął. Obce mu było makabryczne poczucie humoru naczelnika policji.

– Znają panowie tożsamość gościa?

Campillo cmoknął wyraźnie rozczarowany.

– Nie. Możemy się tylko domyślać, że osoba ta dostała się tu przez tajemne drzwi, wychodzące z tyłu pałacu na ślepy zaułek, którego markiz często używał jako wozowni... Nawiasem mówiąc, całkiem niezłej wozowni: pięć koni, berlinka, powóz, brek, faetón, angielski stangret... – tu westchnął z melancholią, jakby chciał dać do zrozumienia, że jego zdaniem markiz niczego sobie nie odmawiał. – Ale, wracając do naszych spraw, przyznaję, że nie sposób stwierdzić, czy morderca był mężczyzną, czy kobietą, czy działał w pojedynkę, czy w grupie. Nie ma najmniejszego śladu, choć lało jak z cebra.

– Trudna sytuacja, jak widzę.

– Zgadza się. Trudna i niewygodna. Cała ta zawierucha polityczna, kraj stoi na pograniczu wojny domowej i w ogóle, podejrzewam więc, że dochodzenie będzie niezwykle pracochłonne. Morderstwo markiza to naprawdę błahostka w momencie, gdy gra toczy się o tron, tak czy nie?... Sam pan widzi, zabójca wybrał najwłaściwszą porę – Campillo wypuścił kłęb dymu i popatrzył z uznaniem na cygaro. Marki Vuelta Abajo, jak zauważył don Jaime, ten sam typ palił Luis de Ayala. Nie ulegało wątpliwości, że w toku śledztwa kompetentny organ skorzystał z okazji i zanurzył dłoń w cygarnicy zmarłego. – Ale, jeśli pan pozwoli, wróćmy do szanownej Adeli de Otero. Nawet nie wiemy, czy jest panią, czy panną... Może pan zna ten szczegół?

– Nie. Zawsze mówiłem do niej per pani, a ona mnie nie poprawiała.

– Słyszałem, że jest ładna. Kobieta jak się patrzy.

– Uważam, że ludzie pewnego pokroju mogliby ją w ten sposób określić.

Naczelnik policji przymknął oczy na tę aluzję.

– I, jak widać, do tego płocha. Ta historia z pojedynkiem...

Campillo mrugnął porozumiewawczo i tu Jaime Astarloa uznał, że dłużej tego nie zniesie. Wstał.

– Już panu mówiłem, że bardzo niewiele wiem o tej damie – rzekł oschle. – W każdym razie, skoro tak to pana interesuje, może pan ją zapytać osobiście. Mieszka przy ulicy Riaño pod numerem czternastym.

Naczelnik policji nawet nie drgnął i fechtmistrz pojął w tym momencie, że coś gdzieś było nie w porządku. Campillo spoglądał na niego z fotela, dzierżąc cygaro w palcach. Zza binokli jego rybie oczy połyskiwały ze złośliwą ironią, jakby wszystko to było w sumie nadzwyczaj zabawne.

– Naturalnie – sytuacja go upajała, widać było, że nie może się nacieszyć kawalem, który zachował na sam koniec. – Oczywiście, panie Astarloa, skąd pan mógł to wiedzieć. Nie mógł pan tego wiedzieć, bo jak... Pańska eksuczennica, doña Adela de Otero, zniknęła z domu. Czy to nie niezwykły zbieg okoliczności?... Ktoś zabija markiza, a ona, uważa pan, znika bez śladu. Jakby zapadła się pod ziemię.

## Rozdział szósty

### Wyzwolenie wymuszone

*Wyzwolenie wymuszone to wyzwolenie, dzięki któremu nasz przeciwnik zdobywa przewagę.*

Zakończywszy czynności służbowe, naczelnik policji odprowadził don Jaimego do bramy i umówił go na spotkanie w swoim gabinecie w gmachu rządu na następny dzień. „O ile wydarzenia nie przeszkodzą” – dodał nawiązując do krytycznych chwil, w jakich znajdowało się państwo. Towarzyszył temu pełen rezygnacji uśmiech. Fechtmistrz szedł pogrążony w ponurych myślach. Z ulgą oddalał się od miejsca tragedii i od przykrych pytań naczelnika policji. Mimo to jednak dowody były oczywiste i miał teraz czas, by w spokoju rozważyć wypadki ostatnich dni. Oto mógł wreszcie pozwolić swoim myślom na swobodny nurt – ale ta perspektywa wcale mu się nie uśmiechała.

Zatrzymał się przy ogrodzeniu parku Retiro, oparł czoło o kute sztaby parkanu i zaczął błędzić wzrokiem po drzewach. Żył głęboki szacunek dla Luisa de Ayala, jego śmierć wstrząsnęła nim głęboko, ale coś nie pozwalało zagościć w jego duszy świętemu oburzeniu. Obiektywną ocenę faktów utrudniał mu wyraźnie cień kobiety, niewątpliwie powiązanej z całą sprawą. Don Luis został zamordowany, don Luis był człowiekiem, którego on sam cenil. Zatem – pomyślał – powinien życzyć, aby sprawiedliwość dopadła sprawcę tej zbrodni. Dlaczego więc szczerze nie opowiedział Campillowi wszystkiego, co wiedział?

Pokiwał głową przygnębiony. Szczerze mówiąc, nie był pewien, czy Adela de Otero ponosi winę za to, co się stało... Tu myśl zawahała się przez kilka chwil, by wreszcie ustąpić pod naporem oczywistości. Nie warto się było oszukiwać. Nie wiedział, czy dziewczyna zatopiła floret w gardle markiza de los Alumbres, ale trudno było zaprzeczyć, że bezpośrednio bądź pośrednio maczała w tym palce. Jej nieoczekiwane przybycie, wielka chęć poznania Luisa de Ayala, jej zachowanie w ciągu ostatnich tygodni, podejrzane i wykalkulowane zniknięcie... Wszystko, najdrobniejszy szczegół, każde słówko przez nią wypowiedziane zdawało się teraz pasować do planu zrealizowanego z nieubłaganym wyrachowaniem. I jeszcze na domiar to pchnięcie. Jego pchnięcie.

Ale po co? W zaistniałej sytuacji nie miał najmniejszych wątpliwości, że został wykorzystany jako pośrednik w dotarciu do markiza de los Alumbres. Ale po co? Zbrodnia nie tłumaczyła sama siebie. Za jej kulisami czaił się, musiał się czaić motyw tak silny, że w mniemaniu przestępcy usprawiedliwiał podobny czyn. Drogą dedukcji myśl fechtmistrza pofrunęła ku kopercie ukrytej za książkami w jego gabinecie. Wzburzony oderwał się od parkanu i ruszył coraz szybszym krokiem w kierunku bramy Alcalá. Musiał dotrzeć do domu, złamać pieczęć i przeczytać zawartość pakunku. Tam na pewno jest klucz do zagadki.

Zatrzymał fiakra i podał swój adres, chociaż przez chwilę zawahał się, czy nie lepiej było powierzyć policji tę sprawę i czekać na jej rozwikłanie w roli zwykłego widza. Natychmiast pojął jednak, że nie może tak postąpić. Ktoś wplątał go w to wszystko, kazał mu grać niewdzięczną, z góry wyznaczoną rolę, i zrobił to z zimną krwią, jakby pociągał za sznureczki w teatrze marionetek. Duma starego mistrza buntowała się i domagała satysfakcji. Nikt jeszcze nie ośmielił się igrać z nim w taki sposób, czuł się upokorzony i wściekły. Później może pójdzie na policję, ale najpierw sam musi wyświecić, co się stało. Chciał sprawdzić, czy zdoła uregulować zaległy rachunek, pozostawiony przez Adelę de Otero. W gruncie rzeczy nie chodzi o pomszczenie markiza de los Alumbres. Jaime Astarloa pragnął zadośćuczynienia za własne zranione uczucia.

Oparł się o siedzenie fiakra, kołysany jazdą po wybojach. Ogarniał go spokój i jasność umysłu. Kierowany zawodowym instynktem zaczął jeszcze raz analizować wydarzenia, ale tym razem po swojemu: poprzez ruchy szermiercze. Ta metoda zawsze pomagała mu uporządkować myśli, gdy zmagał się ze szczególnie złożonymi zagadnieniami. Przeciwnik lub też przeciwnicy nakreślili plan, wychodząc od ataku symulowanego, od zwodu. Przyszli do niego, ale szukali innego celu. Zwód to nic innego jak wykonanie pchnięcia innego niż to, które się sygnalizuje. Mierzono nie w niego, tylko w Luisa de Ayala, a Jaime Astarloa był na tyle głupi, że nie przewidział zasięgu tego ruchu i popełnił niewybaczalny błąd, wspomagając go.

Teraz wszystko zaczynało pasować. Pierwszy ruch się powiódł, można było przystąpić do drugiego. Urodziwej Adeli de Otero bez trudu przyszło zastosować wobec markiza coś, co w szermierce nazywane jest naciśnięciem floretu przez wiązanie: polega to na odsunięciu go przez atak na słaby punkt i ma na celu odsłonięcie przeciwnika przed natarciem. A słabe punkty Luisa de Ayala to szermierka i kobiety.

Co stało się potem? Markiz, przednio władający floretem, wyczuł, że przeciwnik stosuje zaproszenie, chcąc wywabić go z pozycji obronnej. Jako człowiek pomysłowy natychmiast uzbroił się w czujność i powierzył don Jaimemu to, co bez wątpienia stanowiło ostateczny cel ruchów przeciwnika – ów tajemniczy, zalakowany plik. Świadom niebezpieczeństwa Luis de Ayala był wszelako nie tylko szermierzem, ale i hazardzistą. Znając go don Jaime miał pewność, że markiz igrał z własnym losem i nie powstrzymał ataku, zanim nie sprawdził sam, do czego to wszystko doprowadzi. Na pewno ufał, że zdoła zmienić położenie broni przeciwnika, gdy ten, widząc, że jego gra została przejrzana, zrobił wypad. I tu właśnie popełnił błąd. Tak wytrawnym szermierzom jak Ayala nie wypada zapominać, że stosowanie flankonady jako zasłony grozi wielkim niebezpieczeństwem. A już zwłaszcza gdy w grę wchodzi kobieta na miarę Adeli de Otero.

Jeśli, jak podejrzewał don Jaime, atak miał umożliwić wejście w posiadanie



dokumentów markiza, ten ruch zabójców zawisł w próżni. Czysty przypadek sprawił, że fechtmistrz niechcący udaremnił powodzenie całego manewru. Wbrew zamysłom, by rzecz rozstrzygnąć jednym pchnięciem w czwartą, prosto w tętnicę szyjną Ayali, sytuacja zmusiła ich do natarcia w trzecią, a to już nie było takie proste. Kwestią zasadniczą, a dla starego mistrza fechtunku wręcz sprawą życia i śmierci, była odpowiedź na pytanie, czy przeciwnicy zdają sobie sprawę z rozstrzygającej roli, jaką on sam w tej historii odegrał dzięki przezorności zmarłego markiza. Czy wiedzą, że dokumenty leżą bezpiecznie w jego domu?... Przemyślał całą rzecz i doszedł do uspokajającego wniosku, że nie wchodzi to w rachubę. Ayala nigdy w życiu nie popełniłby takiej nieostrożności, by zdradzić tę tajemnicę Adeli de Otero czy komukolwiek innemu. Przecież sam mówił, że Jaime Astarloa jest jedyną osobą, jakiej tak delikatne zadanie mógł powierzyć.

Dorożka mknęła już Traktem San Jerónimo. Don Jaime nie mógł się doczekać, kiedy znajdzie się w domu, rozedrze kopertę i rozszyfruje zagadkę. Dopiero wtedy postanowi, jakie będą jego następne kroki.

Zaczynało znowu padać, kiedy wysiadał z dorożki na rogu ulicy Bordadores. Wszedł do bramy, strząsnął wodę z kapelusza i udał się od razu na ostatnie piętro, stąpając po krętych schodkach. Ręką wyczuwał lekkie drżenie poręczy. Na półpiętrze przypomniał sobie, że zostawił futerał z floretami w pałacu Villaflores, i aż skrzywił się rozdrażniony. Później po nie pójdzie – pomyślał wyciągając z kieszeni klucz, który następnie wetknął w dziurkę zamka, przekręcił i popchnął drzwi. Wchodził do pustego i ciemnego mieszkania nie bez pewnego lęku, który na próżno starał się rozwiać.

Wiedziony niepokojem sprawdził wszystkie pokoje i dopiero wówczas odetchnął z ulgą. Jak należało się spodziewać, był w domu sam i aż się zawstydził, że tak się dał ponieść wyobraźni. Odłożył kapelusz na sofę, zdjął surdut i otworzył okiennice, żeby wpuścić do wewnątrz nieco szarego światła. Dopiero teraz zbliżył się do regału, sięgnął dłonią za książki i wyjął kopertę, którą wręczył mu Luis de Ayala.

Ręce mu się trzęsły, a żołądek skurczył, kiedy złamał lakową pieczęć. Koperta miała format *folio* i była gruba mniej więcej na cal. Rozerwał opakowanie i wydobył związany tasiemkami plik rękopisów. Supły rozwiązywał tak pospiesznie, że gdy skończył, kartki wysypały mu się na podłogę tuż koło komody. Klnąc na własną niezdarność pochylił się, żeby je pozbierać, po czym ponownie się wyprostował. Dokumenty, które trzymał w dłoni, miały charakter oficjalny, większość wyglądała na listy i inne pisma z nagłówkami. Podszedł do biurka, położył kartki przed sobą. W pierwszej chwili na skutek podniecenia całe wersy tańczyły mu przed oczyma i nie potrafił przeczytać choćby słowa. Przymknął powieki, policzył do dziesięciu, odetchnął głęboko i zabrał się do lektury. Istotnie, większość to były listy. Na widok niektórych podpisów nauczyciel szermierki aż zadrżał.

**MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH**

*Pan Luis Aharez Rendmejo*

*Generalny Inspektor Bezpieczeństwa i Policji Państwowej*

*Madryt*

*Niniejszym zalecam ścisły nadzór nad wymienionymi poniżej osobami ze względu na uzasadnione podejrzenia, że spiskują one przeciwko Rządowi Jej Królewskiej Mości z Bożej łaski.*

*Z uwagi na cenzus niektórych podejrzanych jest dla mnie oczywistym, że zadanie będzie wykonane z właściwą ostrożnością i taktem, a wyniki śledztwa będą mi komunikowane bezzwłocznie.*

*Martínez Carmona, Ramón. Adwokat. Ul. Prado 16, Madryt.*

*Miravalls Hernández, Domiciano. Przemysłowiec. Ul. Corredera Baja, Madryt.*

*Cazarla Longo, Bruno. Pełnomocnik Banco de Italia. Pl. Santa Ana 10, Madryt.*

*Cañábate Ruiz, Fernando. Inżynier Dróg Żelaznych. Ul. Leganitos 7, Madryt.*

*Porlier y Osborne, Carmelo. Finansista. Ul. Infantas 14, Madryt.*

*Ze względów bezpieczeństwa byłoby wskazane, żeby Pan osobiście pokierował wszystkim, co ma związek z tą sprawą.*

*Joaquín Vallespín Andreu*

*Minister Spraw Wewnętrznych*

*Madryt, 3 października 1866 r.*

*Pan Joaquín Vallespín Andreu*

*Ministerstwo Spraw Wewnętrznych*

*Madryt*

*Drogi Joaquinie,*

*Zastanawiałem się nad naszą wczorajszą wieczorną rozmową i Twoja propozycja wydała mi się do przyjęcia. Wyznam Ci, że myśl o wynagrodzeniu tej kanałii napawa mnie pewną rezerwą, ale cel uświęca środki. W dzisiejszych czasach nie ma nic za darmo!*

*Sprawa koncesji górniczej w górach Cartagena załatwiona. Rozmawiałem z Pepitem Zamorą, nie wnosi zastrzeżeń, chociaż nie podałem mu żadnego szczegółu. Najpewniej podejrzewa, że ciągnę z tego jakieś zyski, ale nie dbam o to. Za stary już jestem, żeby się przejmować kolejnymi oszczerstwami. Oczywiście, zasięgnąłem języka i sądzę, że nasz ptaszek się obłowi. Powiadam Ci to, jakem premier, a w tych kwestiach mam naprawdę nosa.*

*Informuj mnie na bieżąco. Oczywiście na Radzie ani słowa. I odbierz sprawę Alvarezowi Rendruejo. Od tej chwili zajmujemy się nią my obydwaj.*

*Ramón María Narváez*

*8 listopada*

**MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH*****Pan Luis Alvarez Rendruejo******Generalny Inspektor Bezpieczeństwa i Policji Państwowej******Madryt******Niniejszym nakazuję aresztowanie niżej wymienionych osób, podejrzanych o spisek przeciwko Rządowi Jej Królewskiej Mości z Bożej łaski:******Martínez Carmona, Ramón******Porliery Osborne, Carmelo******Miravalls Hernández, Domiciano******Cañábate Ruiz, Fernando******Mazarrasa Sánchez, Manuel María.******Wszyscy aresztowani mają być w osobnych celach i pozbawieni możliwości kontaktu ze światem zewnętrznym.******Joaquín Vallespín Andreu******Minister Spraw Wewnętrznych******Madryt, 12 listopada***

**GENERALNY NADZÓR SKAZANYCH I BUNTOWNIKÓW**

*Pan Joaquín Vallespín Andreu*

*Minister Spraw Wewnętrznych*

*Madryt*

*Wielmożny Panie,*

*Niniejszym donoszę W Panu, że obwinieni Martínez Carmona Ramón, Porliery Osborne Carmelo, Miravalls Hernández Domiciano i Cañábate Ruiz Fernando z dniem dzisiejszym i zgodnie z planem trafili do zakładu karnego Cartagena, gdzie będą oczekiwać dalszego odbywania kary w więzieniach afrykańskich.*

*Poza tym nic szczególnego nie zaszło. Pozostaję uniżonym sługą JW Pana.*

*Ernesto de Miguel Marín*

*Generalny Nadzorca Skazanych i Buntowników*

*Madryt, 28 listopada 1866 r.*

*Jaśnie Wielmożny Pan Ramón María Narváez*

*Przewodniczący Rady*

*Madryt*

*Drogi Generale,*

*Z prawdziwą radością przesyłam Panu kolejne wyniki, zawarte w raporcie załączonym do niniejszej karty. Dotarły one do mnie dzisiejszego wieczora. Pozostaję w dyspozycji, niebawem pospieszę z kolejnymi szczegółami.*

*Joaquín Vallespín Andreu*

*Madryt, 5 grudnia*

*(Jedyny egzemplarz)*

*Pan Joaquín Vallespín Andreu*

*Minister Spraw Wewnętrznych*

*Madryt*

*Drogi Joaquinie,*

*Na usta ciśnie mi się jedno słowo: doskonale. Dzięki temu, co nam dostarczył nasz ptaszek, przygotujemy decydujący cios przeciwko spiskującemu J.P. Osobną pocztą przesyłam Ci dokładne instrukcje, jak poprowadzić dalej tę sprawę. Wieczorem, jak wrócę z Pałacu, będziemy znać więcej szczegółów.*

*Twardą ręką – nie ma innej drogi. Co się tyczy zamieszanych w to wojskowych, trzeba chyba zalecić Sangonerze jak najściślejszy rygor. Musimy im dać jak najlepszą nauzkę.*

*Odwagi i nie ustawaj w czujności.*

*Ramón María Naruáez*

*6 grudnia*

**MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH**

*Pan Luis Alvarez Rendruejo*

*Generalny Inspektor Bezpieczeństwa i Policji Państwowej*

*Madryt*

*Niniejszym nakazuję aresztowanie niżej wymienionych osób pod zarzutem zdrady stanu i udziału w zbrodniczym spisku przeciwko Rządowi Jej Królewskiej Mości z Bożej laski:*

*De la Mata Ordóñez, José. Przemysłowiec. Ronda de Toledo 22 bis, Madryt.*

*Fernández Garre, Julián. Urzędnik państwowy. Ul. Cervantesa 19, Madryt.*

*Gal Rupérez, Olegario. Kapitan Wojsk Inżynieryjnych. Koszary Jarilla, Alcalá de Henares.*

*Gal Rupérez, José Maria. Porucznik artylerii. Koszary Colegiata, Madryt.*

*Cebrián Lucientes, Santiago. Podpułkownik piechoty. Koszary Trinidad, Madryt.*

*Ambroña Páez, Manuel. Major Wojsk Inżynieryjnych. Koszary Jarilla, Alcalá de Henares.*

*Figuro Robledo, Gmés. Handlowiec. Ul. Segovia 16, Madryt.*

*Esplandiú Casáis, Jaime. Porucznik piechoty. Koszary Vicalvaro.*

*Romero Alcázar, Onofre. Zarządca majątku „Los Rocíos”, Toledo.*

*Villagordo López, Vicente. Major piechoty. Koszary Vicálvaro.*

*Co się tyczy oficerów znajdujących się w powyższym zestawieniu, należy działać we współpracy z właściwymi władzami wojskowymi, które są już w posiadaniu odnośnych rozkazów wydanych przez Jego Wielmożność Ministra Wojny.*

*Joaquín Vallespín Andreu*

*Minister Spraw Wewnętrznych*

*Madryt, 7 grudnia 1866 r.*

*(Kopia)*

**GENERALNA INSPEKCJA BEZPIECZEŃSTWA**

**I POLICJI PAŃSTWOWEJ**

*Pan Joaquín Vallespín Andreu*

*Minister Spraw Wewnętrznych*

*Wielmożny Panie,*

*Spieszę donieść W Panu, że zgodnie z otrzymanymi wczoraj zaleceniami dzisiaj rano funkcjonariusze naszego Departamentu, w uzgodnieniu z Dowództwem Wojskowym, przeprowadzili odpowiednie czynności zmierzające do zatrzymania osób wymienionych we wspomnianych instrukcjach. Niech Bóg zachowa W Pana w swej opiece przez długie lata.*

*Luis Alvarez Rendruejo*

*Generalny Inspektor Bezpieczeństwa i Policji Państwowej*

*Madryt, 8 grudnia 1866 r.*

**GENERALNY NADZÓR SKAZANYCH I BUNTOWNIKÓW**

*W Pan Joaquín Vallespín Andreu*

*Minister Spraw Wewnętrznych*

*Jaśnie Wielmożny Panie,*

*Niniejszym spieszę donieść, że z dniem dzisiejszym do więzienia w Kadyksie trafili i na deportację na Filipiny czekają osoby, których nazwiska widnieją poniżej:*

*De la Mata, Ordóñez José*



*Fernández Garre Julián*

*Figüero Robledo Ginés*

*Romero Alcázar Onofre.*

*Poza tym nic szczególnego nie zaszło. Proszę przyjąć pełne uszanowania ukłony.*

*Ernesto de Miguel Marín*

*Generalny Nadzorca Skazanych i Buntowników*

*Madryt, 19 grudnia 1866 r.*

**MINISTERSTWO WOJNY**

*W Pan Joaquín Vallespín Andreu*

*Minister Spraw Wewnętrznych*

*Madryt*

*Drogi Joaquinie,*

*Niech ten list posłuży jako oficjalne powiadomienie, że dziś' wieczorem na pokładzie parowca „Rodrigo Suárez” zostali deponowani na Wyspy Kanaryjskie podpułkownik Cehrián Lucientes oraz majorzy Amhrona Páez i Villagordo López. Kapitan Olegario Gal*

*Rupérez i jego brat José María Gal Rupérez pozostają w więzieniu wojskowym w Kadyksie do czasu rychłej deportacji na wyspę femando Póo.*

*Poza tym nic szczególnego się nie zdarzyło. Pozdrawiam serdecznie.*

*Pedro Sangonera Ortiz*

*Minister Wojny*

*Madryt, 23 grudnia*

*MINISTERSTWO WOJNY*

*W Pan Joaquín Vallespín Andreu*

*Minister Spraw Wewnętrznych*

*Madryt*

*Drogi Joaquinie,*

*Tym razem mam smutny obowiązek chwycić za pióro i zawiadomić Cię, że w związku z nieudzieleniem łaski przez Jej Królewską Wysokość, w terminie określonym w wyroku, dzisiaj o czwartej nad ranem w podziemiach zamku Oñate rozstrzelany został porucznik Jaime Esplandiú Casáis, skazany na karę główną za podniesienie buntu, zdradę stanu i udział w zbrodniczym spisku przeciwko Rządowi J KM.*

*Poza tym nic szczególnego się nie zdarzyło.*

*Pedro Sangonera Órtiz*

*Minister Wojny*

*Madryt, 23 grudnia*

Dalej następowało kilka oficjalnych not oraz krótkich liścików o charakterze poufnym, wymienionych między Narvaezem a ministrem spraw wewnętrznych, z późniejszymi datami. W dokumentach tych donoszono o kolejnych działaniach agentów Prima w Hiszpanii i za granicą. Z ich lektury Jaime Astarloa wywnioskował, że rząd z bardzo bliska obserwował tajne poczynania spiskowców. Pojawiały się następne nazwiska i miejsca, zalecano śledzenie Iksa, aresztowanie Igreka, informowano o fałszywym nazwisku, pod jakim agent Prima miał się zaokrętować w Barcelonie... Fechtmistrz cofnął się do początku, żeby sprawdzić daty. Korespondencja, którą miał przed sobą, obejmowała okres jednego roku, po czym gwałtownie się urywała. Don Jaime sięgnął pamięcią i przypomniał sobie, że w tamtym czasie akurat zmarł w Madrycie Joaquín Vallespín, członek rządu, który był przypuszczalnie centralnym ogniwem tych listów. Pamiętał dobrze, że Vallespín był podczas spotkań w Progreso jednym z ulubionych celów napaści Agapita Cárcelesa, człowiekiem całkowicie zaprzędanym Narvaezowi i

monarchii, wybitnym członkiem partii moderantystów. W trakcie pełnienia obowiązków ministra zasłynął ze szczególnego upodobania do rządów silnej ręki. Umarł na serce, a w związku z jego pogrzebem wprowadzono państwową żałobę. Sam Narváez szedł na czele orszaku. Wkrótce i Narváez znalazł się w grobie, a Izabela II straciła swoich głównych popieczników politycznych.

Jaime Astarloa stropiony zmierzwił włosy. Nic tu nie pasowało. Nie znalazł się za bardzo na grach rządu, ale miał wrażenie, że w tych dokumentach – prawdopodobnej przyczynie śmierci Luisa de Ayala – nie było niczego, co tłumaczyłoby chęć ich ukrycia. A już tym bardziej popełnienie morderstwa. Znów zagłębił się w lekturze paru stron ze zdwojoną uwagą, mając nadzieję, że dostrzeże jakiś szczegół, który uprzednio mu umknął. Daremnie. Zatrzymał się dłużej nad drugim w tym pliku, nieco tajemniczym liścikiem wysłanym przez Narvaeza do Vallespina i utrzymanym w dość poufałym tonie. Książę Walencji nawiązywał tam do jakiejś „propozycji”, niewątpliwie złożonej przez ministra, którą określał jako „do przyjęcia”, propozycji zapewne związanej ze sprawą jakiejś „koncesji górniczej”. Narváez skonsultował się wcześniej w tej kwestii z jakimś „Pepitem Zamorą” – tu musiało chodzić o ówczesnego ministra przemysłu wydobywczego Josego Zamorę... Ale to było wszystko. Żadnego klucza, żadnego dodatkowego nazwiska. „Myśl o wynagrodzeniu tej kanalii napawa mnie pewną rezerwą” – pisał Narváez... O jaką kanalie mogło chodzić? Może tu tkwi rozwiązanie zagadki? W nazwisku, które świeciło nieobecnością? Albo wręcz przeciwnie...

Nauczyciel szermierki westchnął. Może dla kogoś lepiej zorientowanego był w tym jakiś sens, ale on nie potrafił dojść do żadnej konkluzji. Nie pojmował, dlaczego przechowywane przez niego dokumenty stały się tak ważne i tak groźne, że dla ich zdobycia ludzie posuwali się do zbrodni. Kolejna sprawa: dlaczego Luis de Ayala powierzył je właśnie jemu? Kto chciał mu je ukraść i po co?... Z drugiej strony, jak markiz de los Alumbres, który rzekomo trzymał się z dala od polityki, znalazł się w posiadaniu papierów, które pochodziły z prywatnej korespondencji zmarłego ministra?

Tu w każdym razie dałoby się znaleźć jakieś logiczne wytłumaczenie: Joaquín Vallespín Andreu był krewnym markiza, o ile don Jaime dobrze pamięta, bratem jego matki. I to on właśnie powierzył Ayali funkcję szefa kancelarii rządu w jednym z ostatnich gabinetów Narvaeza. Markiz sprawował ją w krótkim okresie swoich związków z życiem politycznym. Dąży się zgadzają? Tu już nie był pewny, ale ministerialny epizod markiza wydarzył się chyba trochę później... W każdym razie, markiz de los Alumbres miał możliwość zdobycia dokumentów podczas sprawowania urzędu albo zaraz po śmierci wuja. To by się zgadzało, jest wręcz bardzo prawdopodobne. Ale jakie te listy mają znaczenie i po co tyle zachodu, żeby zachowywać je w tajemnicy? Czy są niebezpieczne i kompromitujące na tyle, by posłużyć jako motyw morderstwa?

Wstał od stołu i zaczął się przechadzać po pokoju. Cała ta historia tonęła w takich mrokach, że zupełnie wymykała się jego zdolnościom analitycznym. Wszystko zakrawało na piekielny absurd, zwłaszcza rola, jaką w tej tragedii odegrał on sam – i wciąż odgrywa, co uświadamiał sobie nie bez drżenia. Co Adela de Otero ma wspólnego z tą gmatwaniną spisków, rozkazów, list imion i nazwisk?... I to nazwisko, które nic mu zupełnie nie mówiło. Jeśli chodzi o opisywane tu wydarzenia, owszem, przypominał sobie, że za każdym razem, gdy Prim próbował sięgnąć po władzę, czytał coś w gazetach, słyszał komentarze podczas kawiarnianych spotkań. Pamiętał nawet egzekucję tego nieszczęsnego porucznika Jaimego Esplandiu. Ale nic więcej. Zabrnął w ślepy zaułek.

Może lepiej pójść na policję, dostarczyć im plik listów i wymotać się ze sprawy. Ale to nie takie proste. Z lękiem wspominał poranne przesłuchanie, jakiemu poddał go naczelnik policji koło trupa Ayali. Okłamał wtedy Campilla, ukrył przed nim fakt istnienia zalakowanej koperty. A skoro schowane w niej dokumenty kompromitowały kogoś, równie dobrze mogły kompromitować i jego samego, ponieważ stał się ich niewinnym depozytariuszem... Niewinnym? Usta wykrzywił mu niemily uśmiech. Ayala nie mógł już wyjaśnić całej intrygi, a o niewinności rozstrzygają sędziowie.

Nigdy w życiu nie był w takim kłopotcie. Jego szlachetna natura buntowała się przeciwko kłamstwu, ale czy miał wybór? Ostrożność podpowiadała mu, żeby zniszczył pakiet listów póki czas i oddalił od siebie koszmar. W ten sposób nikt się niczego nie dowie. Nikt – pomyślał z niesmakiem – czyli także on. A przecież Jaime Astarloa musiał poznać prawdę o tej ponurej historii. Miał po temu prawo i aż nadto powodów. Nie będzie mógł spać spokojnie, dopóki nie odkryje tajemnicy.

Później miał postanowić, co zrobi z dokumentami – zniszczy je czy przekaże policji. Teraz najpilniejsza rzecz to rozszyfrować dokumenty. Tyle że on sam na własną rękę absolutnie nie był w stanie. Może z pomocą kogoś, kto lepiej orientował się w polityce?...

Przyszedł mu na myśl Agapito Cárceles. Dlaczego nie? Był jego kolegą, towarzyszem kawiarnianych spotkań, no i śledził pilnie wydarzenia polityczne w kraju. Na pewno nazwiska i fakty wymieniane w listach nie będą mu obce.

Pospiesznie zebrał kartki i ukrył je na nowo za książkami, chwycił laskę i cylinder i po chwili był już na ulicy. Wychodząc z sieni, wyjął z kieszonki zegarek: dochodziła szósta po południu. Cárceles z pewnością siedzi na spotkaniu w Progreso. Kawiarnia znajdowała się niedaleko, na Montera, raptem dziesięć minut spacerkiem. Fechtmistrzowi jednak bardzo się spieszyło. Zatrzymał dorożkę i polecił woźnicy, by wiozł go na miejsce co koń wyskoczy.

Cárceles siedział w tym samym zakątku kawiarni, co zawsze, i toczył zapamiętały monolog o haniebnej roli, jaką w życiu Hiszpanii odgrywali Burbonowie i dynastia austriacka. Naprzeciw niego siedział bez słowa Marcelino Romero. Szyję miał przyozdobioną muszką, na twarzy odwieczny wyraz melancholii, wpatrywał się w dziennikarza i bezwiednie przeżuwał kostkę cukru. Jaime Astarloa wbrew swoim zwyczajom nie bawił się w zbytnie ceregiele. Przeprosiwszy pianistę, wziął Cárcelesa na stronę i wprowadził go częściowo w temat z wszelkimi możliwymi zastrzeżeniami:

– Chodzi o dokumenty, które są w moim posiadaniu z powodów, które nie należą do sprawy. Szukam kogoś o pańskim doświadczeniu, kto by wyjaśnił mi parę wątpliwości. Rzecz jasna liczę na całkowitą dyskrecję.

Dziennikarz nie krył zachwytu. Zakończył właśnie wykład o dekadencji Austriaków i Burbonów, poza tym nauczyciel muzyki nie należał do wymarzonych towarzyszy spotkań. Pożegnawszy się więc z Romerem, czym prędzej wyszli z kawiarni.

Postanowili pójść na Bordadores pieszo. Po drodze Cárceles napomknął o tragedii w

pałacu Villaflores, o której w całym Madrycie aż huczało. Wiedział z grubsza, że Luis de Ayala był klientem don Jaimego, i dopytywał się o szczegóły zajścia z natarczywością profesjonalisty do tego stopnia, że fechtmistrz musiał się sporo natrudzić, by zbyć temat wymijającymi odpowiedziami. Cárcelesa, który nigdy nie tracił okazji, by zmanifestować swoją pogardę dla arystokracji, bynajmniej nie zmartwił zgon jednego z jej synów.

– Kiedy przyjdzie pora, wyzwolony lud będzie miał mniej roboty – oświadczył złowieszczo i natychmiast zmienił temat, widząc surowe, pełne potępienia spojrzenie don Jaimego. Nie na długo jednak, już po chwili znów mówił o markizie, dowodząc tym razem, że jego śmierć wynikała ze spraw sercowych. Według dziennikarza wszystko było jasne: pana de los Alumbres wyekspediowano – ciach! – na tamten świat z powodu znieważonego honoru. Ludzie mówili, że szablą czy czymś takim, prawda? Może don Jaime wie coś więcej.

Fechtistrz z ulgą stwierdził, że docierają już do jego drzwi. Cárceles był tu pierwszy raz i z zaciekawieniem rozglądał się po niewielkim salonie. Gdy tylko spostrzegł regały z książkami, natychmiast ruszył ku nim i zaczął bacznie studiować tytuły na grzbietach.

– Nieźle – przyznał w końcu wielkodusznie. – Osobiście brakuje mi tu paru tytułów, bez których nie sposób zrozumieć epoki, w jakiej przyszło nam żyć. Może Rousseau, jakiś Wolter...

Jaimemu Astarloi były całkowicie obojętne czasy, w jakich przyszło mu żyć, a już tym bardziej powszechnie znane gusty literackie i filozoficzne Agapita Cárcelesa, więc z maksymalnym taktem przerwał koledze, kierując rozmowę na temat, który ich tu sprowadził. Cárceles z miejsca zapomniał o książkach i z wyraźnym zainteresowaniem podjął wątek. Don Jaime wydobyl dokumenty ze skrytki.

– Don Agapito, ufam, że jako przyjaciel i dżentelmen potraktuje pan tę sprawę z największą dyskrecją – mówił z taką powagą, że dziennikarz nie krył ogromnego wrażenia. – Mam pańskie słowo?

Cárceles uroczyście przyłożył dłoń do piersi.

– Masz je pan. Naturalnie, że masz je pan.

Don Jaime pomyślał, że może robi błąd, powierzając mu tajemnicę w taki sposób, ale w tym momencie nie było już szans na odwrót. Wyłożył zawartość koperty na stół.

– Z przyczyn, których nie mogę zdradzić, jako że sekret nie należy do mnie, dokumenty te znalazły się w moim posiadaniu... Mają jakieś znaczenie, które jest dla mnie niejasne, a które muszę poznać – słysząc to Cárceles zaczął się wpatrywać w swego rozmówcę z rosnącą uwagą, choć słowa przychodziły tamtemu z pewnym trudem. – Być może kłopot polega na tym, że nie znam się na zagadnieniach polityki kraju. Rzecz w tym, że z braku wiedzy nie umiem wyluskać spójnego sensu, choć ów z pewnością tu jest... Dlatego właśnie zwróciłem się do pana jako znawcy. Proszę pana, by pan to przeczytał, postarał się wywnioskować, czego to dotyczy, a następnie zakomunikował mi swoją opinię.

Przez chwilę Cárceles wpatrywał się nieruchomo w nauczyciela fechtunku, który zrozumiał, że wywarł spore wrażenie. Wreszcie dziennikarz przesunął językiem po ustach i spojrzął na rozłożone na blacie dokumenty.

– Don Jaime – odezwał się z nieskrywanym podziwem – nigdy nie sądziłem, że pan...

– Ja też nie – uciał fechtmistrz. – I gwoli prawdy winien jestem panu informację, że te papiery trafiły w moje ręce wbrew moim chęciom. Ale nie mam już wyboru, muszę dowiedzieć się, co oznaczają.

Cárceles znów zerknął na dokumenty, nie śmiać ich dotknąć. Najwyraźniej podejrzewał, że kryją coś poważnego. Nagle, jakby pod wpływem raptownej decyzji, zasiadł za stołem i wziął je do ręki. Don Jaime stanął tuż obok niego. Wobec powagi sytuacji odłożył na bok zasady dobrego wychowania i postanowił przeczytać jeszcze raz listy przez ramię znajomego.

Widząc nagłówki i podpisy na kilku pierwszych kartach, dziennikarz przelknął głośno ślinę. Parokrotnie zerknął z niedowierzaniem na fechtmistrza, ale nie rzekł ani słowa. Czytał w milczeniu, ostrożnie przewracał strony i tylko czasem zatrzymywał palec wskazujący na jakimś nazwisku z kolejnej listy. W połowie przerwał, jakby wiedziony jakimś domysłem, i znów szybko przejrzał pierwsze kartki. Po jego niedogolonej twarzy błąkał się grymas przypominający słaby uśmiech. Po chwili czytał dalej, gdy tymczasem don Jaime trwał obok w niepewności, nie śmiać mu przerwać. Wreszcie nie wytrzymał i spytał.

– Domyśla się pan już czegoś?

Twarz dziennikarza wyrażała ostrożność.

– Możliwe. Na razie to tylko przeczucia... Musze się upewnić, że jesteśmy na dobrej drodze.

Zmarszczywszy brwi, ponownie pochylił się nad papierami. Chwilę później pokiwał głową, jakby nabrał już pewności, o którą mu chodziło. Znów znieruchomiał i uniósł oczy ku górze, usiłując sobie coś przypomnieć.

– Coś było... – mruknął do siebie. – Nie pamiętam dobrze, ale chyba... na początku zeszłego roku. Tak, kopalnie. Kampania przeciwko Narvaezowi, mówiło się, że jest zamieszany w interes. Jakżeż on się nazywał...?

Jaime Astarloa nigdy jeszcze nie był tak zdenerwowany. Naraz twarz Cárcelesa pojaśniała.

– Jasne! Cóż ze mnie za głupiec! – wykrzyknął waląc dłonią w stół. – Muszę tylko sprawdzić nazwisko... Czy to możliwe, żeby... – przejrzał jeszcze raz kartki, znów skupiając się na początkowych listach. – Na rany Chrystusa, don Jaime! Jak to możliwe, że pan się nie domyśliłeś? Masz pan przed sobą świadectwo skandalu bez precedensu! Przysięgam panu, że...

Rozległo się stukanie do drzwi. Cárceles momentalnie zamilkł i spojrzał podejrzliwie w stronę przedpokoju.

– Oczekujesz pan kogoś?

Fecht mistrz, sam zaskoczony, zaprzeczył ruchem głowy. Ni stąd, ni zowąd dziennikarz zgarnął dokumenty, rozejrzał się, wstał pospiesznie i wsunął listy pod sofę. Następnie zwrócił się do don Jaimego.

– Odpraw pan szybko tego kogoś! – szepnął mu do ucha. – Musimy porozmawiać bez świadków!

Oszołomiony fecht mistrz machinalnie poprawił krawat i podszedł do drzwi. Zaczęła go ogarniać pewność, że oto stoi o krok od rozwiązania zagadki, która postawiła na jego drodze Adelę de Otero, a Luisa de Ayala kosztowała życie. Kto wie, czy nie traci kontaktu z rzeczywistością i czy lada chwila nie obudzi się i nie stwierdzi, że wszystko to stanowi niedorzeczny wymysł jego własnej wyobraźni?

W drzwiach stał policjant.

– Pan Jaime Astarloa?

Fecht mistrz poczuł, jak włosy stają mu dęba na karku.

– To ja.

Żandarm lekko kaszlnął. Rysy miał nieco cygańskie, a brodę przystrzyżoną byle jak.

– Przysłała mnie pan naczelnik policji Jenaro Campillo. Prosi pana o stawienie się na komendzie w celu złożenia zeznań.

Don Jaime patrzył, jakby nie rozumiejąc.

– Przepraszam? – spytał usiłując zyskać na czasie. Żandarm spostrzegł jego zakłopotanie i uśmiechnął się uspokajająco.

– Proszę się nie martwić, to czysta formalność. Zdaje się, że są jakieś nowe szczegóły w sprawie pana markiza de los Alumbres.

Nauczyciel zamrugnął powiekami, poirytowany niestosownym zbiegiem okoliczności. Cóż, policjant wspominał o nowych szczegółach. Może to ważne. Czyżby znaleźli Adelę de Otero?

– Zaczeka pan chwilkę?

– Oczywiście. Proszę się nie spieszyć.

Zostawił stróża prawa w drzwiach i wrócił do salonu, gdzie czekał na niego Cárceles. Słyszał całą rozmowę.

– Co robimy? – zapytał cicho don Jaime.

Dziennikarz zrobił uspokajającą minę.

– Niech pan idzie – odparł. – Ja tu zaczekam i jeszcze raz uważnie sobie poczytam.

– Wykrył pan coś?

– Chyba tak, ale jeszcze nie jestem do końca pewny. Muszę się w to zagłębić. Możesz pan spokojnie iść.

Don Jaime skinął głową. Nie było innego wyjścia.

– Wrócę jak najszybciej.

– Proszę się nie przejmować – w oczach Agapita Cárcelesa pojawił się błysk, który nieco zaniepokoił fechtmistrza. – Czy to – tu wskazał na drzwi – ma coś wspólnego z listami?

Jaime Astarloa zarumienił się. Sytuacja wymykała mu się spod kontroli. Od paru chwil miał w głowie coś na kształt męczącego zamętu.

– Nie wiem jeszcze – nie wypadło mu już teraz okłamywać Cárcelesa. – To znaczy... Porozmawiamy po moim powrocie. Muszę sobie to w głowie poukładać.

Potrząsnął dłonią przyjaciela i wyszedł w towarzystwie policjanta. Na dole czekał powóz rządowy.

– Dokąd jedziemy? – zapytał don Jaime.

Policjant wdepnął właśnie w kałużę i usiłował wytrząsnąć wodę z buta.

– Do kostnicy – odpowiedział, po czym zajął miejsce i zaczął gwizdać modną melodię.

Campillo oczekiwał ich w gabinecie Instytutu Medycyny Sądowej. Miał przekrzywioną perukę, na czole perlily się krople potu, binokle zaś zwiwały mu na tasiemce przyczepionej do kłap. Na widok wchodzącego fechtmistrza poderwał się z uprzejmym uśmiechem.

– Bardzo mi przykro, panie Astarloa, ale nieprzyjemne okoliczności sprawiły, że widzimy się ponownie tego samego dnia...

Don Jaime rozglądał się nieufnie. Najwyższym wysiłkiem woli starał się zachować resztki spokoju, który zdawał się pierzchać na wszystkie strony. Zwykł panować nad własnymi uczuciami, ale do pewnych granic, a te właśnie powoli pękały.

– Co się dzieje? – zapytał starannie kryjąc lęk. – Byłem w domu i zajmowałem się bardzo ważnymi sprawami...

Jenaro Campillo miał przepraszający wyraz twarzy.



– Zajmę panu dosłownie parę chwil, może pan być pewien. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo męczy pana ta sytuacja, ale, proszę mi wierzyć, zaszły nieprzewidziane okoliczności – cmoknął, chcąc może wyrazić w ten sposób własne znużenie. – I to właśnie dzisiaj, Boże mój! Wieści, które do mnie docierają, też nie należą do pomyślnych. Zbuntowane oddziały kroczą na Madryt, podobno królowa może być zmuszona do wyjazdu do Francji, tu w każdej chwili grożą nam zamieszki uliczne... Ma pan już obraz całości! Ale niezależnie od wypadków politycznych wymiar sprawiedliwości musi nieubłaganie posuwać się swoim szlakiem. *Dura lex, sed lex*, nie sądzi pan?

– Pan wybaczy, panie Campillo, ale czuję się niezręcznie. To nie jest chyba najwłaściwsze miejsce na...

Naczelnik policji uniesioną dłonią poprosił go o cierpliwość.

– Zechciałby mi pan towarzyszyć?

Palcem wskazał drogę. Zeszli po schodach i zagłębili się w mroczny korytarz. Ściany wyłożone były białymi kafelkami, na suficie widniały plamy wilgoci. Oświetlenie stanowiły tu lampy gazowe, ich płomyki drżały lekko pod wpływem zimnego przeciągu. Jaime Astarloa zaczął się trząść – miał na sobie tylko letni surdut. Odgłosy kroków ginęły w głębi korytarza, odpowiadało im złowrogie echo pod stropem.

Campillo zatrzymał się przy drzwiach z matowymi szybami, pchnął je i puścił gościa przodem. Fechtmistrz znalazł się w małym pokoju pełnym szafek katalogowych z ciemnego drewna. Na ich widok siedzący za pulpitem pracownik poderwał się na równe nogi. Był chudy, w wieku nieokreślonym, a jego biały kitel pokrywały żółte plamy.

– Numer siedemnaście, Lucio, bądź tak uprzejmy.

Pracownik wziął ze stołu druk i podszedł z nim do drzwi wahadłowych z boku salki. Naczelnik policji wyciągnął z kieszeni hawańskie cygaro i podał don Jaimemu.

– Dziękuję panu, ale już rano mówiłem, że nie palę.

Tamten uniósł brew z wyrazem dezaprobaty.

– Spektakl, który mam panu do zaproponowania, nie należy do przyjemnych... – zauważył wsadzając cygaro w usta i przypalając je zapalką. – Dym tytoniowy pomaga znieść te przykrości.

– Jakie przykrości?

– Sam pan zobaczy.

– Nieważne, nie muszę palić.

Policjant wzruszył ramionami.

– Jak pan woli.

Weszli obydwaj do obszernej, niskiej sali. Tu też ściany wyłożono białymi kafelkami, a na suficie widniały wilgotne plamy. W kącie stało coś w rodzaju ogromnej wanny, do której nieustannie kapiała woda z kranu.

Don Jaime zatrzymał się mimowolnie – panujący wewnątrz chłód przejął go do szpiku kości. Nigdy przedtem nie był w kostnicy i nawet nie przypuszczał, że w środku może być tak niecznośnie i pośpnie. Wzdłuż sali stał z tuzin dużych marmurowych stołów, na czterech pod białymi prześcieradłami rysowały się nieruchome ludzkie postacie. Fechtmistrz zamknął na chwilę oczy i wciągnął w płuca powietrze, które natychmiast gwałtownie wypuścił z siebie, walcząc z mdłościami. W pomieszczeniu unosił się dziwny zapach.

– Fenol – objaśnił policjant. – Stosowany do dezynfekcji.

Don Jaime skinął głową w milczeniu. Oczy miał utkwione w jedno z ciał, leżących na marmurowych stołach. Spod dolnej krawędzi prześcieradła wystawały ludzkie stopy. Były żółtawego koloru, a w świetle lamp gazowych zdawały się jeszcze połyskiwać na niebiesko.

Jenaro Campillo pobiegł oczami za jego wzrokiem.

– Tego już pan zna – powiedział z dużą swobodą, zbyt dużą jak dla fechtmistrza. – Nas interesuje tamten drugi.

Cygarem wskazał stół sąsiedni, także przykryty prześcieradłem. Leżała na nim postać drobniejsza i na oko bardziej krucha.

Policjant wypuścił gęstą chmurę dymu i pociągnął don Jaimego ku stolowi.

– Pojawiała się rano na falach Manzanares. Mniej więcej o tej porze, kiedy sobie miło gawędziliśmy w pałacu Villaflores. Niewątpliwie wrzucono ją minionej nocy.

– Wrzucono?

– Tak jak mówię – wybuchnął sarkastycznym śmiechem, jakby coś go w tym wszystkim ciągle bawiło. – Zapewniam pana, że możemy tu mieć do czynienia ze wszystkim, tylko nie z samobójstwem czy wypadkiem... Naprawdę nie posłucha pan mojej rady, nie zakurzy pan cygarka? Jak pan chce. Poważnie się obawiam, panie Astarloa, że nieprędko zapomni pan to, co zaraz pan ujrzy. Mocna rzecz. Pańskie zeznanie jednak jest konieczne w celu ustalenia tożsamości. Nie będzie to łatwe... Zaraz się pan przekona, dlaczego.

Na dany przez niego znak pracownik kostnicy uniósł prześcieradło, okrywające ciało. Nauczyciel szermierki poczuł, jak z żołądka podnosi mu się coś ku gardłu. Z najwyższym trudem powstrzymał mdłości, rozpaczliwie wciągając i wypuszczając powietrze. W nogach stracił władzę do tego stopnia, że musiał się chwycić marmurowego blatu, by nie upaść.

– Rozpoznaje ją pan?

**Don Jaime zmusił się, żeby skupić wzrok na obnażonym trupie. Ciało należało do młodej kobiety średniego wzrostu, która kilka godzin temu mogła zapewne być atrakcyjna. Jej skóra miała barwę wosku, brzuch zapadł się głęboko między kośćmi bioder, a piersi, zapewne za życia piękne, opadały teraz na obie strony ku bezwładnym, sztywnym ramionom, wyciągniętym wzdłuż boków.**

**– Staranna robota, prawda? – mruknął Campillo za jego plecami.**

**Z ogromnym wysiłkiem fechtmistrz spojrzał znów na to, co niegdyś było twarzą. Zamiast typowych rysów miał przed sobą istną siekaninę skóry, mięsa i kości. Nosa nie było, usta zastąpiła ciemna dziura pozbawiona warg, w której można było dostrzec kilka połamanych zębów. W miejscu oczu były teraz czerwone puste zagłębienia. W bujnych, czarnych włosach, obecnie brudnych i zmierzwionych, zachował się jeszcze rzeczny muł.**

**Nie mogąc dłużej wytrzymać tego widoku, wstrząśnięty don Jaime odszedł od stołu. Pod ramię podjęła go czujna dłoń naczelnika policji, dobiegł go też zapach cygara, a zaraz potem także głos, szepczący ponuro: – Rozpoznaje ją pan?**

**Don Jaime zaprzeczył ruchem głowy. Wzburzony umysł podsunął mu wspomnienie starego koszmaru: ślepą lalkę pływającą w stawie. Ale dopiero słowa Campilla sprawiły, że śmiertelny chłód przeszył go na wylot i dotarł do najgłębszego zakamarka duszy.**

**– A jednak powinien ją pan rozpoznać, panie Astarloa, pomimo tych okaleczeń... To pańska dawna klientka, Adela de Otero!**

## Rozdział siódmy

### O zaproszeniu

*W szermierce o zaproszeniu mówimy wtedy, gdy przeciwnik zostaje zmuszony do opuszczenia pozycji obronnej.*

Upłynął jakiś czas, nim zdał sobie sprawę, że naczelnik policji dalej do niego mówi. Wyszli już z piwnicy i teraz znajdowali się w małym gabinecie Instytutu Medycyny Sądowej na parterze. Jaime Astarloa siedział bez ruchu, oparty o plecy krzesła, niewidzący wzrok utkwił w zawieszonej na ścianie mętnej rycinie, przedstawiającej jakiś pejzaż nordycki z jeziorami i jodłami. Ręce opuścił wzdłuż tułowia, a w jego szarych, pozbawionych teraz wyrazu oczach zagościł smutek.

– ... Znaleziono ją zaplątaną w trzciny, na lewym brzegu pod mostem Toledo. Dziwne, że prąd jej nie porwał, zważywszy, że w nocy mieliśmy burzę. Możemy więc podejrzewać, że wrzucono ją tam tuż przed świtem. Jednego tylko nie rozumiem: po co ktoś zadał sobie trud, żeby zatargać ją aż tam, zamiast zostawić w domu.

Campillo przerwał i spojrzał badawczo na fechtmistrza, chcąc może dać mu okazję do zadania pytania. Wobec braku jakiegokolwiek reakcji wzruszył ramionami. Wyciągniętą z kieszeni pomietą chusteczką zaczął czyścić szkiełka binokli, w zębach ciągle trzymał cygaro.

– Kiedy powiadomiono mnie o znalezieniu ciała, wydałem rozkaz, żeby wyważyli drzwi. Powinniśmy byli zrobić to dużo wcześniej, bo w środku zastaliśmy istny koszmar: ślady walki, trochę połamanych mebli i krew. Prawdę mówiąc, dużo krwi. Cała kałuża w sypialni, w korytarzu strumień... Jakby oprawiano cielaka, o ile mogę się posunąć do takiego porównania – spojrzał na fechtmistrza, sprawdzając efekt własnych słów. Chciał się przekonać, czy opis wywoływał wystarczające wrażenie swoim realizmem, doszedł jednak do wniosku, że nie, wobec czego zmarszczył brwi, potarł energiczniej binokle i dalej wyliczał makabryczne szczegóły. Ani na chwilę nie przestał obserwować go z ukosa. – Zamordowano ją bardzo... starannie, po czym potajemnie wyniesiono i wrzucono do rzeki. Nie orientuję się, czy był jakiś etap pośredni, rozumie mnie pan, tortury czy coś w tym guście. Choć mając w pamięci stan, w jakim ją zostawili, obawiam się, że tak. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zanim całkiem nieżywa opuściła swoje mieszkanie przy ulicy Riaño, musiała przejść ciężkie chwile...

Campillo przerwał, popatrzył na binokle pod światło i z zadowoleniem ostrożnie je nałożył.

– Całkiem nieżywa – powtórzył w zamyśleniu, usiłując wrócić do przerwanej wątku. –

W sypialni znaleźliśmy też sporo kosmyków włosów, które, co zostało potwierdzone, pochodzą od denatki. Był też strzęp niebieskiej tkaniny, zapewne oderwany podczas walki, a pasujący w miejscu, gdzie brakuje kawałka w ubraniu, w którym ją wyłowiono – tu policjant sięgnął dwoma palcami do górnej kieszonki kamizelki i wyjął pierścionek w kształcie małego srebrnego kółka. – Na palcu serdecznym lewej dłoni denatka miała to. Widział go pan kiedyś?

Jaime Astarloa przymknął powieki i natychmiast je otworzył, jakby budził się z długiego snu. Spojrzał na Campilla; twarz miał śmiertelnie bladą.

– Słucham?

Policjant poprawił się na siedzeniu. Najwyraźniej ze strony Jaimego Astarloi spodziewał się większej współpracy. Postawa fechtmistrza, przypominająca zachowanie lunatyka, zaczynała go drażnić. Z początku przejawiał jakieś emocje, teraz zapadł w uparte milczenie, jakby zupełnie zubożył na całą tragedię.

– Pytałem, czy widział pan kiedyś ten pierścionek.

Nauczyciel szermierki sięgnął ręką po srebrną obrączkę. W jego pamięci odezwalo się bolesne wspomnienie tego metalicznego połysku na ciemnej skórze. Położył pierścionek na stole.

– Należał do Adeli de Otero – potwierdził beznamiętnym głosem.

Campillo podjął jeszcze jedną próbę.

– Jednej rzeczy nadal nie rozumiem, panie Astarloa: skąd takie okrucieństwo? Może chodziło o zemstę?... A może usiłowali wyciągnąć z niej jakąś informację?

– Nie wiem.

– A czy ta kobieta miała wrogów?

– Nie wiem.

– Przykra sprawa, że tak z nią postąpili. Pewnie była bardzo piękna.

Don Jaime pomyślał o matowej, nagiej szyi pod kokiem czarnych włosów, spiętych na karku kłamrą z masy perłowej. Przypomnił sobie wpólotwarte drzwi, szelest halki, skórę, pod którą najpewniej pulsowało leniwe ciepło. „Ja nie istnieję” – powiedziała kiedyś nocą, gdy wszystko było możliwe, a do niczego nie doszło. O tak, teraz rzeczywiście nie istniała. Zostało tylko psujące się ciało na marmurowym blacie.

– Bardzo – odparł po chwili. – Adela de Otero była bardzo piękna.

Policjant uznał, że już wystarczająco dużo czasu stracił z fechtmistrem. Zabrał pierścionek, wyrzucił niedopałek cygara do spluwaczki i wstał.

– Wydarzenia dzisiejszego dnia wytrąciły pana z równowagi i doskonale zdają sobie z tego sprawę – rzekł. – Jeśli pan woli, moglibyśmy wrócić do naszej rozmowy jutro rano, kiedy pan już odpocznie i nabierze lepszej formy. Jestem przekonany, że śmierć markiza i tej damy są ze sobą powiązane, a pan jest jedną z nielicznych osób, które mogłyby naprowadzić nas na jakiś ślad... Może o dziesiątej w moim gabinecie w gmachu rządu?

Jaime Astarloa popatrzył na naczelnika policji, jak gdyby widział go pierwszy raz w życiu.

– Jestem podejrzany? – spytał.

– A któż z nas nim nie jest w dzisiejszych czasach? – skomentował tamten krotchwilnym tonem. Fechtmistrza ta odpowiedź nie zadowoliła.

– Pytam poważnie. Muszę wiedzieć, czy mnie pan podejrzewa.

Z dłonią w kieszeni spodni Campillo zakolysał się na nogach.

– Jeśli to pana uspokoi, to powiem, że niespecjalnie – odparł po chwili. – Prawda jest taka, że nikogo nie mogę wykluczyć, a tylko pana mam w tym momencie w garści.

– Miło mi, że choć tak mogę się przydać.

Policjant uśmiechnął się pojednawczo, jakby prosił o wyrozumiałość.

– Bez urazy, panie Astarloa – powiedział. – Ostatecznie sam pan przyzna, że niektóre wątki same się ze sobą łączą: ginie dwoje pańskich klientów, szermierka jako element wspólny. Jedno z nich zostaje zabite floretem... Wszystko obraca się wokół jednego punktu, a mnie brakuje odpowiedzi na dwie ważne kwestie: co jest tym punktem i jaką rolę pan odgrywa w całej aferze. O ile w ogóle jakkolwiek.

– Pojmuję pański problem, ale nie potrafię panu pomóc, przykro mi.

– Mnie tym bardziej przykro. Ale rozumie pan, że w obecnym stanie rzeczy nie mogę wyłączyć pana z grona zamieszanych... W moim wieku i z moim doświadczeniem w tej robocie, nie wykluczyłbym rodzonej matki.

– Mówiąc otwarcie: jestem pod nadzorem.

Lekkim grymasem Campillo dał do zrozumienia, że fechtmistrz przesadził w sformułowaniach.

– Powiedzmy, że dopominam się od pana współpracy, szanowny panie Astarloa. Na początek umawiam się z panem na jutro rano w gabinecie. I proszę, z całym szacunkiem, żeby nie opuszczał pan miasta i pozostawał w zasięgu.

Don Jaime skinął głową w milczeniu, niemal bezwiednie, po czym wstał i sięgnął po kapelusz.

– Przesłuchali panowie służącą?

– Jaką służącą?

– Z domu pani Adeli. Miała na imię chyba Lucía.

– Ach! Przepraszam. Z początku nie rozumiałem. Tak, służąca, jasne... Otóż nie. To znaczy nie możemy jej zlokalizować. Według słów dozorczyńi została zwolniona z tydzień temu i więcej się nie pokazała. Nie muszę mówić, że poruszę niebo i ziemię, żeby do niej dotrzeć.

– A co jeszcze mówili dozorczy?

– Też niespecjalnie mi pomogli. Wczoraj w nocy niczego nie słyszeli z powodu burzy nad Madrytem. O pani de Otero wiedzą bardzo mało. A jeśli nawet coś wiedzą, nie mówią, przez ostrożność albo ze strachu. Dom nie należał do niej, wynajęła go trzy miesiące temu przez osobę trzecią, ajenta, którego też już przesłuchaliśmy, ale bez rezultatów. Wprowadziła się z niewielkim bagażem. Nikt nie wie, skąd przybyła, choć mamy wskazówki, że jakiś czas spędziła za granicą... Do jutra, panie Astarloa. Proszę nie zapomnieć o naszym spotkaniu.

Fechtmistrz obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

– Nie zapomnę. Dobranoc.

Dłuższą chwilę stał na środku ulicy wsparty na lasce i wpatrywał się w czarne niebo. Chmury rozeszły się nieco, ukazując parę gwiazd. Gdyby ujrzał go w tym momencie jakiś przechodzień, na pewno zdumiałby się widokiem jego twarzy, słabo widocznej w świetle gazowych latarni. Pociągłe rysy fechtmistrza wyglądały jak wyciosane z kamienia, przypominały ławę, która jeszcze przed chwilą wrzała, teraz zaś zastygła pod wpływem mroźnego podmuchu. Nie chodziło zresztą wyłącznie o twarz. Czuł, jak serce w piersi bije mu bardzo powoli, delikatnie i miarowo, niczym puls w skroniach. Nie wiedział dlaczego albo może raczej nie chciał się w to zagłębiać. Faktem jest, że od kiedy zobaczył nagie, okaleczone ciało Adeli de Otero, wzburzenie, które dotąd nie dawało mu spokoju, naraz minęło jak za dotknięciem różdżki. Wydawało się, że lodowata atmosfera magazynu trupów przeniknęła także do jego wnętrza. Umysł miał teraz jasny. Panował nad najdrobniejszym muskułem ciała. Świat naokoło jakby powrócił do właściwych proporcji, znowu mógł go oglądać po swojemu, z lekkiego dystansu, z odzyskanym spokojem starego człowieka.

Co w nim zaszło? Sam nie miał pojęcia. Miał jedynie pewność, że z jakiegoś skrytego powodu śmierć Adeli de Otero wyzwoliła go, uwolniła z poczucia wstydu i upokorzenia, jakie doprowadzało go do oblędu przez ostatnie tygodnie. Jakaż osobliwą satysfakcją napawało go odkrycie, że oszukał go nie kat, a ofiara! To zmieniało postać rzeczy. Wreszcie znalazł smutną pociechę wiedząc, że nie była to intryga uknuta przez kobietę, ale plan precyzyjnie zrealizowany przez kogoś bez skrupułów, przez okrutnego mordercę, człowieka bez serca, którego tożsamość pozostaje nieznana. Może ów

człowiek czeka teraz na niego gdzieś za zakrętem, a wszystko to przez dokumenty, które Agapito Cárceles odszyfrował już zapewne w domu przy Bordadores. Nadeszła pora, by przewrócić kartkę. Marionetka zrywa sznurki, opuszcza przypisaną jej rolę. Teraz będzie działać z własnej inicjatywy, dlatego nic nie powiedział policji. Niepokój prysł, w jego duszy rósł bezlitosny gniew, wielka, jasna i zimna nienawiść.

Fechtmistrz wciągnął głęboko chłodne, nocne powietrze, zacisnął dłoń na lasce i ruszył w drogę powrotną do domu. Musi poznać prawdę, skoro zbliża się godzina zemsty.

Kilkakrotnie musiał nadłożyć drogi. Była wprawdzie jedenasta wieczorem, ale na ulicach wrzało. Oddziały żołnierzy i żandarmerii konnej patrolowały miasto, na rogu ulicy Hileras widać było pozostałości barykady, którą paru okolicznych mieszkańców rozbierało pod okiem funkcjonariuszy sił porządku publicznego. Od strony placu Mayor dobiegały z dala jakieś okrzyki, przed Teatrem Królewskim przechadzał się oddział halabardników z bagnetami na strzelbach. Noc była niespokojna, ale pogrążony we własnych myślach don Jaime ledwie zwracał uwagę na to, co działo się wokół. Pospiesznie wszedł po schodach i otworzył drzwi, spodziewając się zastać jeszcze Cárcelesa. Ale dom był pusty.

Zdumiony nieobecnością dziennikarza zaświecił zapalkę i przytknął ją do ściennej lampy naftowej. Pelen złych przeczuczeń poszedł do sypialni i do sali ćwiczeń, ale nadaremnie. Wrócił do gabinetu, zajrzał pod sofę i za książki na regale, ale dokumenty też znikły. To jakiś absurd – powiedział w duchu. Jak Agapito Cárceles mógł tak po prostu sobie pójść, nie porozmawiawszy z nim wcześniej? I gdzie schował kopertę?... Tok myśli doprowadził go do ewentualności, którą bał się wyrazić: czyżby zabrał ją ze sobą?

Jego wzrok padł na karteczkę leżącą na biurku. Przed wyjściem Cárceles skreślił te słowa:

*Drogi Jaime,*

*jestem na dobrym tropie, ale muszę się oddalić, żeby potwierdzić to i owo. Zaufaj mi pan.*

Nawet nie było podpisu. Fechtmistrz chwilę trzymał w dłoni karteczkę, wreszcie zmiął ją i rzucił na podłogę. To jasne, że Cárceles zabrał dokumenty, co go bardzo zdenerwowało. Natychmiast pożałował, że obdarzył dziennikarza zaufaniem, i przeklął w duchu własną głupotę. Bóg jeden wie, gdzie się ten typ wałęsa teraz z dokumentami, które przyniosły śmierć Luisowi de Ayala i Adeli de Otero.

Na rozstrzygnięcie nie trzeba było długo czekać, i nim wszystko przemyślał, już był z powrotem na schodach. Adres Cárcelesa znał, był gotów pojawić się tam, odzyskać dokumenty i zmusić gospodarza chociażby siłą, by wyznał mu wszystko, co wie.



Na podeście nagle zatrzymał się i zaczął zastanawiać. Cała historia przybrała taki obrót, że trudno ją dalej nazywać grą. „Drugi raz nie wolno tracić głowy” – powiedział w duchu, usiłując zachować wątpliwy spokój. Oparł się o ścianę schodów, otoczony ciemnością i pustką, i spróbował rozważyć najbliższe kroki. Oczywiście, najpierw musi iść do domu Cárcelesa, co do tego nie ma wątpliwości. Ale potem?... Rozsądek nakazywał jedną drogę: prosto do Jenara Campilla. Już wystarczy tej zabawy w chowanego z policją. Z goryczą pomyślał o cennym czasie, straconym wskutek jego własnych oporów. Tego błędu nie powtórzy. Powie prawdę naczelnikowi policji i dostarczy mu dokumenty Ayali – niech przynajmniej wymiar sprawiedliwości pracuje według procedur. Uśmiechnął się smutno, wyobrażając sobie twarz Campilla, gdy nazajutrz zjawi się u niego z dokumentami pod pachą.

Wziął też pod uwagę ewentualność, że pojawi się na policji przed spotkaniem z Cárcelesem, ale tu pojawiały się pewne trudności. Co innego przyjść z dowodem w rękę, a zupełnie co innego powiedzieć mniej lub bardziej wiarygodną historyjkę, w dodatku stojącą w sporej sprzeczności z tym, co sam mówił podczas dzisiejszych spotkań z naczelnikiem Campillo. Poza tym Cárceles, który działał z niejasnymi intencjami, mógł się wszystkiego wyprzeć. Przecież nawet nie podpisał liściku, którego treść zresztą nie odnosiła się wprost do afery... Nie. Wszystko było jasne. Najpierw trzeba odszukać nierzetelnego przyjaciela.

Dopiero w tej chwili uświadomił sobie jeszcze jeden fakt i aż wstrząsnął nim nieprzyjemny dreszcz. Osoba odpowiedzialna za ostatnie wypadki, kimkolwiek była, już dwukrotnie zabiła, a kto wie, czy nie jest gotowa zabić trzeci raz, jeśli zajdzie taka potrzeba. Mimo to odkrycie, że jemu też grozi niebezpieczeństwo i może zginąć jak tamci, raczej nie zburzyła mu spokoju. Myślał o tym przez chwilę, stwierdzając ze zdziwieniem, że ta ewentualność wzbudza w nim więcej ciekawości niż lęku. Taka perspektywa znacznie wszystko upraszczała, mógł zastosować własne schematy. Nie było już mowy o cudzych tragediach, w które został niejako wplątany wbrew sobie i ubezwłasnowolniony. Tu właśnie tkwiło źródło jego dotychczasowego wzburzenia i strachu. Skoro jednak to on może być kolejną ofiarą, sprawa jest łatwiejsza, bo nie musi już biernie podążać krwawymi śladami zabójców – sami do niego przyjdą. Do niego. Krew leciwego mistrza szermierki pulsowała miarowo w starych żyłach, jakby szykując się do walki. Już tylokrotnie w swoim długim życiu odpierał ciosy najróżniejszego typu tylko po to, by chwilę później stawić czoło jeszcze jednemu, nierzadko nadchodzącemu od tyłu. Może Luis de Ayala i Adela de Otero nie mieli podobnej świadomości. Jak sam mawiał do swoich uczniów, pchnięcie w trzeciej linii nie jest tak proste, jak w czwartej. On potrafił odpierać ciosy z trzeciej. I zadawać.

Podjął decyzję. Jeszcze tej nocy odbierze dokumenty Luisa de Ayala. Z tą myślą ponownie wszedł na górę, otworzył drzwi, wstawił laskę do stojaka i wziął inną, nieco cięższą, mahoniową, z główką ze srebra. Dzierżąc ją w dłoni, ruszył znów na dół, przesuając bezwiednie palcami po żelaznych prętach poręczy. Wewnątrz laski spoczywała szpada z najprzedniejszej stali, ostra jak brzytwa.

Zatrzymał się w bramie i nim zanurzył się w mroki ulicy, rzucił okiem w prawo i w lewo. Następnie ruszył do ulicy Arenas i tam, pod ceglany murem kościoła Świętego Ginesa, w świetle latarni popatrzył na zegarek. Do północy brakowało dwudziestu minut.

Idąc nie dostrzegał na ulicach niemal nikogo. Wobec biegu wypadków ludzie woleli

pochować się w domach i tylko z rzadka jakiś nocny marek ośmielał się wypuszczać na ulice Madrytu, który w słabym świetle lamp przypominał miasto-widmo. Na rogu Postas żołnierze zasnęli na chodniku, owinięci w płaszcze, obok karabinów ustawionych w piramidkę. Wartownik, w odpowiedzi na pozdrowienie Jaimego Astarloi, uniósł dłoń do czaka, którego daszek rzucał cień na jego twarz. Przed pocztą grupka żandarmów strzegła gmachu z dłońmi na rękojeściach szabli i z karabinami na ramionach. Na drugim końcu Traktu San Jerónimo ponad czarnymi konturami dachów wypłynął okrągły, pąsowy księżyc.

Miał szczęście. Gdy już tracił nadzieję, że spotka wolny pojazd, na rogu ulicy Alcalá minęła go pusta berlinka. Woźnica już zjeżdżał do domu i z dużą niechęcią wziął kolejnego pasażera. Don Jaime usadowił się na ławce i podał adres Agapita Cárcelesa, stary dom koło Bramy Toleańskiej. Znał to miejsce przez czysty przypadek i sam sobie tego teraz gratulował. Kiedyś Cárceles postanowił zaprosić do siebie wszystkich uczestników spotkań w Progreso, by odczytać im pierwszy i drugi akt dramatu swego autorstwa, noszącego tytuł *Prawdziwa jedność, czyli Lud wyzwolony*. Był to patetyczny utwór pisany białym wierszem i wystarczyłaby zapewne publiczna prezentacja na scenie zaledwie pierwszych dwóch jego stron, by autor trafił na długo do któregoś z afrykańskich więzień, przy czym fakt, że miano do czynienia czelnym plagiatem *Owczego źródła* Lopego de Vega, z pewnością nie posłużyłoby za okoliczność łagodzącą.

W ciemnych, opustoszałych uliczkach, znikających po kolei za oknem powozu, pobrzmiewało tylko echo stukotu końskich kopyt i bicia, z którego co i raz strzelał dorożkarz. Jaime Astarloa obmyślał, jak ma się zachować, gdy stanie twarzą w twarz z przyjacielem. Niewątpliwie dziennikarz natrafił w dokumentach na jakiś skandal, z którego może zechce zrobić użytek. Na to nie zamierzał się zgadzać, chociażby z uwagi na zaufanie, jakim go obdarzył, a którego tamten nadużył. Uspokajająco brzmiała z kolei druga możliwość: że Agapito Cárceles wynosząc plik działał w dobrej wierze. A nuż usiłował znaleźć dowody z dokumentami w ręku, które pragnął porównać ze zgromadzonymi w domu danymi. W każdym razie wątpliwości wkrótce się rozwieją. Powóz się zatrzymał, a woźnica pochylił się z kozła:

– Jesteśmy na miejscu, ulica la Taberna, proszę pana.

Ulica była w rzeczywistości ślepym zaułkiem, marnie oświetlonym, w którym unosił się odór brudu i podłego wina. Don Jaime poprosił woźnicę, by zaczekał pół godziny, ten jednak odmówił tłumacząc się, że i tak jest bardzo późno. Fechtmistrz zapłacił więc i wszedł w zaułek, usiłując rozpoznać dom kolegi.

Trochę to trwało. Udało mu się dzięki temu, że zapamiętał dziedziniec wewnętrzny, na który wchodziło się lukową bramą. Gdy się tam znalazł, po omacku niemalże odszukał schody i wspinał się na ostatnie piętro, opierając się na balustradzie i wsłuchując w skrzypienie stopni pod nogami. Dotarłszy na ganek, biegnący wzdłuż czterech ścian dziedzińca, wyciągnął paczkę zapalek i zapalił jedną. Miał nadzieję, że drzwi też uda mu się rozpoznać, inaczej straciłby czas na uciążliwe tłumaczenia. A nie była to pora na budzenie sąsiadów. Zastukał rączką laski, dwukrotnie, za każdym razem po trzy uderzenia.

Czekał na próżno. Znowu zapukał, po czym przyłożył ucho do drzwi, spodziewając się coś usłyszeć, wewnątrz jednak panowała zupełna cisza. Zbity z pantofelki pomyślał, że

może Cárcelesa wcale nie ma w domu. Gdzie się podziewa o tej porze? Zawahał się, po czym zastukał ponownie, tym razem pięścią i mocniej. Możliwe, że dziennikarz głęboko śpi. Znow posłuchał, ale dalej nic się nie działo.

Cofnął się i oparł plecami o balustradę ganku. Jego plan utknął w martwym punkcie do następnego dnia, co wcale nie dodało mu otuchy. Musi zobaczyć się z Cárcelesem natychmiast albo przynajmniej odzyskać dokumenty. Chwilę szukał odpowiedniego słowa, wreszcie określił je jako skradzione. Bo przecież niezależnie od motywów, jakimi kierował się Cárceles, w jego własnym domu najzwyczajniej w świecie dopuścił się kradzieży. Ta myśl go rozwścieczyła.

Od paru chwil chodził mu po głowie pewien pomysł, z którym walczyły jego własne skrupuły: włamać się do środka. Ostatecznie dlaczego nie?... Dziennikarz zabierając dokumenty postąpił w sposób naganny. Przypadek Jaimego Astarloi był odmienny. On chciał jedynie odzyskać coś, co w tragicznych okolicznościach stało się jego własnością.

Jeszcze raz zbliżył się do drzwi i bez specjalnej nadziei zastukał. Do diabła z przezornością. Tym razem nie czekał już na odpowiedź, tylko zaczął macać zamek, chcąc wypróbować, czy jest porządny. Zapalił drugą zapalkę i przyjrzał mu się uważnie. Nie było mowy o wyważaniu, bo to by zwabiło sąsiadów. Z drugiej strony nie wyglądało na to, by zamek był solidny. To dziwne, ale gdy przyłożył oko do dziurki, zobaczył w niej czubek tkwiącego od wewnątrz klucza. Zaintrygowany wyprostował się i zaczął wykręcać sobie dłonie ze zniecierpliwienia. Może Cárceles jednak jest w środku i domyślając się, kto go nawiedza, nie otwiera drzwi udając, że przebywa poza domem. Ta ewentualność fechtmistrzowi wcale nie przypadła do gustu. Coraz mocniej utwierdzał się w swym postanowieniu. Później zapłaci Cárcelesowi za zniszczenia, ale wejdzie.

Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby mu sforsować zamek. Nie miał w tych sprawach doświadczenia, choć domyślał się, że drzwi ustąpią, jeśli posłuży się dźwignią. Przepatrzył cały ganek, oświetlając sobie zapalkami, które osłaniał dłonią, ale niczego nie znalazł i właściwie już tracił wiarę. Zostały mu tylko trzy zapalki, a odpowiedniego narzędzia ani śladu.

Kiedy już dał za wygraną, ujrzał pordzewiałe pręty, wystające ze ściany. Przypominały drabinę. U góry w suficie ganku widniała kłapa, która bez wątpienia wychodziła na dach. Serce zabiło mu żywiej: przypomniał sobie, że mieszkanie Cárcelesa miało po drugiej stronie niewielki tarasik. Tamtędy powinno pójść łatwiej niż przez główne drzwi. Zdjął cylinder i surdut, włożył laskę w zęby i wspiał się ku kłapie. Otworzył ją bez trudu i zobaczył nad sobą rozgwieżdżone sklepienie nieba. Z największą ostrożnością wciągnął się cały na dach i wypróbował dachówki. Nie uśmiechało mu się w tej chwili pośliznąć się i zlecieć na ziemię trzy piętra niżej. Nieustanne ćwiczenie szermierki pozwoliło mu zachować całkiem dobrą kondycję jak na swój wiek, ale przecież nie był już pełnym wigoru młodzieńcem. Uznał, że trzeba poruszać się jak najuważniej, łapać się jedynie dobrze zamocowanych uchwytów i przenosić z miejsca na miejsce tylko jedną kończynę naraz, pozostałymi trzema przywierając mocno do podłoża. W oddali zegar wybił cztery razy na oznaczenie kwadransów, po czym jeszcze jeden raz. Stojąc na czworakach na dachu fechtmistrz pomyślał, że sytuacja przypomina jakąś piekielną groteskę, i dziękował ciemnościom, że pod ich osłoną nikt nie może zobaczyć go w tej niezręcznej pozie.

Przesuwał się po dachu z największą czujnością, by niepotrzebnym hałasem nie zbudzić sąsiadów. Cudem ominął wiele luźno osadzonych dachówek i w końcu znalazł się na małym okapie nad tarasem Agapita Cárcelesa. Schwyciwszy się rynny zawisł, po czym bez kłopotu postawił nogi na posadzce. Chwilę stał tam nieruchomo, w koszuli i w kamizelce, z laską w dłoni, i czekał, aż uspokoi mu się oddech, by w końcu zapalić zapalkę i podejść do drzwi – zwykłych, oszklonych, z prostym zamkiem zapadkowym, który dawało się otworzyć od zewnątrz. Jednak nim się do tego zabrał, zajrzał przez szybę do środka. W domu panowała ciemność.

Z zaciśniętymi zębami odemknął drzwi, jak najciszej umiał, i wszedł do wąskiej kuchni, przeciskając się między piecem a beczką na wodę. Słaba poświata księżycowa, dobiegająca zza okna, pozwalała rozróżnić kilka garnuszków na stole i leżące obok chyba resztki jedzenia. Zapalił przedostatnią zapalkę, chcąc znaleźć coś, czym mógłby sobie poświecić, i rzeczywiście na jednej z półek ujrzał lichtarz. Z westchnieniem ulgi przytknął płomień do knota świecy. Po podłodze rozbiegły się karaluchy.

Z kuchni wyszedł do krótkiego korytarzyka, w którym tapety oblażyły całymi płatami. Właśnie miał odsunąć kotarę, za którą znajdował się pokój, gdy wtem wydało mu się, że słyszy dźwięk, dobiegający zza drzwi po jego lewej stronie. Zamarł, wyostrzył słuch, ale do jego uszu dotarł tylko szmer własnego urywanego oddechu. Język mu zasechł i przywarł do podniebienia, w bębenkach dzwoniło. Miał wrażenie, że chwila jest nierealna, że to sen, z którego w każdym momencie może się obudzić. Powoli pchnął drzwi.

Była to sypialnia Agapita Cárcelesa i gospodarz znajdował się w środku. Ale Jaime Astarloa, który tylekroć układał sobie w myślach, co powie, kiedy go znajdzie, zupełnie nie był przygotowany na to, co zobaczyły jego rozszerzone ze strachu oczy. Dziennikarz leżał na plecach, całkiem nagi, a ręce i nogi miał uwiązane do czterech rogów łóżka. Od piersi do ud ciało miał pokryte broczącymi ranami zadanymi brzytwą, która połyskiwała w blasku świecy na zakrwawionym materacu. Mimo to żył. Na widok światła poruszył bezsilnie głowę, choć nie rozpoznał wchodzącego, a z jego opuchniętych warg wydobył się ochryply, zwierzęcy jęk przerażenia, belkotliwy i głęboki, w którym słychać było błaganie o litość.

Jaime Astarloa nie potrafił wykrztusić ani słowa. Machinalnie, jakby krew ścięła mu się w żyłach, zrobił dwa kroki w stronę łóżka i oniemiały patrzył na umęczone ciało przyjaciela. Tamten drgnął lekko, gdy wyczuł jego bliskość.

– Nie... Błagam... – wyszeptał raczej niż powiedział. Łzy i krew ściekały mu po policzkach. – Zmiluj się... Już dosyć, zmilujcie się... Wszystko... Wszystko powiedziałem... Litości... Nie... Dosyć, na miłość boską!

Błaganie przeszło w krzyk. Wytrzeszczone oczy Cárcelesa wpatrywały się w płomień świecy, a jego piersią wstrząsało agonalne rżenie. Jaime Astarloa wyciągnął dłoń i dotknął czoła leżącego: parzyło, jakby wewnątrz rozgorzał ogień. Spróbował się odezwać, choć ze ściśniętego zgrozą gardła wydobył się ledwie szept.

– Kto panu to zrobił?

Cárceles powoli przesunął wzrok na jego twarz, usiłując rozpoznać mówiącego.

– Diabeł – wymamrotał i jęknął, zdjęty ogromną trwogą. W kąciку ust pojawiła się żółtawa piana. – Oni są... Diabłem.

– A gdzie są dokumenty?

Cárceles wywrócił oczy, a jego ciałem wstrząsnął szloch.

– Zabierzcie mnie stąd, na litość boską... Nie chcę, żeby mnie znów znaleźli... Błagam, zabierzcie mnie... Powiedziałem wszystko... To on je miał, Astarloa... Przysięgam, nie mam z tym nic wspólnego... Idźcie do niego, on potwierdzi... Ja tylko chciałem... Nic więcej nie wiem... Na litość boską, nic więcej nie wiem!...

Don Jaime aż podskoczył, słysząc swoje nazwisko w ustach umierającego. Nie wiedział, kim są kaci, ale najwyraźniej Agapito Cárceles już im go wydał. Poczul, że włosy jeżą mu się na głowie. Nie ma czasu do stracenia, musi...

Coś się poruszyło za jego plecami. Wyczuwając czyjąś obecność, fechtmistrz wykonał półobrót i to być może uratowało mu życie. Jakiś twardy przedmiot musnął go w głowę i trafił w szyję. Ból go oszołomił, miał jednak na tyle przytomności umysłu, by uskoczyć w bok. Jakiś cień rzucił się ku niemu, świeca wypadła mu z rąk i runąwszy na podłogę zgasła.

Cofał się potykając w mroku o meble, tuż przed sobą słyszał oddech tajemniczego napastnika. Z desperacją chwycił mocno laskę, którą nadal miał w prawej dłoni, i uderzył nią w stronę, skąd musiał nadejść atakujący go przeciwnik.

Gdyby czas pozwolił mu na analizę własnego stanu ducha, fechtmistrz zdumiałby się stwierdzając, że wcale się nie boi, że jest zdecydowany drogo sprzedać swoją skórę. Sił do walki dodawała mu nienawiść, pragnienie zadania bólu, zgładzenia kata, znajdującego się gdzieś przed nim, co napelniło jego ramię mocą i sprężystością. Pomyślał o Luisie de Ayala, o Cárcelesie, o Adeli de Otero. Na rany Chrystusa, on nie da się zarżnąć jak tamci.

Nawet sobie tego nie uświadamiał, ale mężnie oczekując ataku z ciemności stary mistrz fechtunku instynktownie przyjął pozycję obronną, którą zawsze zajmował podczas pojedynków szermierczych.

– *Do mnie!* – zawołał wyzywająco w mrok. W pobliżu usłyszał czyjeś sapanie, coś dotknęło czubka jego laski. Nieznana ręka chwyciła ją mocno, usiłując wyrwać mu oręż i w tym momencie Jaime Astarloa zaśmiał się bezgłośnie słysząc, jak dolna część laski zsuwa się ze stali. Na to czekał. Napastnik sam wy dobył mu broń z pochwy, bezwiednie też wskazał z grubsza kierunek i odległość, w jakich się znajdował. Fecht mistrz cofnął ramię, wyciągając szpadę do końca i trzykrotnie wypadł do przodu na zgiętą prawą nogę, za każdym razem zadając pchnięcie w mrok na oślep. Przy trzecim coś twardego stanęło mu na drodze, równocześnie rozległ się jęk bólu.

– *Do mnie!* – krzyknął znów don Jaime, rzucając się w kierunku drzwi z wyciągniętą przed siebie szpadą. Rozległ się loskot przewracanych mebli, tuż obok niego przeleciał jakiś przedmiot i roztrzaskał się na kawałki o ścianę. Nieszkodliwa część laski uderzyła

go niezbyt mocno w ramię, gdy tylko minął miejsce, gdzie powinien znajdować się wróg.

– Łap go! – zawołał jakiś głos około dwóch piędzi od niego. – Ucieka drzwiami!... Ugodził mnie szpadą!

Najwidoczniej morderca był tylko ranny i, co gorsza, nie działał sam. Don Jaime przedarł się przez drzwi na korytarz, zadając ciosy po omacku.

– *Do mnie!*

Wyjście musiało być po lewej stronie, w końcu korytarza, za zasłoną, którą widział po wejściu do domu. Na drodze stanęła mu ciemna sylwetka, coś rąbnęło o ścianę tuż koło jego czaszki. Nie zatrzymując się don Jaime schylił głowę, broń trzymał wciąż przed sobą. Posłyszał urywany oddech, czyjaś dłoń chwyciła go za kołnierz. Z bardzo bliska poczuł ostry zapach potu. Ktoś usiłował go pojmać, ręce napastnika już–już miały objąć go za klatkę piersiową. Dusząc się i nie mogąc odstać, by pomóc sobie szpadą, don Jaime zdołał jedynie wyzwolić lewą dłoń, którą wymacał w ciemności źle ogoloną twarz. W tym momencie, zebrał się w sobie, z całą opadającą już siłą złapał agresora za włosy i brutalnie uderzył go własnym czołem. Gwałtownemu bólowi łuku brwiowego towarzyszyło gluhe chrupnięcie. Ciepła, lepka ciecz popłynęła mu po twarzy. Nie był pewien, czy to jego krew, czy też zdołał przeciwnikowi rozbić nos, czuł jedynie, że jest na powrót wolny. Przywarł plecami do ściany i zaczął się przesuwając, zataczając szpadą półkola. Przewrócił coś z hukiem.

– *Do mnie, łajdaki!*

I ktoś rzeczywiście zmierzał do niego. Jeszcze nim go dotknął, już wyczuł jego obecność, usłyszał kroki, zaczął więc zadawać ciosy przed siebie, aż powstrzymał agresora. Dysząc znów oparł się o ścianę, żeby złapać tchu. Był wyczerpany, wątpił, by udało mu się dłużej stawiać opór, nie potrafił jednak po ciemku odnaleźć drzwi. Zresztą nawet gdyby do nich dotarł, nie będzie miał czasu poszukać klucza, włożyć go do zamka i przekręcić, nim tamci rzucają się znów na niego. „Dotarłeś aż tu, stary przyjacielu” – rzekł w duchu, bez szczególnej nadziei, rozglądając się po ciemnym pomieszczeniu. Z pewnością nie żałował, że umrze tam w mroku. Gnębiło go tylko, że odejdzie nie poznawszy prawdy.

Coś zaszemrało po prawej stronie. W odpowiedzi zadał cios – żelazo wygięło się gwałtownie, napotkawszy twardą przeszkodę: jeden z zabójców przesunął się ku niemu z krzesłem jako tarczą. Przyciśnięty do ściany don Jaime posuwał się dalej w lewo do chwili, gdy ramieniem dotknął jakiegoś mebla, może szafy. Machnął szpadą jak batem i z zadowoleniem usłyszał świst głowni rozcinającej powietrze. Przeciwnicy też musieli go usłyszeć i z pewnością będą przez moment ostrożniejsi. To opóźniło wyrok o parę sekund.

Znowu byli blisko, czuł ich, jeszcze nim podejmowali kolejny ruch. Skoczył do przodu, przewracając jakieś rzeczy na podłogę i dopadł przeciwległej ściany. Tu zamarł i wstrzymał oddech, żeby powietrze wpływające i uchodzące przez usta i nos nie zagłuszało pozostałych dźwięków. Coś upadło z łoskotem tuż obok po lewej. Nie zwlekając ani chwili, wsparł się na lewej nodze i zadał dwa kolejne pchnięcia. Rozległ się wściekły jęk.

– *Znów mnie trafił!*

Ten ktoś był niewątpliwie idiotą. Jaime Astarloa skorzystał z okazji, żeby zmienić miejsce, tym razem na szczęście nie potrącając niczego po drodze. Pomyślał, że sytuacja przypomina dziecięcą zabawę w ciuciubabkę, i uśmiechnął się w duchu. Zastanawiał się, ile jeszcze zdoła wytrzymać. Raczej niedługo. Z drugiej strony nie jest to wcale najgorsza śmierć. Znacznie gorzej byłoby dogasać za parę lat w przytułku, gdzie zakonnice podkradałyby mu ostatnie oszczędności trzymane pod łóżkiem, a on bluźniłby Bogu, w którego i tak nigdy nie zdołał uwierzyć.

– *Do mnie!*

Tym razem jego słabnący okrzyk wojenny trafił w próżnię. Jakiś cień przemknął obok niego, depcząc fajansowe skorupy, i naraz w ścianie otworzył się jaśniejszy prostokąt. Sylwetka szybko wysliznęła się przez otwarte drzwi, a za nią w pośpiechu pokuśtykała druga. Na ganku słychać było już głosy sąsiadów, zbudzonych hałasami walki, czyjeś kroki, otwierane lufciki i drzwi, rozgorączkowane pytania, krzyki kobiet. Chwiejąc się fechtmistrz podszedł do drzwi, oparł się o futrynę i z rozkoszą wciągnął w płuca chłodne, nocne powietrze. Ubranie miał całe przepecone, a dłoń ściskająca szpadę drżała mu jak liść na wietrze. Dopiero po chwili dotarło do niego, że jednak trochę jeszcze pożyje.

Z wolna gromadzili się wokół niego wystraszeni sąsiedzi w koszulach nocnych, tłocząc się z zaciekawieniem. Trzymali świece i lampy naftowe, próbowali nimi rozjaśnić wnętrze mieszkania, do którego zaglądali pożądliwie, ale obawiali się wejść. Naraz rozstąpili się przed stróżem porządku, który podejrzliwie mierzył spojrzeniem szpadę w dłoni don Jaimego.

– Złapaliście ich? – zapytał fechtmistrz bez specjalnej nadziei.

Stróż potrząsnął przecząco głową i zsunawszy kaszkiet, podrapał się po potylicy.

– Nie dało rady, wielmożny panie. Goniliśmy z sąsiadem i jego służącym dwóch mężczyzn uciekających ulicą co sił w nogach, ale koło Bramy Toledańskiej wskoczyli do powozu, który czekał na nich, i tyle ich widzieliśmy... Czy zdarzyło się jakieś nieszczęście?

Don Jaime skinął głową i wskazał wewnątrz mieszkania.

– Tam jest ciężko ranny człowiek, proszę sprawdzić, co da się zrobić. Byłoby wskazane, gdyby wezwał pan lekarza – cała energia, jaką wykazał podczas walki, teraz umykała ustępując miejsca wielkiemu znużeniu. Nagle poczuł się stary i zmęczony. – I niech ktoś zawiadomi policję. Należy pilnie poinformować o wszystkim naczelnika, Jenara Campilla.

Przedstawiciel władzy zmienił ton na usłużny.

– W te pędy – popatrzył z uwagą na don Jaimego, ze szczególnym lękiem wpatrując się w krwawe ślady na jego twarzy. – Czy wielmożny pan jest ranny?

**Nauczyciel szermierki dotknął palcami czoła i wymacał jedynie opuchliznę wokół brwi, niewątpliwie ślad po ciosie głową.**

**– To nie moja krew – odparł ze słabym uśmiechem. – A jeśli potrzebny jest rysopis tych dwóch typów, co tu byli, niestety, niewiele mogę pomóc... Mogę tylko powiedzieć, że jeden ma rozbity nos, a drugi dwie rany gdzieś na ciele.**

**Rybie oczy wpatrywały się w niego chłodno zza binokli.**

**– To wszystko?**

**Jaime Astarloa wbił wzrok w osad po kawie na dnie filiżanki, którą trzymał w dłoni. Odczuwał jeszcze trochę wstydu.**

**– To wszystko. Teraz powiedziałem panu to, co naprawdę wiem.**

**Campillo wstał od stołu w swoim gabinecie, przeszedł się po pokoju, stanął przy oknie i zapatrzył się na dwór, kciuki zatknawszy za wycięcia kamizelki. Po chwili odwrócił się z wolna i spojrzał posępnie na fechtmistrza.**

**– Panie Astarloa... Pan wybaczy, ale w całej tej sprawie zachował się pan jak dzieciak.**

**Nauczyciel szermierki zamrugął oczami.**

**– Sam wiem o tym najlepiej.**

**– Coś takiego? Pan wie najlepiej, proszę, proszę. A może mi pan powiedzieć, na jakie lichy nam teraz ta pańska wiedza? Tego Cárcelesa pocięto na befsztyki, jakby był rzeźnym wołem, bo panu ubzdurało się, że jest pan Rocambole'em.**

**– Chciałem tylko...**

**– Wiem świetnie, co pan chciał. Wolę za dużo o tym nie myśleć, żeby nie ulec pokusie, by wsadzić pana do więzienia.**

**– Miałem zamiar ochronić Adelę de Otero.**

**Naczelnik policji zaśmiał się z sarkazmem.**

**– Właśnie widziałem – pokręcił głową jak lekarz po stwierdzeniu beznadziejnego przypadku. – Przekonaliśmy się też, na co się przydała pańska ochrona: jedna osoba zaszlachtowana, druga prawie, a pan cudem uszedł żywy. Że nie wspomnę o Luisie de Ayala.**

**– Staram się trzymać na uboczu...**

**– Tym lepiej. Jeśli zdecyduje się pan wdepnąć na całego, gwarantuję panu jatkę –**



Campillo wyciągnął z kieszeni chusteczkę i zaczął starannie czyścić szkła binokli. – Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, panie Astarloa, z powagi sytuacji.

– Zdaje sobie sprawę. I godzę się na konsekwencje.

– Usiłował pan ochronić osobę, która mogła być zamieszana w zabójstwo markiza... Ścisłej mówiąc, na pewno była zamieszana, skoro nawet jej śmierć nie może wykluczyć, że ta kobieta brała udział w intrydze. Co więcej: być może to właśnie kosztowało ją życie...

Campillo odczekał chwilę, nałożył binokle, a chusteczką otarł pot z twarzy.

– Proszę mi odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie, panie Astarloa: dlaczego ukrywał pan prawdę o tej kobiecie

Po dłuższym milczeniu fechtmistrz uniósł wolno głowę i popatrzył w jakiś odległy punkt za plecami naczelnika policji, jakby ten był przezroczysty. Przymknął powieki, a jego szare oczy nabrały surowości.

– Kochałem ją.

Przez okno dobiegał turkot powozów przejeżdżających ulicą. Campillo milczał bez ruchu. Wyraźnie pierwszy raz nie wiedział, co powiedzieć. Znów przeszedł się po pokoju, odchrząknął w zakłopotaniu, po czym nie śmiać spojrzeć w twarz fechtmistrzowi usiadł na powrót za biurkiem.

– Bardzo mi przykro – odezwał się po chwili.

Jaime Astarloa kiwnął głową bez słowa.

– Będę z panem szczery – dodał naczelnik policji po chwili, która wystarczyła, by przebrzmiało echo ich ostatnich słów. – Z każdą upływającą godziną coraz mniejsze są szanse, żebyśmy rozwikłali tę sprawę, żebyśmy chociaż potrafili wskazać winnych. Pański przyjaciel Cárceles, a raczej to, co z niego zostało, to jedyna żywa osoba, która ich widziała. Miejmy nadzieję, że wydobrzeje na tyle, żeby móc nam coś powiedzieć... Naprawdę nie udało się panu zidentyfikować żadnego z typków, którzy torturowali naszego biedaka?

– Niemożliwe. Wszystko działo się w ciemnościach.

– Miał pan wczoraj sporo szczęścia. Mógł pan teraz leżeć w znanym już miejscu na marmurowym stole.

– Wiem.

Policjant uśmiechnął się blade. Pierwszy raz tego ranka.

– Jak rozumiem, okazał się pan trudnym orzechem do zgryzienia – wykonał w powietrzu parę ruchów, naśladując walkę szermierzy. – W pana wieku... To znaczy,

uważam to za nietypowe. Żeby człowiek w pańskim wieku stawiał tak dzielnie czoło dwóm zawodowym mordercom...

Jaime Astarloa wzruszył ramionami.

– Walczyłem w obronie własnego życia, panie Campillo.

Tamten wsunął cygaro w usta.

– To ważki powód – przyznał ze zrozumieniem. – Bez wątpienia ważki. Nadal nie pali pan, panie Astarloa?

– Nadal nie palę.

– Ciekawa sprawa, drogi panie – Campillo zapalił zapalkę i z widocznym zadowoleniem wciągnął pierwsze kłęby dymu. – Widzi pan, mimo pańskiego... niezbyt roztropnego postępowania w tej historii musze przyznać, że czuje do pana dziwną sympatię. Poważnie. Pozwoli pan, że dokonam tu pewnego śmiałego porównania? Ma się rozumieć, z całym szacunkiem.

– Pozwolę.

Wodniste oczy wpatrywały się w niego z uwagą.

– Ma pan w sobie coś... Jakąś niewinność, nie wiem, czy mnie pan rozumie. Chodzi mi o to, że swoim zachowaniem upodabnia się pan, przy oczywistych zastrzeżeniach, do mnicha z klauzury, którego nagle wciągnął cały zamęt tego świata. Pojmuje pan? W całej tej tragedii pan jak gdyby poruszał się we własnym piekle, nie zważając na wymogi logiki i kierując się nadzwyczaj szczególnym poczuciem rzeczywistości... Poczuciem, które oczywiście nie ma nic wspólnego z rzeczywistą rzeczywistością. I zapewne to właśnie owej nieświadomości, wybaczy pan to słowo, owemu dziwnemu paradoksowi zawdzięczamy, że nasze kolejne spotkanie odbywa się w tym gabinecie, a nie w kostnicy. Podsumowując: podejrzewam, że w żadnym momencie, nawet teraz, nie docierała i nie dociera do pana powaga sytuacji, w którą się pan wplątał.

Jaime Astarloa postawił na stole filiżankę i spojrział na rozmówcę nachmurzony.

– Mam nadzieję, że nie usiłuje pan udowodnić, jakobym był idiotą, panie Campillo.

– Nie, nie, ależ skąd – policjant uniósł dłonie, jakby usiłował umieścić swoje poprzednie słowa we właściwym miejscu. – Chyba niedostatecznie jasno się wyrażam, panie Astarloa. Proszę wybaczyć mi tę niezręczność. Widzi pan... Gdy mamy do czynienia z mordercami, a zwłaszcza gdy mordercy ci zachowują się tak bezwzględnie i profesjonalnie, jak w naszym przypadku, sprawą powinny zająć się kompetentne organy, które są takimi samymi zawodowcami, jeśli nie lepszymi. Rozumie pan?... Dlatego zdumiewające jest, gdy ktoś, kto jak pan na co dzień żyje z dala od tych rzeczy, łązi w tę i we w tę pośród zabójców i ofiar i jeszcze ma tyle szczęścia, że wychodzi z tego bez draśnięcia. To się nazywa, drogi panie, mieć dobrą gwiazdę, bardzo dobrą. Ale szczęście lada dzień może pana opuścić. Słyszał pan o grze w rosyjską ruletkę?... Do tego

potrzebny jest ten nowoczesny rewolwer, prawda? Cóż, w każdym razie kiedy igramy z własnym szczęściem, musimy pamiętać, że w bębenku zawsze jest jedna kula. I jeśli będziemy ciągle naciskać spust, kiedyś ta kula wystrzeli i trach! Koniec historii. Pojął mnie pan?

Fechtmistrz skinął w milczeniu głową. Zadowolony z własnego wystąpienia policjant rozparł się na krześle z dymiącym cygarem w dłoni.

– Moja rada jest następująca: w przyszłości niech się pan naprawdę trzyma na uboczu. Dla większego bezpieczeństwa lepiej by było, gdyby opuścił pan na jakiś czas swoje mieszkanie. Po tylu emocjach dobrze panu podróż. Niech pan pamięta: mordercy wiedzą już, że pan miał te dokumenty, i zależy im, żeby zamknąć panu usta na zawsze.

– Zastanowię się.

Campillo uniósł dłoń, chcąc dać do zrozumienia, że udzielił fechtmistrzowi wszystkich rad, jakie miał w zanadrzu.

– Chętnie dałbym panu jakąś oficjalną ochronę, ale nie mam jak. Czas jest krytyczny. Powstańcy Serrana i Prima ciągną na Madryt, zbliża się bitwa, być może decydująca, musimy się liczyć z tym, że rodzina królewska nie wróci, tylko pozostanie w San Sebastián, żeby mieć blisko do Francji... Jak pan sam rozumie, z uwagi na moje stanowisko mam poważniejsze sprawy na głowie.

– Chce mi pan powiedzieć, że nie zdołacie złapać morderców?

Policjant zrobił dwuznaczną minę.

– Żeby kogoś złapać, trzeba najpierw wiedzieć, kim jest. A mnie brakuje danych. Istna hekatomba: dwa trupy, ten biedaczyna pocięty i pogrążony w obłędzie, pewnie zresztą nie przeżyje, i to koniec. Może uważna lektura tajemniczych dokumentów coś by nam pomogła, ale dzięki pańskiemu... powiedzmy litościwie, absurdalnemu zaniedbaniu, papiery zniknęły. Obawiam się, że na zawsze. Moją jedyną kartą jest obecnie pański przyjaciel Cárceles. Jeśli przyjdzie do siebie, może zdoła nam wyjaśnić, skąd mordercy wiedzieli, że to on ma kopertę, co było w niej w środku i, kto wie, także nazwisko, którego szukamy... Naprawdę niczego pan nie zapamiętał?

Strapiony fechtmistrz zaprzeczył ruchem głowy.

– Powiedziałem panu wszystko, co wiem – bąknął. – Udało mi się przeczytać je tylko raz, bardzo pobieżnie, ledwie cokolwiek pamiętam. To były listy i noty oficjalne, spisy nazwisk, w tym wojskowych. Nie widziałem tam żadnego sensu.

Campillo spojrzał na niego jak na ciekawostkę przyrodniczą.

– Zapewniam pana, panie Astarloa, że rozbraja mnie pan, słowo daję. W tym kraju do narodowych rozrywek należy strzelanie ze sztucera do pierwszego lepszego przechodnia, a kiedy dwóch ludzi dyskutuje, to natychmiast zbiera się tłum następnych dwustu, którzy się przysłuchują i biorą stronę jednego albo drugiego. Pan tu nie pasuje.

**Chciałbym wiedzieć...**

Rozległo się stukanie do drzwi, po czym na progu stanął policjant w cywilu. Campillo popatrzył na niego z przyzwalającą miną. Przybyły podszedł do stołu, pochylił się i szepnął mu coś do ucha. Naczelnik policji zmarszczył brwi i pokiwał ciężko głową. Chwilę później cywil pożegnał się i wyszedł. Campillo podniósł oczy na don Jaimego.

– Przepadła nasza ostatnia nadzieja – odezwał się ponuro. – Pański przyjaciel Cárceles już nie cierpi.

Jaime Astarloa opuścił dłonie na kolana i wstrzymał oddech. Jego otoczone zmarszczkami szare oczy wpatrywały się w rozmówcę.

– Słucham?

Policjant wziął do ręki ołówek i złamał go w palcach, a następnie pokazał fechtmistrzowi resztki, jakby to miało cokolwiek oznaczać.

– Cárceles zmarł właśnie w szpitalu. Moim agentom nie udało się wydobyć z niego ani słówka, bo nie odzyskał rozumu. Umarł oszalały z przerażenia – rybie oczy naczelnika wytrzymały wzrok don Jaimego. – Tak więc, panie Astarloa, teraz pan pozostał jedynym nietkniętym ogniwem w tym łańcuchu.

Campillo zamilkł na chwilę i kawałkiem złamanego ołówka podrapał się pod peruką.

– Gdybym był w pana skórze – dodał z lodowatą ironią – nie oddalałbym się zbyt od tej wspaniałej laski–szpady.

## Rozdział ósmy

### Na ostre

*Podczas walki na ostre należy brać pod uwagę inne względy, nie wolno też tracić z oczu żadnej okazji, która zapewnia obronę, pod warunkiem, że nie przeczy to zasadom honoru.*

Dochodziła czwarta po południu, kiedy wyszedł z gmachu rządu. Było gorąco i parno, więc zatrzymał się na chwilę pod markizą pobliskiej księgarni i patrzył od niechcienia na powozy, jeżdżące po centrum Madrytu. Kilka kroków dalej głośno zachwalał swój towar wędrowny sprzedawca orszady. Jaime Astarloa podszedł do jego wózka, zamówił jedną szklankę i wkrótce biały płyn przyniósł jego gardłu przejściową, orzeźwiającą ulgę. Cyganka, stojąc w pełnym słońcu z uczepionym jej czarnej spódnicy bosym dzieciakiem, proponowała przechodniom bukiet zwiędniętych goździków. Chłopczyk nagle puścił się biegiem obok omnibusu, wypełnionego spoconymi pasażerami, ale pognany biczem woźnicy wrócił do matki, pociągając hałaśliwie nosem.

Rozgrzane powietrze falowało nad brukiem. Fechtmistrz zdjął cylinder, chcąc otrzeć pot z czoła i stał tak chwilę bez ruchu. Właściwie nie wiedział, dokąd iść.

Pomyślał, że może pójdzie w stronę kawiarni, ale nie miał ochoty odpowiadać na pytania o wypadkach w domu Cárcelesa, jakie bez wątpienia postawiliby mu uczestnicy spotkań. Przypomnił sobie, że opuścił zajęcia z uczniami, i to przygnębiło go bardziej niż cokolwiek w ciągu ostatnich dni. Postanowił jak najszybciej napisać listy z przeprosinami...

Wydawało mu się, że jakiś człowiek, stojący na rogu San Jerónimo w grupce beczynnich gadających ludzi, patrzył na niego. Był skromnie ubrany, miał wygląd robotnika. Kiedy Jaime Astarloa zaczął się mu przyglądać, tamten odwrócił wzrok i znów pograżył się w rozmowie z pozostałą czwórką. Zaniepokojony nauczyciel szermierki nieufnie zlustrował nieznanego. Śledzą go? Początkowy lęk ustąpił zaraz miejsca złości na samego siebie. Właściwie widział teraz podejrzanego w każdym przechodniu, mordercę w każdej mijanej osobie, jaka z takiego czy innego powodu choćby przez chwilę spojrziała mu w oczy.

Opuścić dom, wyjechać z Madrytu. Taką radę otrzymał od Campilla. Zadbać o własne bezpieczeństwo. Czyli, krótko mówiąc, uciec. Zwyczajnie uciec – powiedział w duchu z rosnącą niechęcią. Do diabła – tylko do takiego wniosku był teraz w stanie dojść. Do diabła z nimi wszystkimi. Za stary jest na to, żeby się chować jak trusia. Już sama myśl o tym wydawała się czymś niegodnym. Jego długie życie pełne było doświadczeń, wystarczająco wielu, by móc o sobie mówić z dumą. Dlaczego teraz, w ostatniej chwili, miałby zmieniać ten obraz siebie i skazywać na hańbę ucieczki? Poza tym nie miał

pojęcia, przed czym lub przed kim uciekać. Nie miał zamiaru spędzić reszty życia w niepewności, upatrywać niebezpieczeństwa w każdej nieznaej twarzy. Miał za sobą zbyt wiele lat, żeby rozpoczynać nowe życie.

Od czasu do czasu wracało dojmujące ukłucie bólu na wspomnienie oczu Adeli de Otero, śmiechu markiza de los Alumbres, płomiennych mów nieszczęsnego Cárcelesa... Postanowił uodpornić umysł na te obrazy, inaczej bowiem popadnie w melancholię i rozstrój nerwowy, za nimi zaś czaił się strach, któremu tak bardzo nie chciał ulec. Strach – powiedział sobie – nie przystaje do jego charakteru ani wieku. Najgorsze, co go może spotkać, to śmierć, a na jej spotkanie jest przygotowany. Nie koniec na tym – pomyślał z głębokim zadowoleniem. Stał się przecież nocą dzielnie do, zdawałoby się, beznadziejnej walki i na samo wspomnienie własnej postawy, mile lechące jego próżność, aż przymknął oczy. Stary, samotny wilk pokazał, że jeszcze potrafi ugryźć.

Nie będzie uciekał. Przeciwnie, będzie czekał z otwartą przyłbicą. *Do mnie* – głosiła dewiza jego starego rodu i zgodnie z nią właśnie zamierzał czekać, aż sami przyjdą do niego. Uśmiechnął się do siebie. Zawsze uważał, że każdy powinien mieć możliwość umrzeć na stojąco. I teraz, gdy najbliższa przyszłość oferowała tylko starość, obumieranie organizmu, powolną agonię w przytułku albo rozpaczliwą kulę w łeb, on, Jaime Astarloa, profesor szermierki Akademii Paryskiej, ma oto okazję zagrać losowi na nosie i stawić czoło czemuś, co inny odsunąłby z przerażeniem. Nie zamierzał szukać swoich przeciwników, bo nie wiedział, kim są i gdzie przebywają, ale sam Campillo zapowiadał, że prędzej czy później znajdą i jego, ostatnie nietknięte ogniwo łańcucha. Przypomniał sobie słowa z przeczytanej ostatnio francuskiej powieści: „Jeśli uzyska wewnętrzny spokój, to choćby cały świat sprzysiął się przeciw niemu, ani odrobina smutku w nim więcej nie zagości”<sup>5</sup>... Niech nędznicy zobaczą, ile warta jest skóra starego fechtmistrza.

Taki obrót myśli poprawił mu samopoczucie. Rozejrzał się, jakby rzucał wyzwanie całemu światu, wyprostował się i ruszył do domu, machając lekko laską. Przechodzący mimo ludzi widzieli w Jaimem Astarloi jedynie zwykłego, skwaszonego, starego chudzielca w niedzisiejszym ubraniu, zapewne odbywającego codzienną przechadzkę dla rozruszania steranych kości. Gdyby jednak uważniej zajrzeli mu w oczy, ze zdumieniem stwierdziliby w nich szary, śmiały błysk, zahartowany jak stal floretu.

Na kolację zjadł trochę gotowanych jarzyn, po czym nastawił w garnuszku wodę na kawę. Czekając, aż się zaparzy, wziął z regału książkę i zasiadł na sfatygowanej sofie. Po jakimś czasie odnalazł fragment, podkreślony starannie ołówkiem z dziesięć czy piętnaście lat wstecz:

*Charakter duchowy łączy się ze scenami jesiennymi: liście ulatują jak lata nasze, kwiaty więdną jak nasze godziny, chmury umykają jak nasze złudzenia, światło mierzchnie niczym*

---

<sup>5</sup> Stendhal, *Lucjan Leuwen*, przeł. Julian Rogoziński.

*rozum nasz, słońce stygnie jak nasze miłości, lód skuwa rzeki na podobieństwo naszego życia. Cały ten pejzaż w utajony sposób zespala się z naszym losem...*<sup>6</sup>

Poruszając bezgłośnie wargami, przeczytał parę razy podkreślone wersy. Podobne przemyślenia mogłyby trafić do epitafium. Z ironią na twarzy, ironią, której chyba nikt lepiej od niego w owej chwili nie rozumiał, odłożył otwartą książkę na sofę. Zapachy docierające z kuchni świadczyły, że kawa jest gotowa, poszedł więc i nalał sobie filiżankę. Z kawą wrócił do gabinetu.

Zmierzchało. Nieskończenie daleko za oknem mrugała samotna Wenus. Stojąc pod portretem ojca, pociągnął łyk kawy. „Przystojny mężczyzna” – orzekła kiedyś Adela de Otero. Potem podszedł do oprawionych insygniów dawnego pułku Gwardii Królewskiej. W nim zaczęła się i skończyła jego krótka kariera wojskowa. Obok wisiał poźółkły od starości dyplom Akademii Paryskiej. Na pergaminie znać było sporo plam – ślad wilgoci, towarzyszącej wielu zimom. Bez trudu przywołał w pamięci dzień, kiedy otrzymał ten dyplom od trybunału złożonego z najznamienitszych profesorów Europy. Siedzący z drugiej strony stołu stary Lucien de Montespan patrzył na swego ucznia z uprawnioną dumą. „Uczeń przerasta mistrza” – powie mu później.

Czubkami palców pogładził niewielką szkatułkę z rozłożonym wachlarzem. Tyle zostało mu po kobiecie, z powodu której opuścił kiedyś Paryż. Gdzie się teraz podziewa? Na pewno jest czcigodną babunią, dystygowaną i przemilą, która patrzy, jak rosną jej wnuki, wyszywa pięknymi niegdyś dłońmi i w skrytości ducha pielęgnuje nostalgiczne wspomnienia młodości. Albo i nawet nie to: może po prostu zapomniała o swoim fechtmistrzu.

Nieco dalej na ścianie wisiał drewniany różaniec o zniszczonych, poczerniałych paciorkach. Amelia Béseos de Astarloa, wdowa po bohaterze wojny z Francuzami, nie wypuściła tego różańca z dłoni aż do dnia swojej śmierci, a jakiś pobożny krewny przekazał go potem jej synowi. Przyglądając się paciorkom, Jaime Astarloa doświadczał dziwnego wrażenia: z upływem lat coraz bardziej zacierały mu się w pamięci rysy matki. Nie potrafił jej sobie przypomnieć. Wiedział tylko, że była piękna, we wspomnieniach zachował dotyk smukłych, delikatnych dłoni, które głaskały go, gdy był chłopcem, i ciepłą, pulsującą szyję, w którą wtulał się, gdy sądził, że jest mu źle. Pamięć przechowała też obraz wyblakły jak stare malowidło: widziana z ukosa, pochylona kobieta przy ogromnym kominku, dmuchająca w żar, którego czerwone odbłyśki padały na ściany mrocznego salonu.

Fechtistrz dopił kawę i odwrócił się od wspomnień. Dłuższy czas stał bez ruchu starając się, by żadna myśl nie zakłóciła spokoju, jaki w tym momencie zapanował w jego duszy. Potem postawił filiżankę na stole, podszedł do komody, otworzył szufladę i wyciągnął długi i płaski nesoser. Odemknął zamki i wyjął ze środka ciężki przedmiot owinięty w gałganek. Po chwili trzymał w dłoni rewolwer marki Lefauchaux z drewnianą kolbą i bębniem na pięć wysokokalibrowych nabożów. Miał tę broń już

---

<sup>6</sup> François-René de Chateaubriand, *Pamiętniki zza grobu*.

pięć lat, dostał ją w prezencie od klienta, ale nigdy dotąd nie myślał, że mógłby się nią posłużyć. Kodeks honorowy z zasady sprzeciwiał się używaniu broni palnej, którą określał jako narzędzie tchórzów lubiących zabijać na odległość. Jednak obecne okoliczności pozwalały odłożyć na bok niektóre skrupuły.

Położył rewolwer na stole i zaczął go ostrożnie ładować, powoli wsuwając pociski w kolejne otwory. Zakończywszy tę czynność, zważył broń w dłoni i odłożył ją z powrotem na stół. Podparł się pod boki, rozejrzał po pokoju, podszedł do fotela i przesunął go tak, by stał twarzą ku drzwiom. Obok postawił stolik z lampą naftową i paczką zapalek. Jeszcze raz zlustrował pomieszczenie, po czym pogasił wszystkie lampy, jakie były w domu. Tylko w lampie w izdebce, znajdującej się między drzwiami wyjściowymi a gabinetem, przykręcił płomień tak, by rzuciła słaby, niebieskawy poblask na przedpokój. Salon pozostawał w mroku. Teraz wyciągnął szpadę z futerału-laski i razem z rewolwerem położył ją na stoliku, stojącym koło fotela. Chwilę postął w ciemności, oglądając efekt. Zadowolony poszedł do przedpokoju i odsunął rygiel w drzwiach.

Pogwizdując wziął z kuchni dzbanek kawy i czystą filiżankę, wrócił na fotel i ustawił naczynia na stoliku obok lampy, zapalek, rewolweru i szpady. Wreszcie, skróciwszy knot, zaśwycił lampę, nalał kawę i podnosząc filiżankę do ust, zaczął czekać. Nie wiedział, ile ich będzie, ale był pewien, że jego noce od teraz będą długie.

Oczy mu się kleiły. Głowa opadła i w tym momencie poczuł gwałtowny ból w karku. Zamrugał oczami zaskoczony. W przytłumionym świetle lampy naftowej sięgnął do dzbanka i nalał sobie trochę kawy. Wyciągnął z kieszeni zegarek i zerknął na wskazówki: był kwadrans po drugiej. Kawa dawno ostygła, ale krzywiąc się wypił ją jednym haustem. Wokół panowała zupełna cisza i pomyślał, że może jednak nie przyjdą. Rewolwer i naga głownia szpady matowym blaskiem odbijały słaby płomyk lampy.

Przez chwilę jego uwagę przykuł dobiegający z za otwartego okna dźwięk przejeżdżającego pod domem powozu. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał jakiegokolwiek odgłosu, który mógłby zwiastować niebezpieczeństwo. Trwał tak do czasu, aż turkot oddalił się i wreszcie umilkł. Innym razem zdawało mu się, że słyszy skrzypnięcie na schodach, i dłuższy czas wpatrywał się w błękitny półmrok przedpokoju, gładząc dłonią kolbę rewolweru.

Gdzieś w powale kręciła się mysz. Podniósł oczy ku sufitowi i słuchał szmeru, z jakim zwierzątko krzątało się między belkami. Kilka dni temu postanowił na nie zapolować i z tym zamiarem umieścił w kuchni kilka pułapek koło dziury przy kominie, przez którą gryzoń przedsiębrał swoje nocne wypadki do spiżarni. Miał jednak do czynienia ze sprytną myszą – ser był ponadgryzany tuż koło sprężynki, ale tak, by druciane łapki się nie zatrzasnęły. Była z pewnością utalentowana – tu tkwiła różnica między ściganym a ścigającym. Wsłuchując się w skrobanie nad głową, fechtmistrz poczuł radość, że nie udało mu się jej złapać. Jej towarzystwo przynosiło ulgę podczas długiego oczekiwania.



W jego umyśle, skołowanym od napięcia i półsnu, zaczęły się pojawiać dziwne obrazy. Trzykrotnie zdawało mu się, że widzi coś w przedpokoju, trzykrotnie podrywał się i znów opadał na fotel stwierdziwszy, że to tylko omamy. Nieopodal zegar kościoła Świętego Ginesa wybil kwadrans i trzy uderzenia.

Tym razem nie miał już wątpliwości. Coś szurało na schodach, dobiegał go stłumiony szmer. Powoli pochylił się naprzód i każdym najmniejszym nerwem wsłuchiwał się w zbliżające się zza drzwi ostrożne szelesty. Wstrzymał oddech, gardło miał ściśnięte od napięcia. Zgasił lampę – teraz widział tylko pograżony w półmroku przedpokój. Nie podnosząc się wziął do ręki rewolwer, odbezpieczył go, tłumiąc dźwięk kurka między nogami, i oparty łokciami o blat wycelował w drzwi. Nie był specjalistą od strzelania, ale z tej odległości trudno było nie trafić. Poza tym w magazynku miał pięć kul.

Zaskoczony usłyszał delikatne stukanie do drzwi. Pomyślał, że to raczej nietypowe, by morderca prosił o pozwolenie wejścia do domu ofiary. Milcząc czekał bez ruchu w ciemności. Może chcą sprawdzić, czy śpi.

Znów stukano, nieco głośniejsze, ale niezbyt energicznie. Najwyraźniej tajemniczy gość nie chciał zbudzić sąsiadów. W don Jaimem zaczynało narastać zakłopotanie. Spodziewał się, że będą raczej wyważać drzwi, a nie pukać do niego o trzeciej w nocy. Zresztą i tak odsunął rygiel, więc wystarczyło tylko poruszyć klamkę. Ścisnął mocno rewolwer, lekko gładził spust palcem wskazującym i czekał, nie śmiać odetchnąć. Ktokolwiek tam jest, w końcu wejdzie.

Rozległ się metaliczny chrobot. Ktoś poruszył klamkę. Z lekkim skrzypnięciem zawiasów drzwi się uchyliły. Fechtmistrz ostrożnie wypuścił powietrze z płuc, znów go zaczerpnął i wstrzymał oddech. Palec oparł się pewniej na spuście. Poczekaj, aż pierwsza postać stanie na środku przedpokoju, i wystrzeli.

– Don Jaime?

Było to wyraźne pytanie, choć zadane szeptem. Zimny impuls przeszył fechtmistrzowi serce, rozszedł się po ciele i zmroził mu wszystkie członki. Poczuł, że dłoń mu wiotczeje, a rewolwer opada na stół. Przytknął rękę do czoła i sztywno wstał z fotela. Ten dobiegający z przedpokoju, lekko schrypnięty głos z lekko cudzoziemskim akcentem przybywał do niego z zaświatów. Był to głos Adeli de Otero.

W błękitnym półmroku rysowała się kobieca sylwetka. Zatrzymała się na progu salonu, rozległ się cichy szelest sukni, po czym głos odezwał się powtórnie.

– Don Jaime?

Mistrz fechtunku wyciągnął rękę, szukając po omacku zapalek. W końcu potarł jedną.

Drobny płomyk wywołał na jego ściągniętej twarzy posępne światłocienie. Drżącymi palcami zapalił lampę naftową i podniósł ją, chcąc przyjrzeć się zjawie, która przyprawiła go właśnie o śmiertelny dreszcz.

Adela de Otero nadal stała w drzwiach, z dłońmi ukrytymi w połach czarnej sukni. Na głowie miała ciemny, słomkowy kapelusz ze wstążkami też koloru czarnego, włosy upięła na karku. Wyglądała na nieśmiałą, zagubioną, krnąbrną dziewczynkę, która prosi o wybaczenie powrotu do domu o niewłaściwej porze.

– Chyba jestem panu winna wyjaśnienie.

Jaime Astarloa przelknął ślinę i postawił lampę na stole. Przez głowę przebiegł mu obraz innej, okaleczonej kobiety, rozciągniętej na marmurowym stole, i fechtmistrz pomyślał, że Adela de Otero jest mu naprawdę winna parę wyjaśnień.

Dwukrotnie otworzył usta, ale nie mógł wydobyć dźwięku. Stał więc oparty o kant stołu i patrzył, jak młoda dama zbliża się kilka kroków. Krąg światła dochodził jej teraz do piersi.

– Przyszłam tu sama, don Jaime. Może mnie pan wysłuchać?

Z gardła fechtmistrza dobiegł nie tyle głos, ile przygaszony syk.

– Mogę.

Znów się poruszyła, tym razem światło dotarło do jej podbródka, ust i drobnej blizny w ich kąciku.

– To długa historia...

– Kim była tamta kobieta?

Zapadło milczenie. Usta i podbródek wycofały się z kręgu światła.

– Cierpliwości, don Jaime. Wszystko w swoim czasie – przemawiała spokojnie i łagodnie, głosem o barwie leciutko zachrypniętej, który tyle sprzecznych uczuć wywoływał w duszy fechtmistrza. – Mamy czas do końca świata.

Jaime Astarloa znów przelknął ślinę. Bał się, że lada chwila się zbudzi, zamknie i otworzy oczy i stwierdzi, że Adeli de Otero wcale tu nie ma. Że nigdy jej nie było.

Poruszyła wolno dłońią, otwierając palce, jakby chciała pokazać, że nie ma nic do ukrycia.

– Żeby zrozumiał pan, don Jaime, wszystko, co mam panu do opowiedzenia, muszę cofnąć się o wiele lat, mniej więcej o dziesięć – teraz jej głos zabrzmiał obojętnie i jakby z daleka. Fechtistrz nie widział jej oczu, ale wyobrażał sobie, że są nieobecne, zapatrzone w nieskończoność. Albo, dodał po chwili zastanowienia, po prostu obserwują uczucia, jakie na jego twarzy wywołują relacjonowane wydarzenia z przeszłości. – W

owym czasie pewna piękna dziewczyna przeżywała miłość. Miłość na wieki...

Zamilkła na chwilę, ważąc słowa.

– Miłość na wieki – powtórzyła. – Dla uproszczenia pomnę szczegóły, które mogłyby nie przypaść panu do gustu, powiem tylko, że historia miłosna dobiegła końca pół roku później w obcym kraju, pewnego zimowego wieczoru, nad brzegiem rzeki, znad której unosiła się mgła. Zakończyła się łzami i zupełną samotnością. Wie pan, szare fale rzeczne fascynowały naszą dziewczynę. Do tego stopnia, że myślała odszukać w nich to, co poeci nazywają słodkim spokojem zapomnienia... Jak pan widzi, pierwsza część opowiadania przypomina powieść w odcinkach, do tego powieść w kiepskim stylu.

Adela de Otero przerwała i zaśmiała się swoim kontraltem, w którym nie było śladu wesołości. Jaime Astarloa nawet nie drgnął, słuchał dalej w milczeniu.

– I wtedy to się stało – podjęła. – Kiedy dziewczyna już miała przekroczyć mur własnej mgły, w jej życiu zjawiał się inny mężczyzna... – znów się zawahała. W jej głosie pojawił się niemal niezauważalny ślad łagodności i na ten jeden moment zelżał chłód całej relacji. – Mężczyzna, który o nic nie prosząc w zamian, kierowany tylko współczuciem, zaopiekował się dziewczyną, zagubioną nad szarą rzeką, zaleczył jej rany, jej ustom przywrócił uśmiech. Stał się ojcem, którego nigdy nie знаła, bratem, którego nie miała, mężem, którego już nigdy nie miała poślubić, i, żeby w pełni opisać jego szlachetność, ani razu nie upomniał się o prawa dla siebie, które mogłyby mu nawet przysługiwać... Rozumie pan moją opowieść, don Jaime? Fechtmistrz nadal nie widział jej oczu, ale czuł, że Adela de Otero pilnie się w niego wpatruje.

– Zaczynam rozumieć.

– Wątpię, żeby ją pan w ogóle zrozumiał – rzekła tak cicho, że don Jaime bardziej domyślił się tych słów, niż je usłyszał. Nastąpiła dłuższa cisza, zaczynał się obawiać, że Adela nie podejmie opowieści. Jednak w końcu przemówiła. – Następne dwa lata ów mężczyzna poświęcił na ukształtowanie nowej kobiety, bardzo różnej od dziewczyny, która drżąc patrzyła w nurt rzeki. I wciąż niczego nie żądał w zamian.

– Bez wątpienia altruista.

– Niekoniecznie, don Jaime. Niekoniecznie – przerwała, jakby dla zastanowienia. – Podejrzewam, że chodziło o coś więcej. W rzeczywistości jego motywacja nie była pozbawiona egoizmu... Może chodziło o satysfakcję z własnego dzieła, o dumne poczucie własności, wprawdzie nie wypowiedziane, ale gdzieś podskórnie obecne. Kiedyś powiedział: „Jesteś najpiękniejszą rzeczą, jaką stworzyłem”. Chyba miał rację, bo nie szczenił niczego: ani wysiłku, ani pieniędzy, ani cierpliwości. Były wspaniałe stroje, lekcje tańca, jazdy konnej, muzyki... Także szermierki. Owszem, don Jaime. Dziewczyna miała niespotykany naturalny dar, dzięki któremu świetnie radziła sobie z szermierką... Pewnego dnia z uwagi na ważne sprawy mężczyzna musiał powrócić do swojej ojczyzny. Wziął ją w ramiona, zaprowadził przed lustro i kazał jej przegłądać się dłuższą chwilę. „Jesteś piękna i wolna – powiedział. – Przypatrz się sobie dobrze. Oto moja zapłata”. On był zmęczony, miał rodzinę i zobowiązania. A mimo to gotów był sprawować nadzór nad swoim dziełem. Zanim wyjechał, ofiarował jej w prezencie dom, gdzie mogła wygodnie żyć. I z daleka ów dobroczyńca pilnie doglądał, czy niczego jej nie brakuje. Tak minęło

siedem lat.

Ucichła na moment, po czym powtórzyła cichutko „siedem lat”. Poruszyła się i tym razem krąg światła wspiął się po jej ciele i wydobył z mroku fiołkowe oczy, w których odbił się drżący płomyk lampy. Blizna koło ust rysowała na tej twarzy zagadkowy, niezatarty uśmiech.

– Już pan wie, don Jaime, kim był ów mężczyzna.

Fechtmistrz zdziwiony zamrugał oczami i już miał dać wyraz swemu zmieszaniu. W ostatniej chwili intuicja doradziła mu, żeby powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy, by nie przerywać wątku jej wyznań. Ona spoglądała na niego, usiłując odgadnąć sens jego milczenia.

– W dniu, kiedy się pożegnali – podjęła po chwili – dziewczyna była w stanie tylko zapewnić swego opiekuna, że pozostaje jego dłużniczką: „Jeśli będziesz mnie kiedyś potrzebował, daj mi znak. Choćbym miała zstąpić do piekieł”... Jestem pewna, mistrzu, że gdyby znał pan charakter dziewczyny, nie miałby pan tych słów za przesadne w kobiecych ustach.

– Zdziwiłyby mnie każde inne – przyznał don Jaime. Lekkim uśmiechem i skłonieniem głowy dała mu do zrozumienia, że traktuje to jako pochwałę. Fechtmistrz przyłożył dłoń do czoła, zimnego jak marmur. Części zaczynały do siebie pasować powoli i nieubłaganie.

– I nadszedł dzień – dodał – kiedy poprosił panią, by zstąpiła do piekieł.

Adela de Otero popatrzyła na niego, zdumiona trafnością tej uwagi. Powoli podniosła dłoń i złączyła je w niemym podziwieniu.

– Doskonale sformułowanie, don Jaime, doskonale.

– Ja tylko powtarzam pani słowa.

– Mimo wszystko doskonale – w jej głosie czuć było spory ładunek ironii. – Zstąpiła do piekieł... Dokładnie tego od niej zażądał.

– Więc tak wielki był pani dług?

– Już mówiłam, że ogromny.

– I zobowiązanie nieuniknione?

– Tak. Dziewczyna dostała od tego człowieka wszystko, co posiadała. I najważniejsze: wszystko, czym była. I nic, co by dla niego uczyniła, nie mogłoby się równać z tym, co on zrobił dla niej... Ale wróćmy do opowieści. Mężczyzna, o którym mówimy, zajmował wysokie stanowisko w pewnym ważnym stowarzyszeniu. Z powodów, których z łatwością się pan domyśli, zaangażował się w określoną grę polityczną. Grę niezwykle niebezpieczną, don Jaime. Jego kontakty handlowe doprowadziły go do współpracy z

Primem, popełnił błąd i sfinansował jedną z prób przewrotu, która zakończyła się kompletnym fiaskiem. Na własne nieszczęście został zdemaskowany, a to oznaczało wygnanie i ruinę. Jednak zdołał ocalić siebie dzięki wysokiej pozycji społecznej i jeszcze kilku innym czynnikom – tu Adela de Otero przerwała. Kiedy odezwała się znowu, jej głos brzmiał metalicznie, twardo i beznamiętnie. – Wtedy postanowił współdziałać z Narvaezem.

– A co na to Prim, gdy dowiedział się o zdradzie?

Przygryzła dolną wargę, zamyśliwszy się nad tym słowem.

– Zdradzie?... Tak, chyba można to tak określić – popatrzyła na niego chytrze jak mała dziewczynka, która dzieli się tajemnicą. – Prim rzecz jasna nigdy się nie dowiedział. Nadal nie wie.

Tu fechtmistrz poczuł się poważnie zgorszony:

– Mówi mi pani, że wszystko to zrobiła dla człowieka zdolnego zdradzić swoich?

– Niczego pan nie zrozumiał z mojego opowiadania – teraz fiołkowe oczy spoglądały na niego z pogardą. – Zupełnie pan nie rozumie. Ciągłe wierzy pan w ludzi dobrych i złych, w sprawiedliwe i niesprawiedliwe idee?... Jakie znaczenie ma dla mnie generał Prim czy jakiś inny? Przyszłam tu dziś powiedzieć panu o człowieku, któremu zawdzięczałam całą siebie. Wobec mnie był zawsze szlachetny i lojalny. Mnie nigdy nie zdradził... Proszę, żeby zachował pan dla siebie te świętoszkowate skrupuły, drogi panie. Kim pan jest, żeby osądzać?

Jaime Astarloa powoli wypuścił powietrze z płuc. Był strasznie zmęczony i z ochotą położyłby się na sofie. Chciał zasnąć, oddalić się, przemienić wszystko w zły sen, który rozwieje się z pierwszym brzaskiem. Nie był już nawet pewny, czy chce znać dalszy ciąg opowieści.

– Co się stanie, jeśli go przejrzą?

Adela de Otero miała rzeczowy wyraz twarzy.

– Nigdy go nie przejrzą – odparła. – Tylko dwie osoby utrzymywały z nim stosunki: premier i jeden z ministrów, z którym bezpośrednio się porozumiewał. Na szczęście obydwaj zmarli... śmiercią naturalną. Dzięki temu teraz mógł już bez przeszkód kontaktować się z Primem, jakby nic się nie stało. Teoretycznie nie było już niewygodnych świadków.

– A teraz Prim i jego ludzie zaczynają wygrywać...

Uśmiechnęła się.

– Tak, wygrywają. A on jest jednym z tych, którzy sfinansowali całe przedsięwzięcie. Proszę sobie wyobrazić, jakie może odnieść korzyści.

Nauczyciel fechtunku przymknął oczy i kiwnął w milczeniu głową. Teraz wszystko było jasne.

– Ale jest jeden słaby punkt – mruknął.

– Zgoda – potwierdziła. – A tym słabym punktem był Luis de Ayala. W trakcie pracy w rządzie markiz pełnił ważną funkcję przy swoim wuju Vallespinie, ministrze, który porozumiewał się z moim przyjacielem. Po śmierci Vallespina Ayala wszedł w posiadanie jego prywatnego archiwum, gdzie natknął się na zbiór dokumentów, które wyjaśniają znaczną część całej afery.

– Nie rozumiem tylko, jaki interes mógł mieć w tym markiz... Zawsze twierdził, że trzyma się z dala od polityki.

Adela de Otero uniosła brwi. Komentarz don Jaimego szczerze ją chyba ubawił.

– Ayala był zrujnowany. Długi narastały w zawrotnym tempie, na większości jego dóbr ciążyły spore zobowiązania hipoteczne. Hazard i kobiety – tu w głosie Adeli de Otero zabrzmiała nieskończona pogarda – to były jego dwie słabostki, a obydwie kosztowały go masę pieniędzy...

Tego już było za wiele dla Jaimego Astarloi.

– Insynuuje pani, że markiz posuwał się do szantażu?

Uśmiechnęła się kpiąco.

– Nie dość, że insynuuje, ale wręcz to stwierdzam. Luis de Ayala groził, że opublikuje te dokumenty, że wyśle je bezpośrednio Primowi, o ile nie otrzyma renty dożywotniej lub niewiele mniej. Nasz markiz potrafił drogo sprzedać własne milczenie.

– Nie wierze.

– Nie dbam o to, czy pan wierzy, czy też nie. Po prawdzie żądania Ayali sprawiły, że sytuacja stała się mocno delikatna. Mój przyjaciel nie miał wyboru: trzeba było oddalić niebezpieczeństwo, uciszyć markiza i odzyskać dokumenty. Ale Ayala okazał się przezorny...

Mistrz oparł dłonie na stole i wcisnął głowę w ramiona.

– Był przezorny – powtórzył smętnie. – Ale uwielbiał kobiety.

Adela de Otero posłała mu pobłażliwy uśmiech.

– A także szermierkę, don Jaime. I w tym miejscu na scenie pojawiają się pan i ja.

– Święty Boże.

– Niech pan tego tak nie odbiera. Nie wyobraża sobie pan...

– Święty Boże.

Wyciągnęła dłoń, może miała zamiar dotknąć jego ramienia, ale zatrzymała ją w pół drogi. Jaime Astarloa cofnął się, jakby ujrzał węża.

– Ja musiałam przyjechać aż z Włoch – wyjaśniła po chwili. – Pan zaś był pośrednikiem, dzięki któremu mogłam do niego dotrzeć, nie budząc jego czujności. Wtedy jednak nie podejrzewaliśmy, że i pan napyta nam kłopotu. Skąd mogliśmy przypuszczać, że Ayala powierzy panu dokumenty?

– Czyli jego śmierć była daremna.

Spojrzała na niego z bezgranicznym zdumieniem.

– Daremna? Ależ skąd! Ayala musiał umrzeć, z dokumentami czy bez nich. Był zbyt groźny i zbyt sprytny. Ostatnio nawet zmienił swój stosunek wobec mnie, jakby zaczął coś podejrzewać. Trzeba było ostatecznie zamknąć sprawę.

– Sama pani to zrobiła?

Oczy kobiety wbiły się w fechtmistrza niczym dwie stalowe igły.

– Oczywiście – jej głos brzmiał tak naturalnie i spokojnie, że don Jaimego przeszedł dreszcz. – A kto inny miał to zrobić? Wydarzenia nabrały tempa, czasu zostało niewiele... Tamtej nocy, jak i poprzednio, jedliśmy kolację w jego salonie. Byliśmy sami. Pamiętam, że Ayala był aż za bardzo miły, najwyraźniej deptał mi już po piętach. Nie bardzo mnie to martwiło, bo wiedziałam, że widzimy się ostatni raz. Kiedy otwierał butelkę szampana i udawał radość, której żadne z nas nie odczuwało, zobaczyłam, że jest bardzo przystojny. Widząc jego lwią grzywę na głowie i białe zęby, które błyszczały w uśmiechu, pomyślałam wręcz: szkoda, że taki koniec szykuje mu Los.

Tu wzruszyła ramionami, zrzucając całą odpowiedzialność na Los.

– Moje wcześniejsze próby wydarcia mu tajemnicy – dodała po chwili milczenia – okazały się daremne. Osiągnęłam tylko tyle, że stracił do mnie zaufanie. Nie miało to znaczenia, bo i tak zdecydowałam już postawić sprawę bez ogródek. Usłyszał to, co chciał, złożyłam mu propozycję, do której byłam upoważniona: duża suma pieniędzy za dokumenty.

– A on się nie zgodził – odezwał się Jaime Astarloa.

Popatrzyła na niego dziwnie.

– Istotnie. W sumie propozycja i tak była fortelem po to, żeby zyskać na czasie, ale o tym Ayala nie miał prawa wiedzieć. Prawda jest taka, że zaśmiał mi się w twarz. Powiedział, że papiery są w bezpiecznym miejscu i że mój przyjaciel będzie musiał płacić do końca życia, o ile nie chce, żeby dostały się w ręce Prima. A poza tym nazwał mnie dziwką.

Adela de Otero zamilkła, jej ostatnie słowa zawisły w powietrzu. Wypowiedziała je

tonem obojętnym, bez wahania w głosie, i fechtmistrz zrozumiał, że tak samo zachowywała się tamtej nocy w pałacu markiza: bez żadnych uniesień ani innych gwałtownych reakcji. Raczej w sposób wyrachowany, jak ktoś, kto przedkłada skutek nad emocje. Przytomna i zimna jak jej pchnięcia floretem.

– Ale nie za to go pani zabiła...

Spojrzała na don Jaimego z uwagą, jakby zaskoczyła ją trafność tej uwagi.

– Ma pan rację. Zabiłam go nie za to. Zabiłam go, bo było postanowione, że umrze. Poszłam do galerii i spokojnie wybrałam floret bez penty, co on zdaje się poczytał za żart. Był pewny siebie, stał ze skrzyżowanymi ramionami i patrzył, jakby chciał sprawdzić, jak daleko się posunę. „Zabiję cię, Luis – powiedziałam cicho. – Może masz ochotę się bronić”... Zaśmiał się głośno, przystał na tę jego zdaniem podniecającą grę i chwycił inny ostry floret. Podejrzewam, że po wszystkim miał zamiar zaciągnąć mnie do sypialni i kochać się ze mną. Zbliżył się z tym swoim jasnym, cynicznym uśmiechem, przystojny, wytworny, w samej koszuli, i skrzyżował ze mną głownie, jednocześnie posyłając mi palcami lewej dłoni kpiącego całusa. Wtedy ja spojrzałam mu w oczy i bez dłuższych ceregieli zrobiłam zwód i wbiłam mu floret w gardło: krótkie pchnięcie i okolenie. Największy purysta pośród mistrzów szermierki nie zgłosiłby zastrzeżeń, Ayala też ich zresztą nie miał. Spojrzał na mnie z osłupieniem, i nim upadł na podłogę, już nie żył.

Adela de Otero popatrzyła na don Jaimego wyzywająco i bezczelnie, jakby opowiedziała mu o jakiejś zwykłej psocie. Fechtistrz nie mógł oderwać od niej wzroku, fascynował go wyraz jej twarzy: wypranej z nienawiści, wyrzutów sumienia, jakiegokolwiek uczucia. Widział tylko ślełą lojalność wobec idei, wobec człowieka. W jej porażającej urodzie było coś, co hipnotyzowało i zarazem przerażało, jakby w jej rysach zagościł sam anioł śmierci. Czytając może w jego myślach, kobieta wycofała się z kręgu światła rzucanego przez lampę naftową.

– Potem przeszukałam dom najdokładniej, jak mogłam, ale bez specjalnej nadziei – z ciemności znów dobiegał jej głos bez twarzy i fechtmistrz nie potrafił ocenić, co wzbudza w nim teraz niepokój. – Niczego nie znalazłam, choć siedziałam tam aż do świtu. W każdym razie powstanie w Kadyksie już wybuchło i Ayala musiał umrzeć, niezależnie od sprawy dokumentów. Nie było innego wyjścia. Pozostawało tylko ulotnić się czym prędzej ufając, że skoro papiery są tak dobrze schowane, to nikt ich nie odnajdzie, nie tylko ja... Zrobiwszy wszystko, co w mojej mocy, odeszłam. W następnej kolejności należało zniknąć z Madrytu bez zostawiania śladu. Musiałam... – zawahała się, szukając odpowiednich słów – musiałam odejść w mrok, z którego przyszłam. Adela de Otero ostatecznie znikła ze sceny. To też było wkalkulowane...

Jaime Astarloa nie mógł już ustać na nogach. Ugiwały się pod nim, a serce ledwie biło. Powoli opadł na fotel bojąc się, że straci przytomność. Wreszcie przemówił, ale lęklwym szeptem, domyślał się bowiem straszliwej odpowiedzi.

– Co się stało z Lucią... ze służącą? – przełknął ślinę i podniósł wzrok, spoglądając na stojący przed nim cień.

– Była tego samego wzrostu... W podobnym do pani wieku... Ten sam kolor włosów... Co



się z nią stało?

Tym razem cisza trwała dłużej. Po jakimś czasie znów odezwał się obojętny, zimny głos Adeli de Otero.

– Nie zrozumiał pan, don Jaime.

Fechtmistrz uniósł drżącą rękę i wycelował palec w cień. Ślepa lalka w stawie – to się stało naprawdę.

– Myli się pani – tym razem odkrył nienawiść we własnym głosie i wiedział, że Adela de Otero też słyszy ją wyraźnie. – Wszystko rozumiem. To prawda, że za późno, ale rozumiem wszystko doskonale. Właśnie dlatego ją wybraliście, prawda? Fizyczne podobieństwo... Wszystko było ukartowane od samego początku, nawet ów straszliwy szczegół!

– Widzę, że popełniliśmy błąd i nie doceniliśmy pana – w jej głosie pojawiła się nuta gniewu. – Jak się okazuje, jest pan przenikliwy.

Przez usta fechtmistrza przebiegł gorzki grymas.

– Nią też się pani zajęła? – wypluł pytanie z niekłamaną pogardą.

– Nie. Wynajęliśmy dwóch ludzi, którzy mają bardzo blade pojęcie o całej aferze... Dwóch lajdaków. Tych samych, których spotkał pan w domu swojego znajomego.

– Kanalie!

– Może troszkę przesadzili...

– Wątpię. Jestem pewien, że skrupulatnie wypełnili szlachetne polecenia pani i pani wspólnika.

– W każdym razie może przynieść panu ulgę informacja, że dziewczyna już nie żyła, kiedy zrobili jej... to wszystko. Prawie nie cierpiała.

Jaime Astarloa spojrział na nią z otwartymi ustami, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

– Niezwykle rozsądnie, Adelo de Otero... O ile to pani prawdziwe nazwisko. Bardzo rozsądne. Powiada pani, że biedaczka prawie nie cierpiała? To bez wątpienia przynosi zaszczyt pani jako kobiecie.

– Gratuluję odzyskania ironii, mistrzu.

– Błagam, niech nie nazywa mnie pani mistrzem. Zauważyła pani, że też nie zwracam się do niej „wielmożna”.

Tym razem szczerze się roześmiała.

– *Touchée*, don Jaime. Trafiona, i owszem. Mam ciągnąć dalej czy za dużo pan się nasłuchał i woli pan, żebyśmy zamknęli sprawę?

– Chciałbym wiedzieć, skąd dowiedzieliście się o nieszczęsnym Cárcelesie...

– Bardzo prosto. Byliśmy przekonani, że dokumenty przepadły. Oczywiście, nawet nam pan przez myśl nie przeszedł. Ni stąd, ni zowąd pański znajomek pojawił się w domu mojego przyjaciela i domagał się pilnego spotkania w bardzo ważnej sprawie. Został przyjęty i wyłożył swoje żądania: w jego ręce wpadły pewne dokumenty, więc znając wysoką pozycję majątkową zainteresowanego, proponował listy i swoje milczenie w zamian za pewną sumę pieniędzy...

Jaime Astarloa otarł dłonią czoło, ogłuszony łoskotem, z jakim walil się jego świat.

– I Cárceles też! – te słowa zabrzmiały jak skarga.

– A czemu nie? – spytała. – Pański przyjaciel był ambitnym nędznikiem, jakich tylu wokół. Jak sądzę, postawił na to, żeby wydobyć się z rynsztoka.

– Robił wrażenie uczciwego – zaproponował don Jaime.

– Miał radykalne poglądy... Nieprzejednany... Ufałem mu.

– Obawiam się, że zaufałem panu zbyt wielu osobom, zważywszy pański wiek.

– Ma pani rację. Pani też zaufałem.

– Ależ proszę pana – zirytowała się. – Ten sarkazm nie prowadzi nas donikąd. Nie chce pan się dowiedzieć niczego więcej?

– Chce. Proszę mówić.

– Pożegnał się z Cárcelesem w miłych słowach, a dwie godziny później nasi dwaj ludzie przyszli do jego domu, żeby odzyskać kopertę. Odpowiednio... przekonany pański znajomy ostatecznie wyznał wszystko, co wiedział, wymienił także pańskie nazwisko. Wtedy pojawił się pan we własnej osobie i muszę przyznać, że narobił nam pan sporego kłopotu. Ja czekałam na dole w powozie i widziałam, że uciekają jak wszyscy diabli. Wie pan, że gdyby nie powaga sytuacji, to cały incydent bardzo by mnie ubawił? Nie jest pan młodzieniaszkiem, a jednak strasznie ich pan pokiereszował: jednemu rozbił pan nos, drugiego ugodził w ramię i w pachwinę. Mówili, że bronil się pan jak sam Lucyfer.

Adela de Otero zamilkła na moment, po czym dodała zaintrygowana:

– A teraz pora, żebym to ja zadała pytanie... Po co pan wplątał w aferę tego nieszczęśnika?

– Nie wplątałem go. To znaczy stało się to wbrew mojej woli. Przeczytałem dokumenty, ale nie potrafiłem rozszyfrować ich treści.

– Czy pan ze mnie drwi? – zdumienie kobiety zabrzmiało szczerze. – Przecież mówi pan, że przeczytał dokumenty!

Fechtmistrz skinął z zakłopotaniem głową.

– Zgadza się, ale niczego nie pojąłem. Te nazwiska, listy i cała reszta nie przedstawiały sobą dla mnie żadnego sensu. Nigdy się tymi rzeczami nie interesowałem. Po lekturze domyśliłem się jedynie, że ktoś denuncjował innych ludzi i że rozgrywano sprawę wagi państwowej. A do Cárcelesa zwróciłem się, bo nie umiałem odgadnąć nazwiska podejrzanego. On niewątpliwie je odgadł, może dlatego, że pamiętał wydarzenia, których dotyczyły dokumenty.

Adela de Otero podeszła kilka kroków, w świetle znów wyloniły się jej rysy. Na jej czole pojawiła się zmarszczka, sygnalizująca zaniepokojenie.

– To chyba jakieś nieporozumienie, don Jaime. Chce mi pan powiedzieć, że nie zna pan nazwiska mojego przyjaciela?... Człowieka, o którym przez cały czas rozmawiamy?

Jaime Astarloa wzruszył ramionami, a jego szczerze, szare oczy ze spokojem wytrzymały badawczy wzrok kobiety.

– Nie znam.

Przekrzywiła lekko głowę, patrząc na niego zdumiona. Jej umysł najwyraźniej pracował na pełnych obrotach.

– Ale musiał pan przeczytać list, skoro wyjął go pan z koperty...

– Jaki list?

– Główny, od Vallespina do Narvaeza. Ten, gdzie jest wymieniony... Nie zaniósł go pan na policję? Ciągle pan go trzyma?

– Powtarzam pani, że nie wiem, o jaki, u diabła, list pani chodzi.

Teraz Adela de Otero usiadła naprzeciwko don Jaimego, pełna napięcia i nieufności. Blizna w kącie ust już nie przypominała uśmiechu, raczej niepewność. Pierwszy raz fechtmistrz widział ją w takim stanie.

– Chwileczkę, don Jaime, chwileczkę... Przyszłam tutaj dziś z konkretnego powodu. Pośród dokumentów Luisa de Ayala znajdował się list napisany przez ministra, w którym to liście figurowały dane personalne agenta przekazującego informacje o spisku Prima... Tego listu, którego wierną kopię Luis de Ayala posłał mojemu przyjacielowi w ramach szantażu, nie było w kopercie odzyskanej przez nas u Cárcelesa. Zatem musi go mieć pan.

– Nigdy nie widziałem tego listu. Gdybym przeczytał, poszedłbym z miejsca do domu zbrodniarza, co to wszystko namotał, i wbiłbym mu szpadę w serce. A poczciwy Cárceles byłby żył. Miałem nadzieję, że on wydobędzie coś z tych dokumentów...

Z miny Adeli de Otero można było wnosić, że w tym momencie Cárceles niewiele ją obchodził.

– I wydobył – rzekła. – Nawet bez głównego listu każdy, kto choć trochę orientuje się w tym, co się tu działo w polityce przez ostatnie dwa lata, miałby pełną jasność. Przecież była tam mowa o kopalniach w Cartagenie, co jednoznacznie wskazywało na mojego przyjaciela. Była lista podejrzanych, których policja miała śledzić, ludzi na stanowiskach, gdzie widniało jego nazwisko, ale nie trafiło później na listę aresztowanych... Podsumowując: cały ciąg wskazówek, które zebrane razem pozwalały bez specjalnego trudu zidentyfikować konfidenta Vallespina i Narvaeza. Gdyby pan nie odwracał się plecami do otaczającego świata, też potrafiłby pan go wskazać.

Kobieta wstała i skupiona na własnych myślach zaczęła chodzić po pokoju. Pomimo straszliwych okoliczności Jaime Astarloa naprawdę podziwiał jej zimną krew. Uczestniczyła w zabójstwie trzech osób, przychodziła tu ryzykując, że trafi w ręce policji, z całą bezpośredniością opowiedziała mu przerażającą historię, a teraz przechadzała się jakby nigdy nic po jego gabinecie, nie zwracając najmniejszej uwagi na rewolwer i szpadę, które miał obok siebie na stoliku, zajęta wyłącznie jakimś listem... Z jakiej gliny ulepiona jest ta, co każe mówić na siebie Adela de Otero?

Z niewiadomych powodów sam fechtmistrz też zaczął rozmyślać o tym tajemniczym liście. Co się mogło stać? Czyżby Luis de Ayala nie zaufał mu dostatecznie? Jednego był pewien: że nie czytał żadnego...

Znieruchomiał z półotwartymi ustami, przestał nawet oddychać. Usiłował zatrzymać w pamięci coś, co przed chwilą przemknęło mu przez głowę. Udało mu się, choć od wysiłku aż wykrzywiła mu się twarz. Zaskoczona Adela de Otero zaczęła mu się uważnie przyglądać. To niemożliwe. Przecież to absurd, to się nie mogło zdarzyć! A jednak...

– Co się dzieje, don Jaime?

Nie odpowiedział jej, tylko bardzo powoli wstał, wziął do ręki lampę i znów zamarł, rozglądając się tylko, jakby zbudził się z głębokiego snu. Teraz już pamiętał.

– Coś się panu stało?

Jej głos docierał do niego z bardzo daleka, a jedna myśl gonila drugą. Po śmierci Ayali, po otwarciu koperty, a przed rozpoczęciem lektury listów musiał je nieco uporządkować. Wypadły mu z rąk i rozsypały się po całej podłodze. To było w kącie saloniku, obok orzechowej komody. Wiedziony nagłym natchnieniem podszedł do Adeli de Otero, przykucnął przy ciężkim meblu, wsunął pod niego dłoń i zaczął macać podłogę. Kiedy wstał, w palcach miał kartkę. Przyjrzał się jej w skupieniu.

– Oto on – mruknął potrząsając arkusikiem. – Leżał tam cały czas... Ależ ze mnie dureń!

Adela de Otero zbliżyła się, patrząc na list z niedowierzaniem.

– Chce mi pan powiedzieć, że tam pan go znalazł?... Ze panu tam wpadł?

Fechtmistrz był cały blady.

– Święty Boże... – wymamrotał cicho. – Biedny Cárceles! Torturowali go, a on przecież nie mógł im powiedzieć o tym, czego nie wiedział. Dlatego tak ich rozjuszył...

Postawił lampę na komodzie i przybliżył list do światła. Adela de Otero stała obok i jak zaczarowana wpatrywała się w papier.

– Błagam, niech pan tego nie czyta, don Jaime – w jej ciemnym głosie wyczuł coś dziwnego między nakazem a błaganiem. Niech mi pan to da, nim zacznie pan czytać. Mój przyjaciel uznał, że pana też trzeba zabić, ale przekonałam go, żeby pozwolił mi przyjść tu samej. Teraz cieszę się, że tak się stało. Jeszcze mamy czas...

Szare oczy starego mistrza obrzuciły ją twardym spojrzeniem.

– Czas na co? Czas, żeby martwym zwrócić życie? Czas, żebym uwierzył w pani dziewiczą niewinność? W szlachetne uczucia pani dobroczyńcy?... Niech pani idzie do diabła.

Zmrużył oczy, czytając przy kopczącej lampie. Istotnie, to był klucz do wszystkiego.

*Jaśnie Wielmożny Pan Ramón Marta Narváez*

*Przewodniczący Rady*

*Drogi Generale,*

*Zagadnienie, o którym niedawno rozmawialiśmy w cztery oczy, przybrało teraz nieoczekiwany obrót, według mnie całkiem obiecujący. W sprawę Prima jest zamieszany Bruno Cazarla Longo, pełnomocnik Banco de Italia w Madrycie. Nazwisko to z pewnością nie jest Panu nieznanym – był powiązany z Salamanca w przedsiębiorstwie kolejowym Północ. Mam dowody na to, że Cazarla Longo udzielał solidnych pożyczek hrabiemu de Reus, z którym utrzymuje ściśle kontakty z luksusowego biura przy placu Santa Ana. Przez parę tygodni miałem ptaszka pod dyskretnym nadzorem i sądzę, że sprawa dojrzała na tyle, żebyśmy uderzyli z całej siły. Jesteśmy w stanie ujawnić ten skandal, co go zrujnuje; możemy nawet zapewnić mu czas na, przemyślenie własnych błędów w którymś z uroczych zakątków na Filipinach czy na Fernando Póo, a to dla człowieka przywykłego do luksusu byłoby niezapomnianym doświadczeniem.*

*Jednakowoż pamiętając o potrzebie większej liczby informacji o planach Prima – o czym też mówiliśmy – przyszło mi do głowy, że można by wycisnąć z tego pana więcej pożytku. Tedy poprosiwszy o spotkanie, wyluszczyłem mu, tak subtelnie jak tylko potrafiłem, całą sytuację. Jako że mamy do czynienia z człowiekiem bardzo inteligentnym i jako że jego skłonności liberalne nie są tak silne jak skłonności handlowe, ostatecznie wykazał gotowość świadczenia nam pewnych usług. Koniec końców pojął, ile może stracić, jeśli zareagujemy*

*siłą na jego ciągotki rewolucyjne, a że jest dobrym bankierem, zatrważa go słowo „bankructwo”. Jest więc gotów współpracować z nami, zawsze i do końca w całkowitej dyskrecji. Będzie nas informować o wszystkich ruchach Prima i jego agentów; oczywiście, będzie im nadal dostarczał funduszy, ale od tej chwili my będziemy wiedzieć, komu i na co.*

*Naturalnie, stawia pewne warunki. Po pierwsze, informacja ta nie może wyjść poza Pana i mnie. Drugi warunek polega na pewnej rekompensacie ekonomicznej. Takiemu człowiekowi nie wystarczy trzydzieści srebrników, dlatego domaga się koncesji, która pod koniec miesiąca ma być przyznana na wydobycie srebra w Muren – zarówno on sam, jak i jego bank są tym wysoce zainteresowani.*

*Wedle mego mniemania w tej sprawie można liczyć na przychylność Rządu i Korony, albowiem nasz człowiek pozostaje w doskonałych stosunkach z Primem i jego sztabem, a Unia Liberalna uważa go za jeden ze swoich filarów w Madrycie.*

*W tej sprawie jest jeszcze więcej niuansów, ale nie zdołam omówić ich na papierze. Dodam tylko, że według mnie Cazarla Longo jest sprytny i ambitny. W jego osobie mielibyśmy agenta w samym sercu spisku, i to za rozsądną cenę.*

*Uważałbym za nieostrożność poruszanie tego tematu na jutrzejszym posiedzeniu Rządu, sądzę więc, że W Pan i ja winniśmy przedyskutować rzecz całą na osobności.*

*Łączę pełne uszanowania ukłony.*

*Joaquín Vallespín Andreu*

*Madryt, 4 listopada*

*(Jedyny egzemplarz)*

Jaime Astarloa skończył czytać i w milczeniu kręcił głową.

– Czyli tu jest klucz do wszystkiego... – wyszeptał wreszcie tak cicho, że z trudem dało się słyszeć jego słowa.

Adela de Otero stała bez ruchu i zmrużonymi oczami z uwagą śledziła jego reakcje.

– Tu jest klucz – potwierdziła wzdychając, jakby żalowała, że fechtmistrz dotarł do ostatniego zakątka tajemnicy. – Mam nadzieję, że jest pan zadowolony.

Stary mistrz spojrział na nią dziwnym wzrokiem, zdumiony, że wciąż ją tu widzi.

– Zadowolony? – zdawało się, że smakuje to słowo, i że niezbyt przypadło mu do gustu. – Tu można odnaleźć bardzo przygnębiające zadowolenie... – uniósł list dwoma palcami i zaczął nim powiewać. – I zapewne teraz zamierza mnie pani prosić, żebym jej ten papier

oddal... Nie mylę się?

Światło lampy zamigotało w oczach Adeli de Otero. Kobieta wyciągnęła rękę.

– Proszę.

Jaime Astarloa wpatrywał się w nią bacznie, jeszcze raz podziwiając jej śmiałość. Oto stała przed nim w półmroku, wyprostowana, i z zimną krwią domagała się, żeby oddał jej pisemny dowód przeciwko sprawcy całej tragedii.

– A może zabije mnie pani, jeśli nie spełnię tej prośby?

Na ustach Adeli de Otero zatańczył kpiący uśmieszek. Patrzyła na niego jak wąż skupiony na swojej ofierze.

– Nie przyszedłem pana zabijać, don Jaime, ale dojść do porozumienia. Nikt nie uważa, że pan musi umrzeć.

Fechtmistrz uniósł brew z wyrazem rozczarowania.

– Nie chcecie mnie zabić? – zdawało się, że poważnie rozważa tę kwestię. – Do kroćset, dono Adelo! To wielka uprzejmość z pani strony.

Uśmiechnęła się znów, raczej figlarnie niż złośliwie. Don Jaime domyślił się, że starannie dobiera słowa.

– Ten list jest mi potrzebny, mistrzu.

– Prosiłem już panią, by nie nazywała mnie mistrzem.

– Jest mi potrzebny. Za daleko zaszłam w jego poszukiwaniu, sam pan wie.

– Wiem. Można by rzec, wiem doskonale. Daję wiarę, że tak jest.

– Błagam. Jeszcze mamy czas.

Mistrz spojrział na nią z ironią w oczach.

– Już drugi raz mówi mi pani, że mamy czas, ale nie mogę pojąć, na co ten czas – przyjrzał się trzymanemu w dłoni listowi. – Człowiek, o którym tutaj mowa, jest nędznikiem w czystej postaci, oszustem i mordercą. Ufam, że nie zechce mnie pani namawiać do współdziałania w ukrywaniu jego zbrodni. Nie przywykłem do tego, by mnie obrażano, a już zwłaszcza o tak późnej porze... Wie pani co?

– Nie. Słucham.

– Na początku, kiedy nie wiedziałem jeszcze, co naprawdę zaszło, kiedy zobaczyłem pani... tamtego trupa na stole w kostnicy, postanowiłem pomścić śmierć Adeli de Otero. Dlatego nic wtedy nie powiedziałem policji.

Patrzyła na niego zamyślona, a jej uśmiech jakby złagodniał.

– Jestem panu wdzięczna – w jej głosie znać było lekki ślad szczerości. – Ale teraz widzi pan, że żadna pomsta nie była konieczna.

– Tak pani sądzi? – tym razem to don Jaime się uśmiechnął. – Otóż myli się pani. Jeszcze mam kogo pomścić. Na przykład Luisa de Ayala.

– Trzpiota i szantażystę.

– Agapita Cárcelesa...

– Nędznego nikczemnika. Zabiła go własna chciwość.

We wbitych w nią szarych oczach fechtmistrza zagościł bezgraniczny chłód.

– A ta nieszczęsna dziewczyna Lucía... – wycedził. – Też zasłużyła sobie na śmierć?

Pierwszy raz Adela de Otero umknęła wzrokiem. Po chwili odezwała się bardzo oględnie:

– Z Lucią nie było wyjścia. Proszę mi uwierzyć.

– Oczywiście. Pani słowo jest dla mnie święte.

– Mówię poważnie.

– Jasne. Wątpić w panią to popelnić niewybaczalny, skandaliczny błąd.

Zapadła krępująca cisza. Adela de Otero pochylila głowę i zamknęła się w sobie, przypatrując się dłoniom ukrytym w połach sukni. Czarne wstążki opadały z jej kapelusza na odsłoniętą szyję. Wbrew sobie fechtmistrz pomyślał, że nawet jako wcielenie diabła była szalenie piękna.

Po paru chwilach podniosła twarz.

– Co zamierza pan zrobić z listem?

Jaime Astarloa wzruszył ramionami.

– Waham się – odparł bez ogródek. – Nie wiem, czy iść bezpośrednio na policję, czy wcześniej wpaść do pani dobroczyńcy i wbić mu żelastwo w gardziel. I proszę mi nie wmawiać, że pani ma jeszcze lepsze pomysły.

Suknia z czarnego jedwabiu zaszemrała cicho o dywan. Kobieta zbliżyła się i fechtmistrz poczuł blisko zapach wody różanej.

– Mam lepszy pomysł – patrzyła mu prosto w oczy, z uniesionym wyzywająco podbródkiem. – Propozycję nie do odrzucenia.



– Myli się pani.

– Nie – teraz jej głos nabral ciepła jak u rozkosznego kociaka. – Nie mylę się. Każdy coś ukrywa... Każdy człowiek ma swoją cenę. A ja pańską mogę zapłacić.

Ku zdumieniu don Jaimego Adela de Otero uniosła dłonie i odpięła pierwszy guzik sukni. Nagle poczuł suchość w gardle. Zafascynowany zapatrzył się w jej fiołkowe oczy, które wytrzymały jego spojrzenie. Odpięła drugi guzik. W półmroku połyskiwały delikatnie jej białe, równe zęby.

Próbował się odsunąć, ale te oczy go zahipnotyzowały. Wreszcie oderwał wzrok, ale tylko po to, by podziwiać teraz jej nagą szyję, ledwie rysującą się pod skórą obojczyki i zmysłowy puls matowego ciała, które odkrywało się przed nim w postaci milego trójkąta między piersiami.

Znów zabrzmiał jej bliski szept.

– Wiem, że mnie pan kocha. Wiedziałam to od samego początku. Może wszystko byłoby inaczej, gdyby...

Słowa się rozplynęły. Jaime Astarloa wstrzymał oddech, czując, że odpływa w inny wymiar. Jej tchnienie docierało do jego ust. Jej wargi rozchyliły się niczym krwawiąca pełna obietnic rana. Adela de Otero rozwiązywała teraz tasiemki gorsetu. Chwilę później fechtmistrz, niezdolny oprzeć się pokusie, poczuł, że jej ręce szukają jego dłoni. Ich dotyk dosłownie parzył mu skórę. Kobieta z wolna poprowadziła jego dłoń ku swym nagim piersiom. Ciało promieniowało tu ciepłem i młodością, i don Jaime aż zadrżał, odkrywając coś, co wydawało się odrzucone i zapomniane na zawsze.

Wydał z siebie jęk i przymknął powieki, zatracając się zupełnie w rozkosznym omdleniu. Ona uśmiechnęła się łagodnie, z niezwykłą czułością, puściła jego dłoń i uniosła ramiona, żeby zdjąć kapelusz. Jej piersi wyprężyły się ku górze i fechtmistrz bardzo powoli zbliżył usta, by wreszcie poczuć łagodne ciepło pięknego, nagiego ciała.

Świat odpłynął gdzieś daleko. Był jedynie mglistą, odległą falą, słabo bijącą o brzeg pustej plaży. Jej szum gasł coraz bardziej. Wokół nie było nic, tylko jasna, świetlista przestrzeń, pozbawiona rzeczywistości, wyrzutów sumienia, nawet wrażeń... Pozbawiona do tego stopnia, że w tej próżni zanikła nawet namiętność. Jedyłą nutą, monotonna i nieustającą, był teraz jęk zatracenia, szmer samotności, trwający niemal w nieskończoność dzięki zespoleniu ust starego mistrza z owym rozkwitłym ciałem.

Naraz coś w jego uśpionej świadomości zaczęło krzyczeć. Wołanie dobiegało z dalekiego zakamarka, który jeszcze pozostawał przytomny. Sygnał dłuższy czas torował sobie drogę ku obszarom, gdzie rezyduje wola, i dopiero pod jego wpływem Jaime Astarloa, wyczuwając niebezpieczeństwo, podniósł oczy ku twarzy kobiety. I zadrżał, jakby poraził go prąd. Ręce miała uniesione i zajęte kapeluszem, a w oczach płonęły dwa węgliki. Usta wykrzywił grymas, któremu blizna w kącie przydawała diabolicznego wyrazu. Na twarzy widać było nieme skupienie, które przywołało fechtmistrzowi całkiem żywy obraz: tak wyglądało oblicze Adeli de Otero zawsze, gdy cofała się, by zadać błyskawiczny, rozstrzygający cios.

Don Jaime skoczył do tyłu, nie mogąc powstrzymać okrzyku przerażenia. Kobieta rzuciła już kapelusz na podłogę, a w prawej dłoni ścisnęła długą szpilkę, przytrzymującą dotąd kapelusz, gotowa wbić ją w kark tego, co jeszcze przed chwilą pochylał się nad jej gorsem. Stary mistrz cofał się, napotykał wciąż na meble i czuł, jak krew ścina mu się w żyłach. Wreszcie sparaliżowany trwogą zobaczył, że Adela de Otero odchyła do tyłu głowę i wybucha złowrogim śmiechem, niosącym echo śmierci.

– Biedny mistrz... – z jej ust słowa dobywały się powoli, bez najmniejszego zróżnicowania tonu, jakby odnosiły się do trzeciej osoby, której los jest jej zupełnie obojętny. Nie słyhać w nich było nienawiści ani pogardy, tylko chłodne, szczerze politowanie. – Naiwny i łatwowierny do samego końca, czyż nie tak?... Biedny, stary przyjacielu!

Zaśmiała się raz jeszcze i spojrzała na don Jaimego z zaciekawieniem. Zapewne chciała dokładnie widzieć efekt, jaki na twarzy fechtmistrza wymalowało przerażenie.

– Spośród wszystkich osób tego dramatu pan, panie Astarloa, jest najbardziej łatwowierny, najbardziej otwarty i najbardziej godny pożałowania – cedziła słowa niczym krople. – Wszyscy, żywi, martwi, dworują sobie z pana na całego. A pan, niczym bohater słabych komedii, poskromiwszy dawno wszelkie pokusy, kierując się niedzisiejszą etyką, odgrywa rolę oszukiwanego męża, który o wszystkim dowiaduje się ostatni. Niech się pan sam sobie przyjrzy, jeśli pan potrafi. Niech pan poszuka lustra i powie mi, gdzie podziała się nagle cała pańska duma, pańska stateczność, pańskie próżne samozadowolenie. Za kogo, u diabła, się pan uważał?... Owszem, było to bardzo rozczulające, zgoda. Może pan sobie jeszcze raz pogratulować, jeśli pan życzy, ostatni raz, bo oto spuszczaamy kurtynę. Pan musi odpocząć.

Mówiąc to, Adela de Otero bez pośpiechu podeszła do stolika, rzuciła na podłogę zbyteczną szpilkę i wzięła do ręki szpadę leżącą obok rewolweru.

– Jest pan wprawdzie naiwny, ale zarazem rozsądny – rzekła przyglądając się z uznaniem głowni ze stali, jakby taksowała jej wartość. – Dlatego też ufam, że zdaje pan sobie sprawę z sytuacji. W tej historii ja odgrywałam jedynie rolę, którą narzuciło mi Przeznaczenie. Zapewniam pana, że nie włożyłam w nią ani krzty niegodziwości ponad to, co było ściśle konieczne. Ale cóż, takie jest życie... Życie, w którym pan zawsze chciał trzymać się na uboczu, a które oto dzisiejszej nocy raptem pojawia się u pana w domu i podsuwa panu rachunek za nie popełnione przez pana grzechy. Docenia pan tę ironię losu?

Zbliżała się do niego, nie przestając mówić niczym syrena, która głosem mami żeglarzy, podczas gdy ich statek sunie ku rafie. W jednej dłoni trzymała lampę naftową, drugą ścisnęła szpadę. Stała naprzeciwko, nieruchoma jak posąg z lodu, i uśmiechała się, jakby niosła nie zgubę, ale pokój i zachętę do pojednania.

– Czas się pożegnać, mistrzu. Bez urazy.

Dała jeszcze jeden krok naprzód, gotowa wbić w niego szpadę, i w tym momencie Jaime Astarloa zobaczył na powrót śmierć w jej oczach. Otrząsnął się z odrętwienia, odzyskał energię, skoczył w tył i odwrócony do niej plecami uciekł w stronę najbliższych drzwi. Trafił do ciemnej galerii do ćwiczeń. Adela de Otero już deptała mu po piętach, w sali

pojawiło się światło lampy. Don Jaime rozejrzał się desperacko w poszukiwaniu broni, z którą mógłby stawić czoło prześladowczyni, ale w zasięgu ręki miał tylko stojak z floretami ćwiczebnymi. Wszystkie miały punty zamiast ostrzy. Uznał, że gorzej byłoby zostać z gołymi rękoma, chwycił więc jeden z nich, ale kontakt z rękojeścią przyniósł mu zaledwie chwilową pociechę. Adela de Otero stała już na progu galerii. W lustrach zagrały rozliczne światełka, gdy stawiała na podłodze lampę.

– Właściwe miejsce na zakończenie naszej rozgrywki, mistrzu – powiedziała cicho, uspokojona widokiem niegroźnej broni w ręku don Jaimego. – Teraz będzie pan miał okazję docenić moje zalety jako pańskiej uczennicy – z lodowatym spokojem posunęła się dwa kroki ku niemu, nie zważając na odsłonięte piersi pod rozpiętą suknią, i przyjęła pozycję szermierczą. – Luis de Ayala namacalnie skosztował zalet pańskiego wspaniałego pchnięcia za dwieście eskudów. Teraz wypróbujemy je na jego twórcy... Zgodzi się pan ze mną, że sytuacja jest dość zabawna.

Jeszcze nie skończyła mówić, gdy ze zdumiewającą zwinnością wyrzuciła rękę do przodu. Jaime Astarloa dał krok do tyłu, przyjmując swoim tępym floretem czwartą zaslonę przed ostrą szpadą. Stare, znajome ruchy szermiercze przywracały mu z wolna utraconą siłę ducha, wyrwały go z trwożliwego oszołomienia, jakiemu jeszcze przed chwilą ulegał. W lot pojął, że ćwiczebnym floretem nie zada żadnego ciosu. Musiał ograniczać się do odpierania ataków tak długo, jak długo możliwe, cały czas w defensywie. Przypominał sobie, że w drugim końcu galerii, w zamkniętej gablocie, znajdują się ostre florety i regularne szable, ale jego przeciwniczka nigdy go tam nie dopuści. Zresztą nie miałby czasu, odwrócić się, otworzyć szafkę i wyjąć broń. Chociaż może... Postanowił prowadzić walkę obronną, posuwając się w tamtym kierunku, w nadziei na dogodną okoliczność.

Adela de Otero chyba odgadła jego zamiary i natarła, spychając go w kąt sali, gdzie ściany pokrywały lustra. Don Jaime domyślił się celu tego ataku. Tam, nie mając miejsca do manewrów, nie mogąc też cofnąć się ani o krok, byłby zupełnie usidlonny.

Zmarszczyła czoło i zacisnęła wargi do tego stopnia, że w miejscu ust widniała teraz cienka kreska. Walczyła zapamiętale, usiłując skrócić mu pole manewru. Jaime Astarloa cały czas był zmuszony do obrony częścią głowni najbliższą rękojeści, co znacznie ograniczało możliwość ruchu. Ściana była już zaledwie o trzy metry, nie chciał się więc cofać ani trochę. Nagle kobieta wykonała pchnięcie od strony wewnętrznej, co spowodowało, że znalazł się w poważnych opalach. Sparował świadom, że nie może odpowiedzieć jak należy, i wówczas Adela de Otero z nadzwyczajną lekkością wykonała okolenie – w momencie, gdy obydwie głownie się dotykały, zmieniła kierunek natarcia i dosięgła ciała przeciwnika. Coś zimnego rozdarło koszulę fechtmistrza i wbiło mu się w prawy bok, między skórą a żebrami. W tej samej chwili don Jaime odskoczył w tył, zaciskając zęby, żeby nie dopuścić, by dławiony w ustach okrzyk paniki wydobył się z gardła. To byłoby zbyt niedorzeczne, gdyby zginął w taki sposób, z rąk kobiety, do tego we własnym domu. Stał znów w pozycji do walki, czując jednocześnie, jak ciepła krew plami mu koszulę pod pachą.

Adela de Otero opuściła nieco szpadę, stanęła, żeby zaczerpnąć głęboko powietrza, i posłała mu złowrogi uśmiech.

– Nie było źle, prawda? – spytała z iskierką ubawienia w oczach. – A teraz, jeśli pan nie

ma nic przeciwko temu, przejdziemy do pchnięcia za dwieście eskudów... Szermiercza!

Znów rozzwoniły się głownie. Nauczyciel szermierki wiedział doskonale, że nie uda mu się skutecznie bronić, o ile nie będzie miał ostrego floretu, który może stanowić zagrożenie dla przeciwnika. Poza tym jeśli się skoncentruje na obronie górnej przed konkretnym rodzajem ciosów, Adela de Otero wykorzysta sytuację i wykona niskie pchnięcie, równie groźne jak poprzednie. Był w ślepych zaułku, wyczuwał już ścianę za plecami, kącikiem oka widział już lustro po lewej stronie. Uznał, że może się ratować albo próbując rozbroić kobietę, albo nacierając prosto na twarz, co mogło jej wyrządzić krzywdę pomimo braku ostrza.

Zdecydował się na pierwszy wariant, łatwiejszy do wykonania, rozluźnił ramię, a ciężar ciała przerzucił na lewą nogę. Wyczekał, aż Adela de Otero zwiąże w czwartej, sparował, okręcił broń wokół szpady i uderzył mocną częścią floretu w jej głownię, by z rozczarowaniem przekonać się, że dziewczyna pewnie ściska broń. Wówczas bez szczególnej nadziei wykonał górne natarcie w czwartą w kierunku twarzy. Nie wystarczyło mu ręki, okrągła punta zatrzymała się tuż przed celem. Osiągnął tyle, że kobieta cofnęła się o krok.

– Proszę, proszę – rzuciła ze złośliwym uśmiechem. – Oto człowiek honoru chce mi pokiereszować twarz... Czyli musimy szybko kończyć.

Zmarszczyła czoło, stanęła mocno na nogach i z wyrazem dzikiej radości na twarzy wykonała zwód. Fechtmistrz musiał opuścić floret do piątej zasłony i dopiero w połowie ruchu pojął swój błąd. Zdażył, zanim obróciła nadgarstek i zadała rozstrzygające pchnięcie prosto w pierś, ale musiał się przed nim bronić lewą ręką. Odepchnął głownię czując, jak rozcina mu dłoń. Adela de Otero cofnęła rękę w obawie, że don Jaime wyrwie jej szpadę. On zdołał rzucić okiem na własne pokrwawione palce i znów stanął gotów odpierać kolejny atak.

Nagle, w połowie ruchu, dostrzegł isierkę nadziei. Właśnie zadał kolejne pchnięcie w kierunku twarzy kobiety, co zmusiło ją do słabej obrony w czwartej zasłonie. Zajmując znów pozycję szermierczą, Jaime Astarloa instynktownie wyczuł lukę, okres martwy, trwający mgnienie, kiedy to twarz Adeli de Otero pozostaje nie osłonięta. W ciągu paru sekund odzyskał dobrze wyćwiczone ruchy, precyzyjne jak zegarek. Pod wpływem nagłego natchnienia zapomniał o niebezpieczeństwie, jednocześnie świadom, że nie będzie miał czasu na to, by móc sprawdzić trafność przypuszczeń. Zawierzył swoje życie własnemu doświadczeniu wytrawnego szermierza. I kiedy rozpoczynał drugi i ostatni ruch ręką, umysł miał jeszcze wystarczająco jasny, by zdawać sobie sprawę, że jeśli się pomyli, nie będzie miał już czasu pożałować błędu.

Odetchnął głęboko i powtórzył dokładnie swój poprzedni cios. I tym razem Adela de Otero skutecznie sparowała w czwartej zasłonie, którą przyjęła z pewnym trudem. Wówczas zamiast wycofać się jak poprzednio do pozycji szermierczej, Jaime Astarloa tylko zamarkował ruch, jednocześnie powtórzył floretem górne pchnięcie, odchylając głowę i barki. Głownia poszła naprzód, nie napotykając oporu, a punta trafiła w prawe oko Adeli de Otero, sięgając aż do mózgu.

*Linia czwarta. Zaslona czwarta. Ponowienie górne w czwartą. Wypad.*

Świtało. Pierwsze promienie słońca przenikały już przez szpary zamkniętych okiennic i odbijały się z wielokrotnością do nieskończoności w lustrach galerii.

*Linia trzecia. Zaslona trzecia. Górne pchnięcie w trzecią.*

W starych panopliach na ścianach skazane na milczenie, porzewiały głównie spaly snem wiecznym. Słabe, złotawe światło, wpadające do sali, nie mogło już wydobyć blasku ich zakurzonych zdobień, szerniałych i pokrytych metalicznymi szramami.

*Wypad w czwartą. Zaslona okrężna. Natarcie w czwartą.*

Na ścianach, w przekrzywionych ramkach, wisiały pożółkłe dyplomy. Wyblakł już atrament, którym je spisano, czas sprawił, że po literach na pergaminie pozostały jedynie ledwie czytelne, blade ślady. Pod spodem widniały podpisy dawno zmarłych mężów, złożone w Rzymie, Paryżu, Wiedniu, Sankt Petersburgu.

*Czwarta. Odrzucić barki i głowę. Niskie w czwartej.*

Na podłodze leżała porzucona szpada z gładko wypolerowaną, srebrną rękojeścią, już nieco podniszczona. Na koszu wily się delikatne arabeski, a obok widniała misternie wyżłobiona dewiza: *Do mnie*.

*Górne w czwartej. Zaslona pierwsza. Wypad w drugą.*

Na szarzałym dywanie stała dogasająca lampa naftowa. Jej spalony knot rozsiewał już tylko iskry. Obok leżało ciało kobiety, która kiedyś z pewnością była piękna. Miała na sobie suknię z czarnego jedwabiu, a pod jej znieruchomiałym karkiem, tuż koło włosów upiętych za pomocą spinki z masy perłowej w kształcie orlej główki, rozpościerała się kałuża krwi, brudząc dywan. Wąski promień światła wydobywał z niej czerwone

odbłyski.

*Czwarta od wewnętrznej. Zasłona czwarta. Natarcie w pierwszą.*

W ciemnym kącie sali na starym, orzechowym stoliku lśnił szklany wazon, z którego zwieszała się zwiędnięta róża. Jej suche, pomarszczone płatki leżały rozsypane na blacie, tworząc patetyczny obrazek dekadencej melancholii.

*Druga od zewnętrznej. Przeciwnik paruje w ósmej. Natarcie w trzecią.*

Z ulicy dochodził narastający, choć wciąż daleki gwar. Przypominał szum spienionych fal morskich, gdy podczas burzy wałę wściekle o skały. Zza okiennic słyhać było przygaszony zgłęk ludzi, którzy z radością witali nowy dzień, dzień, co niósł im wolność. Uważny słuchacz odgadłby znaczenie okrzyków: mówiono o królowej, która udawała się na wygnanie, o sprawiedliwych mężach, co przybywali z daleka z bagażami pękającymi od nadziei, jaką nieśli.

*Druga od zewnętrznej. Zasłona ósma. Górne natarcie w czwartej.*

W galerii, gdzie czas wstrzymał swój bieg i trwał w niemym spokoju razem z pogrążonymi w ciszy przedmiotami, przed ogromnym lustrem stał stary, chudy mężczyzna, nieświadomy wydarzeń na zewnątrz. Był spokojny. Miał nieco orli nos, wysokie czoło, mlecznisiwe włosy i szare wąsy. Stał w samej koszuli i zdawało się, że nie zwraca uwagi na rdzawą plamę zaschłej krwi, jaką miał na prawym boku. Dumnie i godnie wyprężony, z wytworną swobodą trzymał w prawej dłoni floret z włoską punktą. Nogi miał nieco wygięte, lewe ramię uniósł pod kątem prostym w stosunku do barku, a dłoń zwiesił swobodnie niczym wytrawny szermierz, nie zważając na głęboką ranę. W milczeniu mierzył wzrokiem własne odbicie, skupiony na własnych ruchach, i tylko jego poblądle usta nazywały je bezgłównie, bez najmniejszego szeptu. Powtarzał nieustannie kolejne sekwencje z metodyczną dokładnością. Zapatrzonej w głąb siebie, daleki od wszystkiego, czym huczał Wszechświat, usiłował zapamiętać wszystkie fazy ruchu, który, poprowadzony z absolutną pewnością, z matematyczną precyzją, stanowił – teraz wreszcie nie miał wątpliwości – najdoskonalsze pchnięcie, jakie mógł stworzyć ludzki umysł.

*La Navata, lipiec 1985*